

PIERWSZE, CZĘŚCIOWO WOLNE...

CENA 5 ZŁ (w tym 5% VAT)

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

ŚLĄSK

MARCIN GACEK
komentuje wybory
do Parlamentu Europejskiego

Ręce ciągnące do życia
– rozmowa
z prof. **MARIANEM**
ZEMBAŁĄ

HENRYK SZCZEPAŃSKI
– Cykliści z Katowic

JÓZEF ŚWIDER
we wspomnieniach
JULIANA GEMBAŁSKIEGO

FELIKS NETZ:
Gdy myślę **RÓŻEWICZ**

Poezja:
BARBARA
GRUSZKA-ZYCH
PIOTR TOMCZAK

Nr 6 (223)
ROK XIX
CZERWIEC 2014



ISSN 1425-3917



9 771425 391400

Minister kultury i dziedzictwa narodowego Bogdan Zdrojewski przyznał katowickiemu poecie Tadeuszowi Kijonce, w uznaniu „nieocenionych zasług dla kultury polskiej – Nagrodę Specjalną (...) wraz z serdecznymi gratulacjami, słowami wielkiego podziękowania za ponad 50-letnią twórczość literacką oraz działalność na rzecz upowszechniania kultury”.

Tadeusz Kijonka – uznany poeta z rozległym dorobkiem, publicysta i krytyk, autor utworów scenicznych i wydawca a także działacz społeczny na wielu polach śląskiego życia i organizator życia literackiego, ma szczególne zasługi jako twórca miesięcznika społeczno-kulturalnego „Śląsk”, którym kierował w latach 1995-2012 i założyciel Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego w Katowicach oraz jego prezes w okresie lat 1992-2013.

Wręczenie tej prestiżowej nagrody odbyło się 7 maja br. w Warszawie podczas jubileuszowej uroczystości w Galerii Porczyńskich z okazji 25-lecia Towarzystwa Przyjaciół Śląska w Warszawie, które uświetnił koncert Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”.

W ostatnich miesiącach Tadeusz Kijonka przypomniał swoje dokonania poetyckie obszernym wyborem wier-



Fot. Arkadiusz Ławrywianiec

szy „z przekroju życia” pt. „Czas, miejsca i słowa” wydanym przez Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, zaś niebawem ukażą się jego „44 sonety brynowskie” nakładem Wydawnictwa SONI DRAGI w oprawie prac Jerzego Dudy-Gracza z cyklu obrazów chopinowskich tego wielkiego artysty.



KATOWICE
22-24 września 2014

IV Europejski Kongres
Małych i Średnich Przedsiębiorstw

Nauka - Biznes - Samorząd **RAZEM DLA GOSPODARKI**

Darmowa rejestracja już od II połowy czerwca na
www.kongresmsp.eu

ORGANIZATOR



WSPÓLORGANIZATORZY



WSPÓLGOSPODARZE



Nasz partner



Rybnik. Miasto z ikrą.

BARBARA GRUSZKA-ZYCH

* * *

pod koniec życia powinnam sobie kupić
przeźród do uzdatniania wody
pić ją kilka razy dziennie z myślą
że jest mnie coraz więcej czystszej szlachetniejszej
usypiać spokojnie wierząc że wypłukuje wszystkie brudne myśli
dać się porwać z jej nurtem zerwać tamy ciała
wpaść w głęboką ziemię jak w koryto rzeki



Rys. Wojtek Łuka

Barbara Gruszka-Zych – poetka, dziennikarka „Gościa Niedzielnego”. Wydała tomiki: *Napić się pierwszej wody* 1989, *Teren Prywatny* 1994, *Nic się nie stało* 1995, 1997, *Pali się mój próg* 1997, *Zapinając kolczyki* 2000, *Podróż drugą klasą* 2002, *Sprawdzanie obecności* 2004, *Ile kosztuje ląka* 2007, *Muchy i ludzie* 2008, *Ostatnie śniadanie* 2009, *Szara jak wróbel* 2012 oraz polsko-litewski wybór *Śpię z tobą pod skórą* (Kowno 2006), a także rosyjsko-polski *Dzban pełen ognia* (Sankt -Petersburg 2009) oraz *Dwoje o miłości* z Juliuszem Kelerasem, Wilno 2012. Jest też autorką dwóch zbiorów reportaży: *Malo obstawiony Święty. Cztery reportaże z Bratem Albertem w tle* 2002, i *Zapisz jako...* 2004, oraz wspomnienia o Czesławie Miłoszu *Mój Poeta*. Jej wiersze tłumaczone były na litewski, rosyjski, ukraiński, białoruski, niemiecki, czeski, węgierski, włoski, angielski, arabski.

Nr 6 (223). Rok XIX. CZERWIEC 2014 r.

WYDAWCA:
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH
TADEUSZ SIERNYprezes
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
Tel. 32 253-62-21
e-mail: zarzad@slaskwn.com.pl
gtl@gtl.home.pl
www.gtl.org.plWSPÓLWYDAWCA:
BIBLIOTEKA ŚLĄSKA
40-021 Katowice, plac Rady Europy 1
Tel. centr. 32 20 83 700
informacja: info@bs.katowice.pl
sekretariat: bs1@bs.katowice.pl

Redaguje zespół:

DARIUSZ ROTT
redaktor naczelnyWIESŁAWA KONOPELSKA
p.o. zastępcy redaktora naczelnego,
sekretarz redakcjiKATARZYNA BERETA
dział krytyki literackiejMARIA SZTUKA
dział kulturalnyBOGDAN WIDERA
dział społeczno-histerycznyWOJCIECH ŁUKA
dział graficznyMIROSLAW KORBEL
nadzór techniczny i poligraficzny
e-mail: korgraf@korgraf.com.plIRENA FALKIN-SIBIGA
ANNA STRUMIŁOWSKA
korektaADRES REDAKCJI:
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
Tel./fax 32 206-82-71
e-mail: redakcja@slask.com.pl, msk.slask@gmail.comDTP: STP „KorGraf”
40-081 Katowice, ul. Dąbrowki 15/12
Tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Luczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań
tel. 61 633 71 65Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Redakcja
zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian ty-
tułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji.Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatu-
ry „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio –
w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocztowych.
Wpłaty należy dokonywać na konto: GTL – redakcja mie-
sięcznika „Śląsk”, PKO PB SA I O/Katowice 92
102023130000 3302 00202176. Prenumerata roczna – 60 zł,
półroczna – 30 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane
pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział S.A.
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 5 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Czasopismo

„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
jest dostępne w wersji elektronicznej
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECE CYFROWEJ
pod adresem:<http://www.sbc.org.pl/dlibra/publication?id=19462>

W NUMERZE:

PUBLICYSTYKA

5. *Marcin Gacek* KIEDYŚ PUSTE KRZESŁA, DZISIAJ PŁYTKIE WIZJE
– EUROSCRYPTYCNZY MISTRAL W STRASBURGU
6. *Bogdan Widera* WYRZUCENI DLA „SOLIDARNYCH”
10. *Maria Szuka* ŚLAWA I SZACUNEK
12. *Feliks Netz* GDY MYŚLE; RÓŻEWICZ
14. *Rozmowa z prof. dr. hab. Marianem Zembalą* RĘCE CIĄGNĄCE DO ŻYCIA
18. *Katarzyna Bereta* IDĄC CMENIARZEM PRZY FRANCUSKIEJ
24. *Agnieszka Sikora* ŚLĄSKA RODZINA W ZANIKU?
26. *Józef Wycisk* EKG – PRÓBA PODSUMOWANIA
28. *Wiesław Kosterski* TRZEBA POCZEKAĆ, NA DRUGIE ŻYCIE
30. *Jakub Loginow* CZECHOSŁOWACJA WIECZNIE ŻYWA
34. *Jan F. Lewandowski* DWA TOTALITARYZMY KINA ŚLĄSKIEGO
37. *Wiesława Konopelska* WŁADYSŁAW „OTEK” MORAWSKI (1942-2014)
37. *Maria Szuka* WIESŁAW KAŃTOCH (1954-2014)
38. *Henryk Szczepański* MODNY POJAZD FIN DE SIÈCLE’U
44. *Julian Gembalski* WSPOMNIENIE UCZNI
46. *Karol Rafał Bula* „CZTEROGŁOS” POTWIERDZA ARSPIRACJE KATOWIC
47. *Maria Szuka* NOC NIESPODZIANEK I... SMAKOŁYKÓW

FELIETONY

17. NOTATNIK SPÓŹNIONEGO PRZYBYBSZA
Marek S. Szczepański OJCZYŻNA PRYWATNA: ROZDZIAŁ ZAMKNIĘTY?
21. Z MOICH GÓREK
Witold Turant CZEKAJĄC NA DOKTORA ROLLE
33. KOLEKCJA MALARSTWA POLSKIEGO
Wojciech Grabowski PIOTR MICHAŁOWSKI
52. *Magdalena Dziadek* MIĘDZY NUTAMI
53. ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZZCZYŻNA
Jan Miodek GOŚCIE Z ŻYROWEJ
65. *Henryk Bzdok* ANEGDOTY

PLASTYKA

48. *Michalina Wawrzyczek-Kłasiak* LITERA JEST CIENIEM GWIAZDY
49. GALERIA SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ BWA „O POWSTAWIANIU I GINIĘCIU”
50. FRANCISZEK WYLEŻUCH. GRAFIKA I MALARSTWO
51. *Wiesława Konopelska* SZTUKA W PRZESTRZENI MIASTA
76. *Witold Kociński* UCZTA DUCHOWA

TEATR

56. *Rozmowa z Krzysztofem Korwin-Piotrowskim* GLIWICKIE TEATRALNE RENDEZ-VOUS
58. *Bogdan Widera* KOŁOROWY TEATRZYK DROGI
59. *Joanna Warońska* TANGO NA TRZY GŁOSY I JEDNĄ TANCERKĘ

KSIĄŻKI

60. *Katarzyna Taluć* POWRÓT DO TAJEMNICZYCH OGRODÓW
61. *Bogdan Widera* AUTONOMIA BEZ MITÓW
62. *Wiesława Konopelska* WOBEC UBYWANIA I BRAKU
63. *Krystyna Hesk-Kwaśniewicz* ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZZCZYŻNA
W DOMU I W SZKOLE
63. *Katarzyna Bereta* STABIK – POETA I PODRÓŻNIK
64. *Bogdan Widera* KRÓTKO O KSIĄŻKACH

POEZJA I PROZA

1. *Barbara Gruszka-Zych* * * *
22. *Barbara Gruszka-Zych* WIERSZE
42. *Piotr Tomczak* WIERSZE

EKOLOGIA

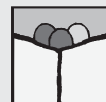
54. *Jolanta Matiakowska* MAMY LAS, MAMY SZCZĘŚCIE!
55. *(mat)* TO SIĘ OPLĄCA!

STAŁE RUBRYKI

4. ŚLĄSKI MIESIĄC
66. Z ŻYCIA BIBLIOTEK
Patrycja Skorek, Wiesława Szlachta U NAS CIĄGLE COŚ SIĘ DZIEJE
67. ZNAKI I TWARZE MIASTA KATOWICE. 40 LAT CHÓRU FILHARMONII ŚLĄSKIEJ
68. OPOLSKIE

NOTATNIKI KULTURALNE

69. *Janusz Wójcik* OPOLE
70. *Wiesława Konopelska* KATOWICE
72. *Maria Szuka* SOSNOWIEC
73. *Jan Picheta* BIELSKO
74. *Joanna Kotkowska* CZĘSTOCHOWA
75. *Jacek Sikora* ZAOLZIE

NA OKŁADCE: Fragment przedwojennego plakatu reklamującego rower firmy Adler
– ze zbiorów Wojciecha Mszyca.

Drodzy Czytelnicy

Miło mi przywitać się z Państwem w tym miejscu – na łamach miesięcznika Społeczno-kulturalnego „Śląsk”. Kiedy prawie trzydzieści lat temu ówczesny duszpasterz akademicki w Katowicach ks. Stanisław Puchała zaprosił mnie do współredagowania pisma DA nawet przez myśl mi nie przeszło, że przyjdzie mi następnie redagować „Biuletyn Informacyjny Urzędu Wojewódzkiego”, kwartalnik „Architektura i Krajobraz. Przestrzenne Problemy Regionu Górnego Śląska”, kierować redakcją „Gazety Uniwersyteckiej Uniwersytetu Śląskiego”, być redaktorem półrocznika „Pallas Silesia” i współpracować z innymi czasopismami naukowymi, by od maja 2014 roku – uchwałą Zarządu Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego w Katowicach – podjąć kolejne ogromne wyzwanie.

Nasze pismo – miesięcznik „Śląsk” – od prawie dwudziestu lat, dzięki świetnej pracy moich znakomitych poprzedników na stanowisku redaktorów naczelnych: Tadeusza Kijonki – założyciela pisma i wieloletniego, niestrudzonego redaktora naczelnego, a także Krystiana Gałuszki i Witolda Turanta oraz doświadczonego zespołu dziennikarzy i licznych współpracowników, wrosło na trwałe w krajobraz medialny Śląska i sąsiednich ziem – wszak 223 numery niezwykle zobowiązują. Dzisiaj chcemy dostosowywać „Śląsk” do wyzwań współczesnego świata, rynku wydawniczego, ale przede wszystkim do Państwa potrzeb i oczekiwań. Liczę na Państwa listy, głosy i opinie.

Jesienią zamierzamy wrócić do budowania wokół „Śląska” jeszcze liczniejszej wspólnoty Czytelników. Zaprosimy Państwa na cykliczne dyskusje redakcyjne w naszej siedzibie (proszę zapamiętać lub odświeżyć sobie ten adres w swoich notesach i komputerowych bazach danych: Katowice, ul. Dworcowa 13) oraz na spotkania z autorami, prezentujące kolejne numery pisma. Przede wszystkim jednak planujemy wkrótce uruchomić witrynę internetową. Bez niej nie wyobrażam sobie nowoczesnie działającego czasopisma. Chcemy również organizować cykl spotkań – otwartych kolegów redakcyjnych i rozmów z Czytelnikami – w różnych miejscach naszego regionu. Mam nadzieję, że będą to świetne fora wymiany poglądów dotyczących przeszłości, dnia dzisiejszego, a przede wszystkim przyszłości naszego miesięcznika.

Jesteśmy u progu wakacji, a więc zapraszam Państwa do spojrzenia na nasz region z perspektywy cyklistów. Nie zabraknie jednak tematów poważnych: komentujemy wybory do Parlamentu Europejskiego i Europejski Kongres Gospodarczy, piórem Feliksa Netza prezentujemy recepcję twórczości Tadeusza Różewicza przez młode pokolenie poetów, przypominamy koncert Karola Szymanowskiego w Katowicach w 1924 roku, publikujemy poezje Barbary Gruszki-Zych i debiutującego u nas, choć już zdecydowanie nie debiutanta, Piotra Tomczaka, z Agnieszką Sikorą zastanawiamy się, jaka jest dzisiaj śląska rodzina, a Jan F. Lewandowski zaprosi nas do „śląskiego” kina. Zachęcam do przeczytania relacji Marii Sztuki z uroczystości wręczenia insygniów Kawalera Orderu Legii Honorowej i przyznania tytułu doktora *honoris causa* Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie profesorowi Wiesławowi Banysiowi, rektorowi Uniwersytetu Śląskiego. Nie zabraknie stałych, obowiązkowych pozycji lekturowych – notatników kulturalnych, recenzji i omówień książek (jako redaktor działu krytyki literackiej debiutuje w tym numerze Katarzyna Bereta) czy felietonów (z radością odnotowuję pierwszy felieton Witolda Turanta w „Śląsku” – były redaktor naczelny przyjął moje zaproszenie i dołączył do grona naszych świetnych felietonistów).

W następnych numerach zachęcimy Państwa do czytania, zaproponujemy wakacyjne wędrowki po regionie, a potem – we wrześniu – wrócimy do szkoły i skupimy się na różnorodnych aspektach edukacji.

Cieszę się niezwykle, że możemy u Państwa co miesiąc gościć.

ŚLĄSKI MIESIĄC

Zapis wydarzeń
z miesiąca
poprzedzającego
zamknięcie
numeru

ce Open 2014. Gwiazd było więcej, ale Agnieszka zachwycała najbardziej...

■ **POLICJANCI** są niedoszkoleni, popełniają błędy mogące utrudniać identyfikację miejsc i sprawców wypadków. Takie najważniejsze – i zatrzaskujące – wnioski płyną z raportu NIK, która tym razem pod lupę wzięła drogowców.

■ **BOKSER** w polityce wróży ostrą kampanię do europarlamentu. Tomasz Adamek, były mistrz świata w boksie, został nieoczekiwanie „jedyneką” Solidarnej Polski w wyborach do europarlamentu.

■ **ZAPÓŹNIONY KZK GOP** postanowił wreszcie wprowadzić nowoczesność, która u innych krajowych (i regionalnych też) przewoźników dawno już stała się standardem – elektroniczne tablice informacyjne na wybranych 72 przystankach aglomeracji śląsko-zagłębiowskiej. Podobne rozwiązania funkcjonują już od lat z powodzeniem wśród mniejszych i mobilniejszych, jak się okazuje, przewoźników m.in. w Tychach, Jaworznie, Rybniku, czy Tarnowskich Górach.

■ **MODA** na ekologię ma swój wymiar smakowy – ekożywność cieszy się coraz większym wzięciem. W naszym regionie na przykład oblegany jest EkoBazar w Mikołowie i BioBazar w Katowicach. Ekologiczna żywność na pewno jest zdrowa i smaczna. Ale ma też jedną wadę – jest droga.

■ **KILKADZIESIĄT** firm chce zbudować autostradę A1 od lotniska w Pyrzowicach do podczęstochowskiej Rząsawy. Prace mają się rozpocząć jeszcze w tym roku, a drogowcy gotowi są wydać na nie blisko trzy miliardy złotych. Budowa 57-kilometrowej trasy zostanie podzielona na odcinki, przewiduje się, że całość będzie gotowa w 2018 roku.

■ **ZDANIEM** prokuratury nie jest ofiarą, ale sprawcą. Nie był podpalaczem, lecz zabójcą. Do tego jest – jak się okazuje – niepouczalny. Opinia publiczna ze zdumieniem i szokiem śledzi coraz to nowe informacje w sprawie Dariusza P. z Jastrzębia, który jest podejrzany o zabójstwo swojej żony i czwórki dzieci. Przypomnijmy – tragiczny pożar miał miejsce w rodzinnym domu Dariusza P. 10 marca 2013 roku. Przeżył go jedynie jego 17-letni syn.

■ **HOMEOPATIE**, nowy i kontrowersyjny poddyplomowy kierunek studiów, otworzył Śląski Uniwersytet Medyczny jako jedyny w kraju, co wzbudziło protest prezesa Naczelnej Izby Lekarskiej dr. Macieja Hamankiewicza.

■ **SILESIA Fashion Day** odbyła się tym razem w nowej, jeszcze nie otwartej, siedzibie Muzeum

Śląskiego. Była to już piąta edycja tego renomowanego pokazu mody.

■ **WĘDKARZE** ratują Białą. Podczas sprzątnięcia rzeki Białej, przepływającej przez miasto Bielsko-Biala, wylowiono 1,5 tony śmieci, w tym m.in. narty i sedes ze spluczką. Do rzeki trafiło również 2,6 tys. sztuk pstrąga.

■ **CENTRUM** Zimbardo ma zmienić katowicki Nikiszowiec. Otwarto go 14 kwietnia przy udziale światowej sławy amerykańskiego psychologa prof. Philipa Zimbardo. Powstało w ten sposób miejsce spotkań i edukacji dzieci i młodzieży, którego gospodarzem jest Stowarzyszenie Fabryka Inicjatyw Lokalnych.

■ **PRZEBUDOWA** Stadionu Śląskiego trwa od 20 lat. Wydano na nią już 603 mln zł, z czego 227 mln zł na modernizację, a 354 mln zł na zadaszenie. Potrzeba jeszcze co najmniej 200 mln zł. Śląski jest najdłuższą przebudowywanym stadionem na świecie. I chyba też najdroższym.

■ **JEDYNA** w Polsce niemal 45-letnia skoda 706 RTO przyjechała do Sosnowca spod Koszycina na odbywające się tu Targi Transportu Publicznego. Okazji do sentymentalnych wspomnień nie brakowało, bo zwiedzający mogli nasycić się widokiem popularnych niegdyś „ogórków” i ikarusów. I porównać dawne i współczesne kasowniki do biletów (kto pamięta te „ręcznice”?).

■ **CZĘSTOCHOWSKA** prokuratura prowadzi śledztwo w sprawie grupy zajmującej się m. in. haraczami, handlem narkotykami i bronią.

■ **TYSKI** odcinek DK 1 ma być gotowy w lipcu. Choć budowa sześć i półkilometrowego odcinka tej ruchliwej trasy ma spory poślizg, to w ostatnich miesiącach widać wyraźny postęp.

■ **PARK** w Świerklańcu czeka na powrót trzech Gracji, XIX-wiecznej rzeźby Emanuela Frimietia, której restauracja zbliża się do końca. Cztery inne potężne animalistyczne rzeźby powróciły 11 kwietnia po renowacji na swoje miejsca. Wszystkie świadczą o zamożności właścicieli tych ziem, rodu Donnersmarcków. Historyk dr Arkadiusz Kuzio-Podrucki podkreśla, że najwięcej dzieł Frimietia znajduje się w Paryżu, co świadczy o dobrym guście śląskich Donnersmarcków.

■ **ABSOLWENCI** klas górniczych z Jastrzębia, Wodzisławia Śląskiego, Ormontow i Pawłowice demonstrowali 15 kwietnia pod siedzibą Jastrzębskiej Spółki Węglowej. Firma obiecała im kilka lat temu pracę, ale zmieniła zdanie, oferując zatrudnienie u innych, nieco gorszych warunkach w nowo powstałej spółce-córcie. Absolwenci czują się oszukani.

■ **PIERWSZE** nabożeństwo od czasu pamiętnego pożaru ze stycznia 2013 roku odprawiono w kościele w Jaśkowicach koło Orzesza. Odbudowano strawnicy przez ogień dach kościoła, kończą się prace wykończeniowe we wnętrzu świątyni. Parafianie mogli się cieszyć Świętami Wielkanocnymi we własnej świątyni.

■ **SZPITAL** Wojewódzki w Tychach prowadzony od prawie dwóch lat przez spółkę Megrez przynosi zyski. I rozszerza działalność o nowe poradnie. To jeden z niewielu pozytywnych przykładów w naszej służbie zdrowia. Przypomnijmy – wiosną 2012 roku zadłużony tyski szpital podzielono na część szpitalną i zadłużoną mocno przychodnię specjalistyczną.

■ **WIDEOREJSTRATORY** zainstalowane na dwóch siemianowickich skrzyżowaniach działały od grudnia 2012 roku do grudnia 2013 roku nielegalnie. Czy Straż Miejska zwróci kierowcom pieniądze z mandatów? Nie jest to oczywiste proste. Można to zrobić żądając uchylecia przez sąd mandatu karnego bądź też zażądać odszkodowania pozwalające się na wprowadzenie w błąd przez funkcjonariusza.

■ **BURZA** po raporcie Najwyższej Izby Kontroli w sprawie Stadionu Śląskiego. Inspektorzy NIK-u zakwestionowali porzucenie w 2008 roku przez zarząd województwa projektu „Saturn”, czyli gotowego, zatwierdzonego i posiadającego już pozwolenie na budowę projektu zadaszenia Stadionu Śląskiego. Decyzja ta zapadła – zdaniem NIK – „bez merytorycznego uzasadnienia”. Krytycznie oceniono fakt, że nowy, tuzi droższy projekt zadaszenia zamówiono z wolnej ręki i nie podjęto żadnych działań w celu weryfikacji jego założeń. Wedle NIK-u urząd marszałkowski „działał nierzetelnie” i „wydatkował niegospodarnie środki publiczne w wysokości co najmniej 68,4 mln zł”.

■ **HONOR** śląskich kolejarzy został przywrócony – oznajmił wszem i wobec marszałek Sekuła uznając proces ratowania zadłużonych Kolei Śląskich za zakończony, bo według danych prezesa KŚ spółka za pierwszy kwartał 2014 roku przestała przynosić straty i odnotowała 450 tys. zł zysku. Ale liczyby mówią, tak jak się je czyta. A suma zobowiązań KŚ wynosi nadal 40 mln zł. Każdego miesiąca na spłatę zadłużenia spółka wydaje 2 mln zł. Więc do pełnego optymizmu panie marszałku jeszcze bardzo, bardzo daleko. Tym bardziej że pasażerowie narzekają na jakość (i ilość) połączeń, a także ciągłe zmiany rozkładów jazdy.

■ **ROŚNIE** jak na drożdżach – 15-tysięczny tyiski stadion, widac już betonowe konstrukcje trzech trybun. Trwa 17 miesiąc jego budowy. Obiekt ma zostać oddany do użytku na 11 czerwca 2011 roku. Pochłonie prawie 129 mln zł i spełniać będzie wszelkie normy UEFA i FIFA.

■ **RADNI** Sejmiku nie chcą już dłużej obradować w terenie. Do tej pory były dwie sesje wyjazdowe: w Częstochowie i Bielsku-Białej. Radni zaowiedzieli odwołanie przewodniczącego Andrzeja Gościńskiego, który podczas ostatniej sesji wyjazdowej w Bielsku wyjechał zaraz po konferencji prasowej, a radni obradowali do późnego wieczora. Przewodniczący tłumaczył nieobecność obowiązkami reprezentacyjnymi (co nikogo nie przekonało). Radni chcą wrócić do Sali Sejmiku, tyle że tam trwa remont, o którym sami zdecydowali.

■ **PRZYZNANO** Betonowe Kostki i Superjednostki, plebiscytu Stowarzyszenia Moje Miasto. Nagroda za najlepszą realizację roku trafiła do Galerii Elektrownia w Czeladzi, za najgorszą na katowickie osiedle Tysiąclecia – za pierwszą z czterech zbudowanych tam wież przez firmę Activ Investment. Zasady wyróżnień są każdego roku identyczne: nominacje nadsyłają mieszkańcy regionu, a oceniają je jurorzy niezwiązani zawodowo z architekturą.

■ **GRÓB** Hubala, czyli legendarnego mjr. Henryka Dobrzańskiego, nie został odnaleziony w Wąsoszcu Górnym, ale naukowcy natrafili na starsze, trzyletnie pochówki z końca XVII wieku, których dokonano na istniejącym tu wówczas cmentarzu parafialnym.

■ **ATMOSFERA** przed europejskimi wyborami zągęszcza się. Pojawiają się inwektywy, pomówienia, a rzeczowy spór ustępuje miejsca grotesce. Tomasz Tomczykiewicz, szef śląskiej PO, zastanawia się, czy nie pozwać do sądu Janusza Korwin-Mikkego, który zarzucił Tomczykiewiczowi, że wiele lat temu podczas wspólnej kolacji w Pszczynie... zgwałcił kelnerkę. Tomczykiewicz zapowiedział na twitterze pozwanie za oszczerstwo. Ale najpierw to on wspominał w tygodniku „Wprost”, że Korwin-Mikke pił wino z „gwinta”.

■ **POLSKA** wyczołafa się z ubiegania o współorganizację piłkarskich Mistrzostw Europy w 2020 roku. Jedną z aren mistrzostw miał być niedokończony wciąż Stadion Śląski. Smaczkowi sprawie dodaje fakt, że prezes PZPN Zbigniew Boniek był przekonany, że do organizacji mistrzostw zgłoszony był tylko jeden stadion, w Warszawie, choć na stronie UEFA figurowały oba.

■ **UCHYLONY** został wyrok 25 lat więzienia, jaki zapadł w poszlakowym procesie byłego prezydenta Zabrza Jerzego G., oskarżonego o zabójstwo wierzyiciela. Sąd Apelacyjny w Katowicach zdecydował w piątek 26 kwietnia o powtórzeniu procesu.

■ **ŚLĄSCY** pielgrzymi dopisali w niedzielę 27 kwietnia na Placu Św. Piotra w Rzymie na mszy kanonizacyjnej papieżu Jana Pawła II i Jana XXIII, których ogłoszono świętymi. Przyjechali tu zorganizowanymi pielgrzymkami, by świętować i podpisać papieżowi Franciszkowi za polskiego świętego. Jak zauważył jeden z pielgrzymów, trochę żal, bo to już ostatnia tak wielka uroczystość z udziałem Polaków w Rzymie. Papież Franciszek pojawi się w Polsce w 2016 roku.

■ **AKTOR** Paweł Małaszyński nagle zasłabł 28 kwietnia na scenie w trakcie przedstawienia „Berek, czyli upiór w moherze” w Teatrze Rozrywki w Chorzowie. Przerwano występ i odwołano kolejny. Pogotowie odwoziło Małaszyńskiego do szpitala, przeprowadzono badania, aktor czuje się lepiej.

Charles de Gaulle w latach sześćdziesiątych stosował taktykę „pustego krzesła” w Radzie Ministrów Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Był to zabieg uniemożliwiający przegłosowanie antyfrancuskich rozwiązań. Eurosceptyczny na początku swoich rządów generał stał się później filarem EWG i z proroczą przenikliwością blokował wejście Wielkiej Brytanii do tej organizacji.

Unia Europejska od początków swojego istnienia toczona była przez chorobę technokracji. Nieprzejrzystość procedur i zawilosci prawne przy podejmowaniu decyzji dawały pole do dowolności ich interpretacji lub przedłużania procesów decyzyjnych. Pamięć wojen światowych oraz polityka „żelaznej kurtyny” powodowały, że wspólnota europejska z każdego kryzysu wychodziła wzmocniona. Po 89 roku strach przed wschodnim sąsiadem zastąpił lęk przed bałkanizacją Europy Środkowo-Wschodniej. Traktaty europejskie od Maastricht po Lizbonę miały ujednolicić i zintegrować struktury europejskie. Paradoksalnie nie przybliżyły UE Europejczykom. Wręcz przeciwnie. Zbudowały zdehumanizowany, biurokratyczny moloch.

Parlament Europejski jest idealnym miejscem dla przegranych polityków, którzy w Strasburgu i Brukseli mogą nie tylko liczyć na apanaże, ale i pójść drogą Cartera – stać się lepszymi ex-prezydentami, ex-premierami i ex-politykami niż wtedy gdy pełnili te funkcje w swoich krajach (np. Giscard d'Estaing). PE stworzono nie po to by uchylać prawo, lecz jednoczyć Europę. Miał nie reprezentować w pełni obywateli, ale w sposób koncesjonowany dawać namiastkę demokracji. Został jedyną wspólnotową strukturą z ludzką twarzą. Silnym ośrodkiem wyrażania krytycznych opinii eurodeputowanych. Mimo rozszerzenia jego kompetencji przez kolejne traktaty, jest parlamentem tylko z nazwy.

Coraz więcej Europejczyków zadaje pytanie: a na co nam UE? W wyniku eurowyborów państwa Unii podzieliły się na trzy główne bloki. Pierwszy, eurosceptyczny, w którym wygrały partie antyeuropejskie tworzą Francja, Wielka Brytania i Dania. Drugi zdecydowanie silniejszy proeuropejski na czele z Niemcami, Hiszpanią i Polską. Trzeci z Włochami, Rumunią i Słowacją gdzie eurosceptycy lub lewicowi populiści są silni, ale nie wygrali. We Francji i Wielkiej Brytanii zwycięstwo odpowiednio: Frontu Narodowego (29%) i Partii Niepodległego Zjednoczonego Królestwa (27,5%) zostało odniesione przy niskiej frekwencji (Francja 42%; Wielka Brytania 34%). To wyraźne ostrzeżenie, że ci którzy nie poszli do wyborów nie będą bronili Strasburga w imię mniejszego zła. Eurosceptycyzm, który odcisnął w tym roku swoje piętno na Parlamencie Europejskim należy przestać demonizować i zacząć go interpretować konstruktywnie jako przestrożę, że bez zaangażowania większości obywateli Unii nie da się jej nie tylko bardziej integrować ale i utrzymać status quo. Problem w tym, że ani Merkel ani Hollande nie mają wizji przyszłej Europy. Ta niemoc rekrutuje radykalnych eurofobów.

Polska ze swoimi wynikami dobrze wpisuje się w nową mozaikę polityczną Europy. Wygrały partie mniej lub bardziej proeuropejskie. Z takimi krajami jak Szwecja, Austria, Finlandia tworzymy swoisty „gang czterech”, w każdym z tych krajów euromandaty otrzymało



Foto: K. Bereta

Gmach Parlamentu Europejskiego w Brukseli

Kiedyś puste krzesła, dzisiaj płytkie wizje – eurosceptyczny mistrzał w Strasburgu

MARCIN GACEK

od jednego do czterech eurosceptyków. Niestety Polska wraz z resztą państw regionu odstaje od Zachodu niską frekwencją. Jednak sądzę, że tym razem można wyborców usprawiedliwić. W tej kampanii politykom najmniej chodziło o Parlament Europejski. PiS i PO za nasze pieniądze dokonały analizy swoich mocnych i słabych stron. Umocniły się jako najsilniejsze partie tworzące alternatywę polityczną. SLD, mimo słabego wyniku, pokazał, że tylko w oparciu o jego struktury można liczyć na stworzenie formacji centrolewicowej. Janusz Korwin-Mikke zapracował na swoją euro-emeryturę i wbrew temu co mówi, nie będzie najbardziej ekscentrycznym eurodeputowanym. Ale gdzie w tym europejski interes Polski? Fatalna kampania sprawiła, że tylko najwierniejsze elektoraty poszły na wybory. W tym znaczeniu najbardziej przegrało PiS. Jego twardy elektorat wystarczył na remis (24 tysiące dla PO to żadna różnica) z niedobitkami elektoratu Tuska. Premier może spokojnie myśleć o nadchodzących wyborach samorządowych, prezydenckich i parlamentarnych. Chyba że Jarosław Kaczyński chcąc w Warszawie powtórki z Budapesztu, przyciągnie wyborców Ziobry i Gowina. Kaczyński musi – jeśli chce zwyciężyć – zagospodarować nieużytki wyborcze.

W tych wyborach Śląsk nieoczekiwanie stał się medialną sceną pierwszoplanowego starcia politycznego. Koalicja Europa Plus Twój Ruch Janusza Palikota postawiła na znane twarze i była pewna wyniku. Na Górnym Śląsku miał to być człowiek ikona – Kazimierz Kutz. Doszło do spektakularnego pojedynku pomiędzy „l'enfant terrible” z Warszawy a wybitnym reżyserem z Szopienic. Stawiając na złego konia zasłużony dla Polski i regionu Kutz poniósł porażkę. Tym dotkliwszą, że nieosiądną wysokim wynikiem osobistym. Ślązacy okazali się mądrzejsi niż przypuszczali to cyniczni politycy z Warszawy, którzy próbowali wmówić mieszkańcom Górnego Śląska, że mówiąc Kutz myślą Śląsk, mówiąc Śląsk myślą Kutz. Nie ma sensu robić analiz różnic w liczbie oddanych głosów na zwycięskiego Plurę i na przegranych: Kutza, Migalskiego czy Adamka. W polityce liczy się jedno – skuteczność. Nawet jeśli jest się wielką osobowością trzeba mieć zaplecze polityczne. Zrozumieli to już dawno Jerzy Buzek i były marszałek województwa śląskiego Jan Olbrycht. W polityce jak w futbolu, żeby wygrać nie wystarczy być gwiazdą, trzeba mieć ekipę na pewnym poziomie.

Dr Marcin Gacek – adiunkt z Instytucie Socjologii UŚ, socjolog polityki, poza artykułami naukowymi publikował w kwartalniku kulturalnym Opcje.

Pierwsze, częściowo wolne...



Tydzień przed wyborami. Lech Wałęsa na pielgrzymce mężczyzn i młodzieńców do Piekar Śląskich.

Też mogłem zostać 4 czerwca 1989 roku posłem. Do redakcji „Gościa Niedzielnego”, gdzie pracowałem, przyszli któregoś dnia Wojtek Czech – późniejszy wojewoda i Józek Buszman – przyszły marszałek Sejmiku Śląskiego (znaliśmy się z Klubu Inteligencji Katolickiej) z propozycją, żebym kandydował z Rybnika czy Wodzisławia. Wyśmiałem ich: „Łapanki urządzać? Jestem dziennikarzem, a tam trzeba prawników, widzicie, jak wszystko jest zdegenerowane. A poza tym ja bardzo nie lubię jeździć do Warszawy”. Dziś myślę, że ludzie wybraliby wtedy nawet konia Kaliguli, jeśli tylko miałby zdjęcie z Lechem Wałęsą. Bo to było przede wszystkim głosowanie przeciwko komunie. Uzmysłowało mi to jednak, że – mówiąc językiem sprawozdawców sportowych – nasza drużyna ma bardzo „krótką ławkę”.

Wyrzuceni dla „Solidarnych”

BOGDAN
WIDERA

Zdjęcia:
BOGDAN
KUŁAKOWSKI

*Pamięci ludzi z tamtych dni,
którzy odeszli.*

Ale w tamtym czasie nic nie było oczywiste. Wiadomo było tylko, że „naszym” kandydatom z Komitetu Obywatelskiego trzeba zrobić kampanię w Radiu i Telewizji Katowice. Zebranie w tej sprawie wyrzuconych stamtąd po ogłoszeniu stanu wojennego dziennikarzy zwołał Wojciech Sarnowicz w mieszkaniu nieżyjącego już Wiesława Rajskiego. Poszedłem bez entuzjazmu. Do pracy w katowickiej rozgłośni trafiłem w 1970 roku. Współpracowałem z redakcjami rozrywkową i literacką. Ten „pion artystyczny” był świetną niszą dla ludzi, którzy chcieli być daleko od polityki. Wcześniej wszystkich dziennikarzy radiowych zmuszano do „obsługi” jakichś wyborów, 1 Majów, kolejnych plenów i zjazdów. Ale „za Gierka” tyłu już było do tej pracy chętnych „janczarów”, że my, ci „od kultury”, mieliśmy święty spokój. A teraz sami się pakowaliśmy w audycje „zaangażowane”, nie mając w tej dziedzinie żadnego doświadczenia.

Tak to się zaczęło

Na zebraniu u Wiesia Rajskiego było dość tłoczno. Potem okazało się, że telewizyjną kampanię wyborczą prowadzili głównie Wojtek Sarnowicz, Wiesio i Staszek Olejniczak. W Radiu Katowice był Marek Mierzwiak i ja. Pomagał nam Jacek Filus, który też został wyrzucony z rozgłośni po ogłoszeniu stanu wojennego oraz Jacek Cieszewski zwolniony po 13 grudnia 81 z „Trybuny Robotniczej”. Przerażająca była już sama strona organizacyjna kampanii wyborczej. Trzeba było ustalić wszystko z miejscowym Komitetem Obywatelskim, poznać kandydatów do Sejmu i Senatu, omówić szczegóły naszej obecności w radiu i telewizji z kierownictwem tegoż Radiokomitetu, odbyć spotkanie w Warszawie z „opozycyjną, ogólnopolską centralą” kampanii w mediach...

W czasie spotkania u Wiesia jako rzecz oczywistą przyjęto, iż radiowo-telewizyjne kierownictwo zrobi wszystko, żeby nam w pracy przeszkadzać, życie utrudniać i w ogóle na wszelkie możliwe sposoby nasze programy sabotować. Musimy zatem wszystkie nasze oczekiwania i potrzeby sformułować na piśmie, podpisać z redaktorami naczelnymi bardzo precyzyjne, obwarowane od każdej strony szczegółowymi klauzulami umowy. Teraz to wygląda na iście paranoiczną podejrzliwość, przecież władze obiecały udostępnienie anteny Komitetowi Obywatelskiemu. Jednak myśmy dobrze wcześniej poznali, ile warte były komunistyczne obietnice. Pierwsze spotkanie w telewizji z szefem całego lokalnego Radiokomitetu (nazywał się chyba Zieliński) było pełne rezerwy.

5 godzin z Bobem

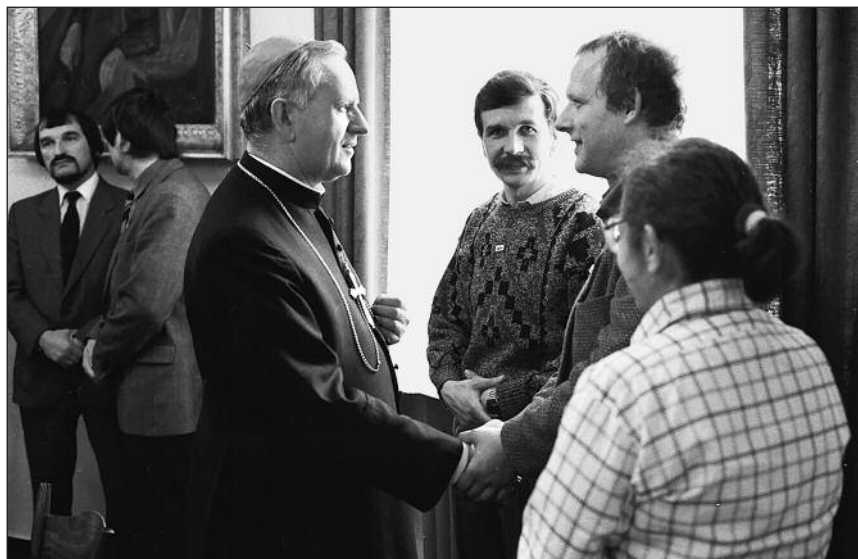
Pojechałem do Warszawy na spotkanie pod przewodnictwem Janiny Jankowskiej, znakomitej reporterki, która koordynowała całe przedsięwzięcie. Warszawiacy z opozycji, mili ludzie, ale kompletnie bez wycucia czasu. Zawsze organizowali spotkania tak, że najpierw trzeba było po przyjeździe rannym pociągiem czekać i tułać się przez parę godzin, a po wszystkim spóźnić się o jakiś kwadrans na wygodny pociąg powrotny i tłuc się nocnym, który nie jechał „magistralą węglową”. Myślę, że oni chcieli zobaczyć, kto z terenu będzie się zajmował kampanią i czy trzeba jakimś regionowi pomagać. Katowice nie wymagały wsparcia. Miałem już projekt umowy z radiem, kilka spraw wyjaśniliśmy sobie od strony czysto fachowej, byłem dobrze przygotowany. Dlatego natychmiast przykleił się do mnie Bob. Niesamowita historia. Ten Irlandczyk (Wojtek Sarnowicz twierdzi, że to był Amerykanin – jedno zresztą nie wyklucza drugiego) przyjechał do Warszawy, bo to on miał robić kampanię wyborczą KO w radiu opolskim. Tam nie było wyrzuconych dziennikarzy, on sam mógł liczyć tylko na cichą pomoc pracującej w rozgłośni montażystki, o radiu zaś niewiele wiedział. Więc przyłączył się do mnie, wypytywał o wszystkie niuanse, przez 5 godzin nocnej podróży notował, co trzeba sobie w rozgłośni zagwarantować, jak robić audycje, wszystko, wszystko, wszystko. Bob był lektorem jakiejś wyższej uczelni, działał w podziemiu, „zdekonspirował się” dopiero przy okazji wyborów. Wynikiem było to, że władze uczelni nie odnowiły z nim kontraktu, w wakacje musiał opuścić Polskę, którą po prostu pokochał, więc się martwił. Liczył, że może kiedy wygramy wybory, będzie mógł zostać. Nie pamiętałem jego nazwiska, nie wiem, co się z nim dalej stało, będę wdzięczny, je-

śli ktoś z Czytelników napisze do mnie w tej sprawie.

Marek Mierzwiak i ja mieliśmy warunki naszej pracy uzgodnić z naczelnym redaktorem Radia Katowice. To było dziwne uczucie. Po 9 latach wchodziłem pełen nieufności do budynku, w którym wtedy załatwiałem jakieś sprawy związane z moim wyrzuceniem pod okiem żołnierza z kałasznikowem. Ale szef rozgłośni, Maciek Bakes przywitał nas jak starych kumpli. Bez żadnych ceregieli podpisał naszą umowę o współpracy, pożartowaliśmy, jakby nic przez te lata nie zaszło. On nie miał zamiaru nam przeszkadzać. Ale były w radiu miejsca, gdzie czuliśmy tąjną wrogość.

Komitet rodzaju żeńskiego

Byliśmy stałymi gośćmi Komitetu Obywatelskiego. Zapamiętałem z niego wyłącznie kobiety. Byli tam przecież i przedstawiciele brzydszej płci, ale w oczy rzucały się przede wszystkim panie. Spotykałem tam Barbarę Bartkiewicz, Barbarę Sobańską, no i oczywiście Danutę Skorenko, która dwoiła się i troiła, wozila ulotki, znaczki, telefonowała... Dlaczego nie zapamiętałem żadnego mężczyzny? Myślę, że bierze się to stąd, że pracujące w lokalu przy ul. Teatralnej panie miały w sobie niesłychany entuzjazm i kolosalną witalność. Kiedy już mieliśmy harmonogram nagrywania audycji z poszczególnymi kandydatami w radiu, nie musieliśmy tak często się pojawiać w KO, ale przychodziliśmy tam, żeby „podładować akumulatory”. No i wymienić informacje. Wydaje mi się teraz, że ta nadobność kobiet miała też znaczenie dla zwyczajnych ludzi, którzy nie do końca wierzyli władzy (przecież już raz, w 1980 roku podpisała porozumienia). Ich obawy malały, kiedy widzieli, że słaba pięć działa i się nie boi.



Bp Damian Zimoń w rozmowie z Adamem Michnikiem.

Wróg publiczny nr 1 na Ligionia

Przeżywaliliśmy z Markiem Mierzwakiem gorące dni. Audycje wyborcze robiliśmy przecież poza swoją normalną pracą. Podzieliliśmy między siebie kandydatów, kilku „przydzieliliśmy” Jackowi Filusowi. Dochodził na nagrania ze swoimi komentarzami Jacek Cieszewski. Kandydatem na posła w Bytomiu był „spadochroniarz z Warszawy” – Adam Michnik. Przyjeżdżał wtedy do „Gościa Niedzielnego” uczyć się Śląska. I naprawdę wtedy się uczył. Audycję z nim miał robić Marek. Ja tylko przeprowadziłem Michnika z redakcji „Gościa” do rozgłośni. Pamiętam wrażenie, jakie to wywołało w radiowym budynku. Dla niektórych „bojowników z pierwszej linii frontu ideologicznego”, którzy nim i Kuroniem straszili niegrzeczne dzieci, był to po prostu koniec świata.

Michnik bez trudu wypełnił swój limit czasu na antenie. Ale nie wszyscy nasi kandydaci byli tak elokwentni. Wpadłem więc na pomysł, żeby dopełnić minutą nagrań znaną piosenką Jana Pietrzaka. Po rozmowie z jakimś mniej wygadany kandydatem rozbrzmiewał więc refren „...żeby Polska, żeby Polska, żeby Polska była Polską”. Marek pomysł też kupił, mieliśmy więc, poza charakterystycznym sygnałem muzycznym ze słowem „Solidarni” audycji wyborczych KO, drugie logo dźwiękowe.

Fedorowicz przed teatrem

Śląsk był najbardziej spacyfikowanym regionem w stanie wojennym. Dziewięciu zabitych na „Wujku”, mnóstwo internowanych, skazanych w procesach politycznych, wyrzuconych z pracy. W samym Radiu Katowice internowano 3 dziennikarzy, kilkanaście osób zwolniono „ze służby w jednostce zmilitaryzowanej”, co było jak wilczy bilet. W pierwszym okresie po wyrzuceniu pracowałem najpierw w prywatnej wytwórni sprzężyn, potem byłem palaczem c.o. Marek Mierzwak, po zwolnieniu



Pielgrzymka do Piekar Śląskich 1989 r. Od lewej: przyszły senator Andrzej Wielowieyski, przyszły poseł Adam Michnik, przyszli senatorowie Leszek Piotrowski i August Chelkowski, w tle Lech Wałęsa.

z internowania, handlował butami. Jak wypadną wybory na Śląsku, gdzie tak ostro rozprawiono się z wszelkimi próbami oporu – to było istotne pytanie. Przyjeżdżali więc tu dziennikarze krajowi i zachodni korespondenci. Pamiętam, jak Monika Olejnik upuściła magnetofon dokładnie przed budynkiem kurii diecezjalnej. Rąbnął na granitowe płyty chodnika. Radiowiec „zakneblowany” przez takie głupstwo. Rozpacz. Marek pożyczyl jej wtedy sprzęt.

Wyrzuceni dziennikarze przekazywali też korespondencje do zachodnich rozgłośni. Ja obsługiwałem sekcję polską BBC. Oczywiście to oni dzwoniли do mnie, bo z Katowic (trudno w to dziś uwierzyć) nie dało się połączyć z Londynem, i to o jakiejś określonej godzinie. To było dla mnie wyróżnienie. A także okazja, żeby powiedzieć reszcie Polski, co się u nas dzieje. Np. że kioskarze dostali polecenie wywieszania ulotek jednego z kandydatów PZPR. Tomasz Brzeski z BBC powiedział za którymś razem, że za te korespondencje oni wypłacą mi honorarium. – Jak? – pomyślałem tylko. No i rzeczywiście – skończyło się na słowach.

Przyjeżdżali też na Śląsk artyści. Jacek Fedorowicz, który na schodach Teatru Śląskiego im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach prowadził wiec

wyborczy, uczył katowiczian skandować nazwiska kandydatów do Senatu i na katowickiego posła: „Chelkowski, Piotrowski, Wielowieyski, Pańko”. (August Chelkowski – internowany po 13 grudnia rektor Uniwersytetu Śląskiego, Leszek Piotrowski – prawnik, obrońca w procesach politycznych, Andrzej Wielowieyski – działacz opozycyjny, współpracownik „Gościa Niedzielnego”, Walerian Pańko – doradca „Solidarności”, pracownik naukowy.) Nie była to skomplikowana agitacja. Nasi przyszli parlamentarzyści stali obok jakby trochę zażenowani, a w wielkim tłumie widać było ogromną radość. Obsługiwałem ten wiec, pomagał mi niezujący już Józek Loska, radiowy technik i kierowca. To dobre miejsce, żeby wspomnieć o radiowych technikach. Dziewczyny (bo to był mocno sfeminizowany dział) pracowały z wielkim zaangażowaniem, wspomagały nas w trudnych chwilach. Ryzykowały, bo gdyby wybory skończyły się inaczej, na pewno miałyby przykrości.

Kilar bez fonii

Nie pamiętam już, czy w radiu to myśmy zignorowali cenzurę (to znaczy w ogóle nie dawali jej audy-



Spotkanie kandydatów „Solidarności” w katowickiej Kurii Biskupiej.

cji do słuchania), czy po prostu cenzura w nasze poczynania nie ingerowała. W telewizji w każdym razie Urząd Kontroli Publikacji, Prasy i Widowisk działał. Dzięki temu w jednej z audycji wyborczych Sarnowicza telewizywnie zobaczyli znakomitego kompozytora Wojciecha Kilara poruszającego bezgłośnie ustami. Pod obrazem „biegł” napis stwierdzający złamanie jakiegoś przepisu ustawy o cenzurze z charakterystycznymi kwadratowymi nawiasami. O ile dobrze pamiętam Wojciech Kilar naruszył sojusze. To było coś – niemy film z twórcą muzyki.

Ostatnia niedziela

przedwyborcza wypadła w dniu pielgrzymki mężczyzn i młodzieńców do sanktuarium Matki Bożej Miłości i Sprawiedliwości Społecznej. Władze bardzo Piekary nie lubiły. Tam przez 10 lat kardynał Karol Wojtyła głosił do robotników swoją ewangelię pracy, tam upominali się później biskupi o prawa pracownicze i prawa człowieka. Było to miejsce, w którym społecznej nauki Kościoła słuchały tysiące. A w roku 1989 Piekary stały się areną największego chyba w Polsce wiecu wyborczego. Była oczywiście wielka modlitwa, kolejki do konfesjonatów, Msza św. i pieśni maryjne – to wszystko, co towarzyszy tej pielgrzymce od lat. Ale na honorowych miejscach siedzieli wszyscy nasi kandydaci do Sejmu i Senatu, był Lech Wałęsa, inni działacze opozycji, ponadto zaś zjawiał się znany aktor i piosenkarz francuski Yves Montand (też już nie żyje), który przyjechał specjalnie, żeby zmanifestować swoją solidarność z „Solidarnością”. Od stanu wojennego zawsze były na piekarskim wzgórzu kalwaryjskim jakieś zakazane transparenty, ale tym razem pojawiło się ich całe mnóstwo. Myślę, że właśnie tam, w tej niesłychanie uduchowionej atmosferze, nastąpiła kulminacja kampanii, choć nikt nie wykrzykiwał populistycznych, wyborczych haseł.

Dumny, bo z Katowic

Nasza praca dobiegała końca. Zaprezentowaliśmy naszych kandydatów na antenie i telewizyjnym ekranie. (Potem, już w drugiej turze, ponieważ i przed nią mieliśmy przydzielony czas na emisję własnych audycji, psuliśmy z Markiem robotę władzy, reklamując ludzi z jej obozu, ale nie tych, którzy zajmowali pierwsze miejsce na liście. Też z sukcesem. Szczęśliwy „wybraniec” jednej z organizacji tak się podobno przestraszył swojego zwycięstwa, że przez kilka dni ukrywał się przed swoim szefem, który był „z urzędu” wyznaczony do wygrania.) Poza prezentowaniem naszych kandydatów, tłumaczyliśmy jeszcze jak głosować. Bo system wówczas był dość skomplikowany. Nie stawało się „krzyżyka” przy jakimś nazwisku, trzeba było poziomą linią poszczególnych kandydatów skreślać. Męczące zadanie, bo do wykreślenia była cała lista krajowa z „pewniakami” władzy.

Jedno trzeba powiedzieć: po naszej kampanii nie byliśmy już takimi optymistami. Na listach wyborczych Komitetu Obywatelskiego znaleźli się bowiem ludzie niewątpliwie zasłużeni, odważni, szlachetni, ale... Wielu z nich, naszym zdaniem, nie nadawało się do pracy w najwyższym organie władzy ustawodawczej. Mówiłem do Marka żartem: „Ja jestem z Katowic. My tu mamy dobrze, bo głosujemy na Pańkę”. Nieżyjący już Walerian Pańko był wspaniałym człowiekiem, uczciwym, mądrym i bardzo kompetentnym. Niewątpliwym autorytetem moralnym był też śląski kandydat do Senatu, nieżyjący już również August Chelkowski. No cóż, nie wszyscy mogli być z Katowic. Ale i tak nasze województwo miało niezły skład „Solidarnych”, kilka osób potem trafiło do rządu.

Wyborcza whisky

4 czerwca umówiliśmy się w naszym mieszkaniu z państwem Sarnowiczami na wspólne wyborcze popołudnie.

Siedzieliśmy sobie, rozmawiali, sączyli whisky, denerwowali wiadomościami z Placu Niebiańskiego Spokoju w Pekinie, ale przede wszystkim czekali na wiadomości z lokali wyborczych. Wojtkowi udało się bowiem załatwić to, że mieliśmy mieć telefoniczne wiadomości o wynikach z tzw. obwodów zamkniętych – szpitali, więzień, domów opieki, nawet z wojska. Swoim informatorom zostawił numer mojego domowego telefonu, bo – nie uwierzysz, Droga Młodzieży – w tamtych czasach nie było jeszcze komórek.

Co pewien czas telefon dzwonił, Wojtek odbierał i po chwili ogłaszał nam rozpromieniony: „Tam i tam wszyscy kandydaci „Solidarności” przeszli. I lista krajowa padła”. Jeżeli tak to wyglądało w obwodach zamkniętych – na wolności mogło być tylko lepiej.

Pamiętając wcześniejsze rozmowy o niektórych kandydatach, zażartowałem:

– Wygraliśmy, pora emigrować.

Te słowa jakoś się dość szeroko rozeszły, różni znajomi potem przy różnych okazjach mi je cytowali z komentarzem, że myśleli, iż to tylko taki bon mot satyryka. Pytali, skąd wiedziałem.

Nie wiedziałem, że już wkrótce wybuchnie wojna na górze, że pojawi się Stan Tymiński z czarną teczką, że po krótkiej przerwie komuna wróci do władzy, że również ludzie „Solidarności” wdadzą się w jakieś afery, że zniknie poczucie wspólnoty, że dawna opozycja się podzieli, że dawni koledzy się znienawidzą. Nie wiedziałem nawet, że podobne rzeczy się zdarzają także w starych demokracjach, bo idealizowaliśmy sobie Zachód.

Krajobraz po bitwie

Piątego czerwca 1989 roku, kiedy wszedłem do Radia Katowice zobaczyłem obraz, który mi utkwił głęboko w pamięci. Dziennikarze „z pierwszej linii frontu ideologicznego” byli kompletnie załamani. W pokojach panowała grobowa cisza. Byli w szoku. Trudno im było zrozumieć, co się stało i jak my, mający kilkuminutowe audycyjki wyborcze pokonaliśmy ich, mających do dyspozycji cały program.

Chyba mieli nadzieję, że to jeszcze nie koniec, że jeszcze wszystko się odwróci.

Wyjście radzieckich wojsk z Polski, członkostwo w NATO, wejście do Unii Europejskiej – to nawet nam się nie mieściło wtedy w głowie. Chcieliśmy normalności, życia w wolnym kraju. Dziś łatwo krytykować rzeczy, które się nie udały, łatwo deliberować o tym, że coś mogło być załatwione inaczej, lepiej. Zapomnieliśmy już o dowcipie; jaka jest najtrudniejsza droga? – Od kapitalizmu do komunizmu i z powrotem.



Krajobraz po zwycięstwie. Posel Walerian Pańko usuwa swoje niepotrzebne już plakaty.



Uczestnicy uroczystości wręczenia insygniów Kawalera Legii Honorowej prof. Wiesławowi Banyśowi

MARIA
SZTUKA

Sława i szacunek

Według sondażu przeprowadzonych wśród młodzieży przygotowującej się do wyboru kierunku studiów, pojawiły się dwa kryteria decydujące, zdaniem przyszłych studentów, o prestiżu danej uczelni. Pierwsze to wysokiej klasy kadra naukowa, drugie otwarta współpraca międzynarodowa, umożliwiająca kontynuowanie nauki w renomowanych szkołach wyższych na wszystkich kontynentach. Nie ma więc cenniejszej promocji niż najwyższe godności i nagrody przyznawane naukowcom, które podnoszą nie tylko ich własny prestiż, ale jednocześnie sławią dobre imię rodzimej *Alma Mater*.

Tegoroczny maj w sposób szczególnie zapisał się w historii Uniwersytetu Śląskiego. JM rektor prof. zw. dr hab. Wiesław Banyś aż dwukrotnie został wyróżniony: 7 maja odebrał insygnia oficera Orderu Legii Honorowej, jednego z najwyższych odznaczeń Republiki Francuskiej, natomiast tydzień później, 12 maja został uhonorowany tytułem doktora *honoris causa* Uniwersytetu Pedagogicznego im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie.

Profesor Wiesław Banyś jest absolwentem filologii romańskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego, z Uniwersytetem Śląskim w Katowicach związany od 1974 r. Specjalizacją naukową profesora są: językoznawstwo ogólne i językoznawstwo romańskie, a w szczególności: gramatyka se-

mantyczna, logiczne podstawy językoznawstwa, językoznawstwo kognitywne, kognitywna leksykografia komputerowa oraz językoznawstwo stosowane, w szczególności: językoznawstwo komputerowe, tłumaczenie automatyczne, elektroniczne bazy danych słownictwa specjalistycznego, automatyczne indeksowanie i streszczanie tekstów. Od 2008 r. jest rektorem Uniwersytetu Śląskiego, przewodniczącym Konferencji Rektorów Uniwersytetów Polskich, od 2012 r. przewodniczącym Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich (KRASP), zrzeszającej ponad 100 rektorów szkół akademickich w Polsce, przewodniczącym Regionalnej Konferencji Rektorów Uczelni Akademickich (RKRUA).

Orędownik frankofonii na Śląsku

Uroczystość wręczenia insygniów kawalera Orderu Legii Honorowej odbyła się w Sali Marmurowej Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach. Aktu odznaczenia dokonał ambasador Francji w Polsce, Pierre Buhler, przypominając, że już w 2006 r. profesor W. Banyś został wyróżniony Orderem Palm Akademickich, co było wyrazem uznania za wybitne osiągnięcia naukowe w dziedzinie lingwistyki i semantyki *W ramach swoich badań naukowych współpracował Pan z wieloma*

francuskimi uniwersytetami, od Sorbony po Paris XIII, od uniwersytetu w Amiens po uczelnię w Valenciennes, odbył liczne staże naukowe, był profesorem wizytującym na uniwersytecie Paris XIII – podkreślił Ambasador, stwierdzając jednocześnie, że dzięki zaangażowaniu i podjętym działaniom profesora W. Banysia język francuski zajmuje dzisiaj poczesne miejsce wśród języków obcych nauczanych na Śląsku. Darząc język francuski i Francję szczególnym uczuciem, wniósł Pan cenny wkład w promowanie języka francuskiego a także w pogłębianie stosunków francusko-polskich we wszystkich dziedzinach. Dzięki Panu uczelnia ta rozwinęła bogatą współpracę międzynarodową, zwłaszcza z Francją, dzięki między innymi programowi podwójnych dyplomów. Przez cztery lata pełnił Pan funkcję przewodniczącego Konferencji Rektorów Uniwersytetów Polskich. Następnie, w 2012 roku, został wybrany przewodniczącym Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich. Z oddaniem godnym najwyższego uznania działa Pan na rzecz polskiej społeczności akademickiej, dążąc zwłaszcza do umiędzynarodowienia polskich uczelni, angażuje się Pan w działania podejmowane wspólnie z przewodniczącymi konferencji rektorów uniwersytetów francuskich i niemieckich, aby wspólnie kształtować europejską politykę naukową. (...) Mianując Pana kawalerem Orde-



Przemówienie Kawalera Orderu Legii Honorowej, od lewej wojewoda śląski Piotr Litwa, prof. Wiesław Banyś i JE Ambasador Francji w Polsce Pierre Buhler

ru Legii Honorowej, Prezydent Republiki Francuskiej pragnął wyróżnić wieloletniego przyjaciela Francji, kluczowego partnera Ambasady Francji w Polsce i ośrodka Alliance Française w Katowicach, człowieka będącego orędownikiem frankofonii na Śląsku – zakończył JE Ambasador.

W uroczystości udział wzięli marszałek województwa śląskiego Mirosław Sekuła oraz przewodniczący Sejmiku Województwa Śląskiego Andrzej Gościński. Ceremonię poprowadziła Anna Krasuska-Terillon, konsul honorowy Francji w Katowicach.

Doktorat *honoris causa*

Tytuł doktora *honoris causa* uczelnie nadają osobowościom niezwykłym, kierując się uznaniem dla ich zasług dla rozwoju w dziedzinie nauki, kultury, polityki... Senat Uniwersytetu Pedagogicznego im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie postanowił uhonorować tą najwyższą godnością akademicką pro-

fesora Wiesława Banyś. Uroczystość była szczególna, ponieważ najlepsza uczelnia pedagogiczna a zarazem pierwszy w Polsce uniwersytet pedagogiczny świętował 68. rocznicę działalności. JM Rektor UŚ powiększył grono dostojnych Doktorów Honorowych, pośród których znaleźli się m.in. prof. Jacques Cortès, prof. Štefan Hraška, ks. prof. Józef Tischner, prof. Edward Polański, ks. kardynał Stanisław Dziwisz, ks. prof. bp Tadeusz Pieronek...

Autorka laudacji profesor Teresa Muryn, uzasadniając decyzję nadania tytułu doktora *honoris causa* profesorowi W. Banyśowi skupiła się na trzech podstawowych płaszczyznach: naukowej, organizacyjnej i związków z Uniwersytetem Pedagogicznym. Ogromny dorobek naukowy profesora Banyśa znajduje odzwierciedlenie w licznych publikacjach – trzy monografie, dwie w przygotowaniu (w tym jedna we współpracy z prof. Jean-Pierre'm Decslés'm z Uniwersytetu Paryż III w wydawnictwie Ophrys w Paryżu), około 70

artykułów w prestiżowych czasopiśmie, skrypt do gramatyki francuskiej. Profesor redaguje także renomowane czasopismo naukowe „Neophilologica” i współredaguje „Etudes Cognitives”. Swoją wiedzę profesor W. Banyś stale wzbogaca uczestnicząc w bieżącym życiu naukowym w swojej specjalności we Francji. Profesor T. Muryn podkreśliła także zasługi Przewodniczącego Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich (KRASP) w dziedzinie organizacji nauki na poziomie międzynarodowym.

Jakie więzy łączą prof. W. Banyśa z Uniwersytetem Pedagogicznym w Krakowie? Otóż prof. Stanisław Karolak – wyjaśniła prof. T. Muryn – stworzył przed laty zespół naukowy, który połączył szczególnieymi więzami 3 uniwersytety: Pedagogiczny, Śląski i Paryż XIII. Owa nieformalna, oparta na przyjaźni, współpraca (wspólne konferencje, publikacje) uległa zmianie dopiero w latach 90. ubiegłego wieku. *Profesorowie Stanisław Karolak z Uniwersytetu Pedagogicznego i Gaston Gross z Uniwersytetu Paryż XIII postanowili, choćby symbolicznie, nadać rzeczywisty wymiar temu partnerstwu. I tak w 1999 roku prof. Gaston Gross został doktorem honoris causa naszej Uczelni.*

Ta trwająca już od ponad 40 lat współpraca jest *pielegnowana przez nas wszystkich, uczniów i następców. Rozwija się też symbolicznie: do zespołu został zaproszony kolejny gość i przyjaciel zarówno UP, jak i UŚ, prof. Salah Mejri z Uniwersytetu Paryż XIII, doktor honoris causa naszej Uczelni w 2013 roku. Nie sposób wyobrazić sobie, aby nie dołączył do nich prof. Wiesław Banyś, obecny od samego początku swojej drogi naukowej we wszystkich przedsięwzięciach naukowych, w których krzyżowały się drogi trzech uniwersytetów.*

Nasz zespół redakcyjny dołącza się do gratulacji: Panie Profesorze
Ad multos annos!



Ceremonia wręczenia tytułu doktora *honoris causa*. Na zdjęciu rektor Uniwersytetu Pedagogicznego im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie prof. Michał Słiwa i rektor Uniwersytetu Śląskiego prof. Wiesław Banyś



Prof. Wiesław Banyś – rektor Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, przewodniczący Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich oraz Regionalnej Konferencji Rektorów Uczelni Akademickich



Tadeusz Różewicz, rok 2008, Konstancin

FELIKS
NETZ

Gdy myślę: RÓŻEWICZ

Trzech poetów wywarło największy wpływ na charakter polskiej poezji: Jan Kochanowski, Adam Mickiewicz i Tadeusz Różewicz. Wielu innych, wielkich i znakomitych, wniosło coś istotnego i trwałego do owej poetyckiej katedry, która przecież jest w ciągłej budowie, ale każdy z tej genialnej trójcy wstrząsnął – z niepojętą wprost energią – i polskim wierszem i polskim językiem. Tadeusz Różewicz długo czekał na uznanie. Za moich licealnych lat pozostawał całkowicie poza granicami szkolnej edukacji! Zył długo i dożył uznania nie tylko w Polsce: byłem głęboko poruszony, gdy mój amerykański przyjaciel, poeta, napisał mi, że spędzając ostatnie trzy tygodnie u łóża umierającej matki, czytał jedną jedyną książkę: poezje polskiego poety Tadeusza Różewicza! Nie otrzymał Nobla, co panowie ze Szwedzkiej Akademii mogą wpisać na listę (niemałą) swoich śmiertelnych grzechów...

Autor „Płaskorzeźby”, co zaznaczamy z satysfakcją, był wyjątkowo mocno związany z naszym pismem od pierwszego numeru, o czym świadczą publikacje na łamach „Słaska” Jego poematów, wierszy, prozy i dzienników.

W roku 1996, pragnąc uczcić 75. rocznicę urodzin Tadeusza Różewicza,

zwróciliśmy się do czołowych polskich poetów z prośbą o wypowiedź w ankiecie POECI O RÓŻEWICZU, w której udział wzięli m.in.: Wisława Szymborska i Czesław Miłosz.

Przed trzema laty, w 90. urodziny Tadeusza Różewicza, najwybitniejszego z żyjących polskich poetów, przygotowując materiał pt. Z DEDYKACJĄ DLA TADEUSZA RÓŻEWICZA, zastanawialiśmy się, czy wpływ autora „Niepokoju” na kolejne generacje poetyckie – tak silny i bezspomy – jest również mocny wśród poetów, którzy zaistnieli na polskiej scenie literackiej w ciągu ostatnich dwóch dekad. Uzyskaliśmy szeroki wachlarz wypowiedzi; nierzadko lapidarnemu (o co prosiiliśmy) tekstowi towarzyszył wiersz napisany właśnie z dedykacją dla Tadeusza Różewicza.

Dzisiaj, gdy dzieło życia Tadeusza Różewicza jest już zamknięte, wracam, nie bez wzruszenia do tekstów sprzed trzech lat, jakie otrzymałem od poetek i poetów z całej Polski. Myślę, że te zwięzłe, treściwe glossy, okażą się nieocenione dla przyszłych badaczy twórczości Tadeusza Różewicza. Nie są to laurki z okazji urodzin. Są to próby uchwycenia, zdefiniowania, przede wszystkim na własny użytek, dla samego siebie, także jako poety, tego, co w dziele Tadeusza Różewicza absolut-

nie oryginalne, niepowtarzalne, inspirowane, co wzbogaciło teorię polskiej poezji o „wiersz różewiczowski”. Co stworzyło epokę.

Z dwudziestu wypowiedzi wybieram – na potrzeby tej publikacji – jedynie fragmenty, za co z góry przepraszam Autorów. Na szczęście wszystkie teksty ukazały się przed trzema laty na łamach „Słaska”. Dzisiaj są już historią.

**Pisał JANUSZ DRZEWUCKI
(Warszawa):**

„Burząc budował. W ten sposób stworzył IV system wersyfikacyjny w poezji, nowy typ prozy eseistycznej, wreszcie koncepcję tzw. teatru niemożliwego. Zmienił nasze tradycyjne – by nie powiedzieć tradycjonalistyczne – myślenie o poezji, uwalniając słowa z wszelkich dyscyplin wersyfikacyjnych. Wprowadził do poezji na nie spotykaną dotąd skalę żywą polszczyzną. Co więcej, skompromitował, że się tak wyrażę, poetyckość poezji, którą charakteryzują z jednej strony czułościowość i sentymentalizm, natomiast z drugiej – patos i koturnowość. Podstawowym problemem dla Różewicza, wyrażonym kiedyś w jednym z jego wierszy, było: „Stworzyć poezję po Oświęcimiu”. I oczywiście stworzył.”

Tegoroczny laureat Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej – **Mariusz Grzebański (Poznań)**, wypowiedział piękne zdanie: „Dla mnie Różewicz to przede wszystkim jego niedające spokoju wiersze”. W tle tych słów widoczny jest pamiętny tytuł debiutanckiego tomu Tadeusza Różewicza: „Niepokój”. Mariusz Grzebański trafia w sedno, gdy porusza kwestię podobania, czy też niepodobania się tej poezji. Jest to kryterium, z natury rzeczy, dość kapryśne, ale przecież dopuszczalne:

„Poezja Różewicza nie porywa mnie ani nie zachwyca. Nie taka jest jej rola. Ona nie przymila się do czytelnika. Raczej ukierunkowuje jego myślenie na to, o czym zwykle nie chce pamiętać. Albo czego w ogóle wolałby nie wiedzieć. To szkoła podejrzeń, forma emancypacji i nauka odwagi jednocześnie. Odkłamując rzeczywistość, zmusza do rewidowania własnych przekonań. Do przyjęcia postawy krytycznej. W tym widzę zasadniczą wartość tej twórczości. Twórczości, która przez lata ewoluowała. Nie zmieniła się ona znacząco pod względem formalnym, ale niezmiennie potrafiła sprostać wyzwaniom stawianym wybitnej literaturze. Zmieniał się świat, wraz z nim zmienił się autor *Recyclingu*. On przez te wszystkie lata nadał za rzeczywistością. I nadał za nią język jego wierszy. To mi w nim imponuje.”

Bardzo byłem ciekaw, co mi przyśle **Joanna Mueller (Warszawa)**, której wiersze, naładowane niczym elektrycznością, niesamowitą inwencją językową w duchu Leśmiana, ale, rzecz by można, poddanego „próbie Różewicza”, zrobiły na mnie wielkie wrażenie. Otrzymałem wiersz, olśniewający!, i kilkadziesiąt linijek tekstu, z którego wybieram dwa fragmenty, pierwszy o gościu Różewicza:

„O wielkiej sile gestu dokonanego przez Różewicza może przekonać się każdy, kto kiedykolwiek prowadził warsztaty pisania dla początkujących poetów albo czytał utwory nadsyłane masowo na którykolwiek konkurs poetycki. Otóż okazuje się, że znakomita większość tekstów nieopierzonych poetów jest pisana nie którymś z regularnych systemów wersyfikacyjnych poznawanych w szkole (sylabikiem, sylabotonikiem czy tonikiem), lecz realizuje model wersyfikacyjny stworzony po drugiej wojnie światowej przez autora *Niepokoju* – tak zwany wiersz wolny skupieniowy, syntagmatyczny, powangardowy, czyli – mówiąc najprościej – wiersz różewiczowski.”

I fragment drugi, w którym poetka stawia śmiałą i rozumną tezę:

„Oczywiście dzisiaj, ponad pół wieku po dokonaniu przez poetę kardiowersji wersów, tętno wiersza różewiczowskiego nie nadąza już za rytmem rzeczywistości. Polskiej poezji potrzebna jest kolejna zmiana metrum, arytmia nowego niepokoju. Póki co jej serce wciąż bije w takt wyznaczony *Niepokojem* Różewicza. Takich operacji, takich interwencji na żywym organizmie się nie zapomina.”

ADRIAN GLEŃ (Opole):

Poeta, krytyk obdarzony nadzwyczajną wrażliwością, dociekliwy badacz polskiej poezji, podjął kwestię różewiczowskiego istnienia w milczeniu:

„Bycie, pisanie i milczenie. To jedno. Właściwie to wszystko, tak, to wszystko. Ale rezygnacja z działania nie jest negacją rzeczywistości, u jej podstaw tkwi głębokie przeświadczenie o podstawowym dla kondycji człowieka braku, niemożności pełnego poznania. Tajemnica pozostanie tajemnicą. Musi nią być, abyśmy byli sobą (?). «Staję się poetą / kiedy odkładam pióro» ale po odejściu (stanu poetyckiego?) zostaję / i dopisuję te słowa». Skomplikowanie własnej konstytucji wydaje się jedynie skutkiem ubocznym osiągnięcia «bycia milczącego», chwili szczęśliwości poza językiem, kiedy po prostu «patrzę w okno / zamykam oczy» (*Przypomnienie*), być może jedynie za ramą tekstu prawdziwie *u-dzielam* się sobie i światu.”

Paradoks Tadeusza Różewicza: „Staję się poetą, kiedy odkładam pióro”.

Jakże to: raczej, na zdrowy rozum, jest na odwrót! Kończę pisać wiersz, odkładam pióro, staję się tak zwanym zwykłym człowiekiem. Otóż nie! Odejdzie od biurka, wyjdzie na ulicę, wejście między ludzi, poddanie się fałi tak zwanego życia, oto akt prawdziwie poetycki. Innymi słowy: poezja jest tam, gdzie jest życie. Nie można jednak wykluczyć i takiego paradoksu, wedle którego życie jest tam, gdzie jest poezja.

MARIA KORUSIEWICZ

(Bielsko Biala):

„Pisać o Różewiczu, to jak próbować uchwycić wymiar ziemi, na której – jeśli piszę – sama stoję. Ziemi – tak, to dobre słowo.”

Dośkonale powiedziane: **UCHWYCIĆ WYMIAR ZIEMI!** Zamiar jakże śmiały, do objęcia w kategoriach nauk ścisłych: obliczyć można wszystko! Ale uchwycić, jak materię, wymiar Ziemi, to przedsięwzięcie skazane na niepowodzenie. Co nie znaczy, że należy zeń zrezygnować! Dzieło Tadeusza Różewicza jest olbrzymie, jak owe Góry Olbrzymie (niem.: Riesengebirge), czyli Karkonosze, w jakich – zgodnie z wolą Poety – złożono Jego prochy. Ale niech to dzieło nie przesłania nam człowieka (z dużej i z malej litery). Oto znamienne wyznaczenie poety i badacza literatury.

ARTUR NOWACZYŃSKI

(Gdańsk):

„Tadeusz Różewicz towarzyszy mi zarówno w doświadczeniach granicznych, jak śmierć członka rodziny (*Matka odchodzi*), jak i w bardziej błahych sferach życia – jakim jest kibicowanie, czy górskie wędrowki. Uroczy dedykowany Kazimierzowi Wyce tekst *Kibicce* nie ma sobie równych w literaturze polskiej poświęconej piłce nożnej. *Gawęda o spóźnionej miłości* poświęcona Wandzie Rutkiewicz jest jednym z najpiękniejszych wierszy o górach, które zdarzyło mi się czytać. I nie napisał go, paradoksalnie, jakiś alpinista, ale poeta emeritus, który dotarł do «górolbrzymich» w jesieni życia. Tym samym dziś, mając lat trzydzieści trzy, mogę napisać, że Tadeusz Różewicz jest dla mnie bardzo «życiowym» poetą. A tego w dzisiejszych czasach przede wszystkim się wymaga od nauczyciela i mistrza.”

Jeszcze jedna wypowiedź w duchu nie mniej osobistym!

RENATA PUTZLACHER

(Brno, Czechy):

Mam 19 lat. Kiedy zdawałam maturę w Gimnazjum z polskim językiem nauczania w Czeskim Cieszynie, kwitły kasztany. Teraz są zielone, opancerzone, a ja wiem, że pora wyruszyć

na studia do Krakowa. Mam duszę na ramieniu i „Niepokój”, wybór wierszy Różewicza (wydanie z 1980 roku) w plecaku. Do dziś jest w nim zakładka na stronie 40. „Najsmutniej jest wyjechać / z domu jesiennym rankiem / gdy nie nie wróży rychłego powrotu...” Wiersz „Kasztan”.

Dziś znów otwieram tomik Jubilata, który ma dokładnie dwa razy tyle lat, ile mam ja. (Brzmi to jak dawne zadanie z matematyki, której nigdy nie lubiłam.) Na stronie 40 niezmiennie króluje wiersz, który opowiada o domu, matce, ojcu i Bogu wszechmocnym, „bezradnym i źle namalowanym”. Przed laty wybrałam ten wiersz, bo ujął mnie jego początek. Teraz dopadło mnie zakończenie. „Dzieciństwo jest jak zatarte oblicze / na złotej monecie która dźwięczy / czysto.”

Gdy mowa o Tadeuszu Różewiczu, bardzo często, częściej niż w innych przypadkach, przywoływana jest słynna sentencja Theodora Adorno: *Nach Auschwitz noch ein Gedicht zu schreiben ist barbarisch*. Przytaczam te frazę w oryginale, ponieważ potocznie funkcjonuje jako refleksja: „Po Oświęcimiu poezja jest niemożliwa”. Tymczasem niemiecki filozof (wówczas obywatel USA) wypowiada się normatywnie, kategorycznie: „Napisanie jeszcze jednego wiersza po Oświęcimiu jest (aktem) barbarzyńskim”. Zrozumiały jest podtekst etyczny owego nakazu, bowiem praktycznie nie miał, jako że na zdrowy rozum mieć nie mógł zastosowania.

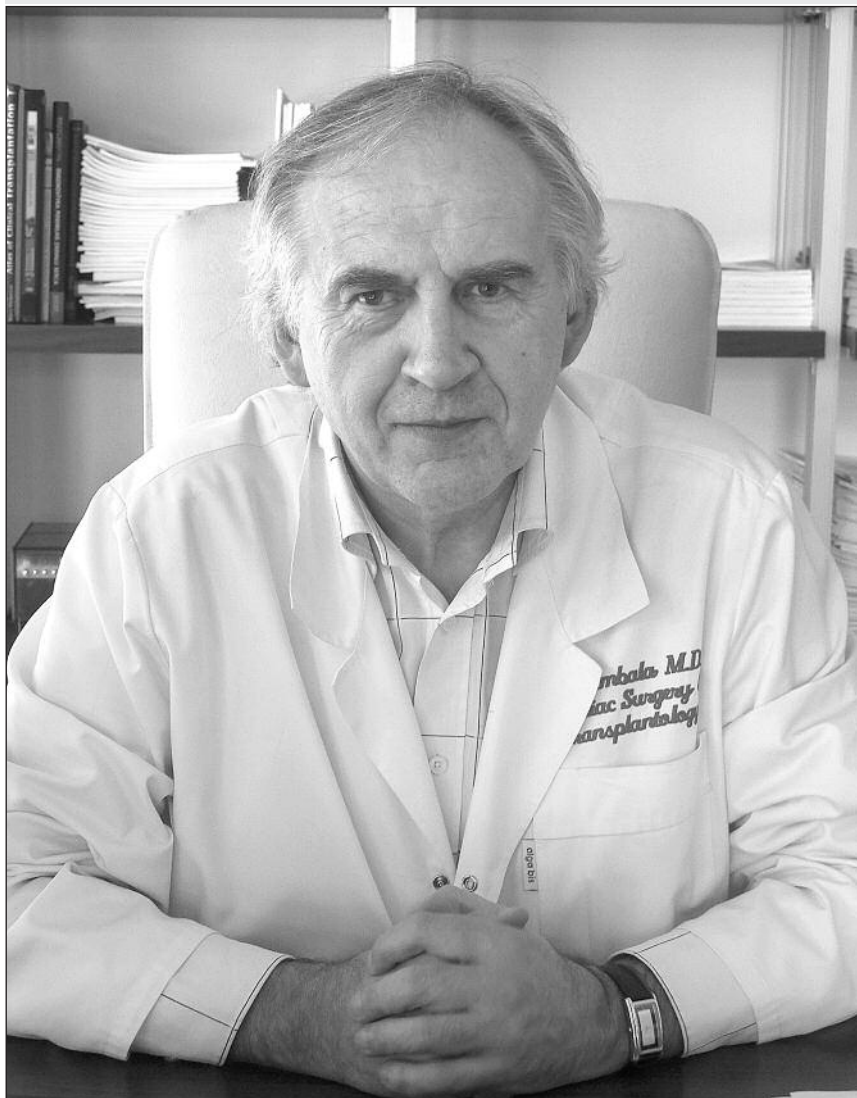
ŚLAWOMIR MATUSZ

(Sosnowiec):

Pamiętam mój szok, zdziwienie, graniczące ze strachem i to pytanie, które zadawałem sobie przez wiele następnych lat: czy można pisać wiersze po Tadeuszu Różewiczu? Już nie po Oświęcimiu... A potem kolejne pytanie: jak pisać, by nie naśladować Mistrza? Jak się uformułować i jego frazy, znaleźć własną formułę poetycką? Jak „zbiec od Różewicza”? Były też poetyckie dialogi z Mistrzem o rzeczach ważnych, nie o poezji. To od jednej z takich rozmów, wiersza „Latem do Auschwitz” zaczęła się moja poetycka sława, jeśli mogę tak napisać. Ten mój krótki wiersz nie podobał się Jerzemu Giedroyciowi, który zrywał się na niego w jednym liście do mnie, jaki od niego dostałem. Od tamtego czasu minęło wiele wierszy. Dziś wiem, że można pisać poezję po Oświęcimiu i można pisać poezję „po Tadeuszu Różewiczu”.

Każdy kataklizm znajdzie swojego Homera. Taka jest natura człowieka (z dużej i z malej litery), taki jest Duch Dziejów.

Z prof. dr. hab. MARIANEM ZEMBAŁĄ,
dyrektorem Śląskiego Centrum Chorób Serca w Zabrzu
rozmawia BARBARA GRUSZKA-ZYCH



Ręce ciągnące do życia

– Nie ma takiego zabiegu kardiologicznego na świecie, którego nie wykonywalibyście z powodzeniem u dorosłych i dzieci w Śląskim Centrum Chorób Serca w Zabrzu.

– Rzeczywiście, to prawda. Przyjmujemy chorych wymagających operacji serca z całego kraju, ale służymy też mieszkańcom województw – śląskiego, opolskiego i dolnośląskiego oraz ościennych – świętokrzyskiego, małopolskiego, łódzkiego, lubuskiego. Wśród naszych pa-

cjentów znajdują się tacy, których zdyskwalifikowano w innych, także dobrych ośrodkach kardiologicznych w kraju. Przyjeżdżają się do nas leczyć również ci, którym jeszcze niedawno pozostawało leczenie za granicą. Rocznie wykonujemy ponad 2300 operacji u dorosłych i dzieci. Dobre wyniki leczenia zawdzięczamy przede wszystkim solidnej pracy i kompetencji naszych lekarzy – kardiologów, kardiologów, anestezjologów, radiologów i pozostałego persone-

lu. Znani jesteśmy w kraju i za granicami z dużej aktywności w zakresie wykonywania nowoczesnej małoinwazyjnej kardiologii, małoinwazyjnych zabiegów hybrydowych, a wszystko po to, aby skuteczniej i bezpieczniej służyć chorym ze schorzeniami serca. Oczywiście, oprócz nowoczesnej kardiologii, jesteśmy wiodącym w kraju ośrodkiem w zakresie leczenia ciężkiej niewydolności serca, płuc włącznie z transplantacjami serca i płuc u dorosłych i dzieci we współpracy z kardiologami – pulmonologami. W 38-milionowym kraju, jakim jest Polska, pacjenci w krytycznych sytuacjach zdrowotnych nie mogą być skazani na pomoc jedynie w ośrodkach za granicznych i to w dodatku za bardzo wysokie opłaty, pochodzące przecież od polskiego podatnika, kiedy brakuje środków na leczenie w kraju. Najważniejsze, że w polskiej kardiologii, a widać to zwłaszcza po naszym województwie, dostępność do leczenia kardiologicznego jest wyjątkowo dobra. To niewątpliwą zasługą dwóch wiodących ośrodków – Zabrze i Katowic, wspomnianych przez Bielsko-Białą.

– Pan jest mentorem dla nowego pokolenia kardiologów. Czego ich pan uczy?

– Przede wszystkim umiejętności służeńia chorym i nowoczesnego leczenia. Zaczynając od wysokich wymagań zawodowych, kończąc na szacunku, pokorze i osobistym zaangażowaniu całego personelu. Stawiając wysokie wymagania jednocześnie staram się przekazać szacunek do poprzedników. Musimy stale pamiętać, że podstawą pracy lekarza, pielęgniarki, pracownika medycznego jest postawa służenia choremu. Tego nauczyłem się od mojego nauczyciela chirurgii, pioniera polskiej kardiologii – prof. Wiktora Brossa z Wrocławia, związanego także z Katowicami, gdzie przeniósł się na emeryturze. To był początek lat 70. ubiegłego wieku. Byłem jego najmłodszym asystentem we wrocławskiej Klinice Chirurgii Serca, Naczyń i Torakochirurgii i widziałem jak wymagał od współpracowników, asystentów codziennej 10-12-godzinnej gotowości bycia w klinice. Któregoś dnia poprosił mnie, żebym pobiegł po taksówkę. Kiedy przyjechaliśmy wyszedł przed klinikę i przedstawił mi dwie pacjentki: „Tu jest matka z dzieckiem siwym z powodu ciężkiej wady wrodzonej serca, kobieta niedawno straciła męża – kolejarza”. Poprosił taksówkarza, żeby ją zawiózł do domu w Nowym Sączu, a po drodze zatrzymał się, by razem z dzieckiem coś zjadła. Drugą chorą polecił odwieźć na dworzec kolejowy we Wrocławiu. Zapłacił za ten kurs z własnej kieszeni i w żadnym wypadku nie zrobił tego na pokaz, bo przecież nikt oprócz mnie o tym się nie dowiedział. Nasz cały zabrański zespół pamięta o poświęceniu wobec najtrudniejszych chorych, jakie pozostawił nam w testamencie zawodowym założyciel ośrodka – prof. Zbigniew Religa.

– **Najważniejsze jest świadectwo.**

– To prawda. Zasad profesjonalizmu zawodowego i etycznego trzeba przestrzegać w codziennym życiu. Chciałbym, żeby szacunek mojego zespołu do mnie wynikał z tego co robię.

– **Dziś jeszcze wielu lekarzy uważa się za władców ferujących wyroki o życiu czy śmierci.**

– Trzeba stale praktykować pokorę i szacunek wobec chorego. Właśnie po tym, obok wiedzy i doświadczenia, poznaje się dobrego lekarza i dobrego człowieka. Obserwuję w moim otoczeniu coraz więcej dobrych wzorów w relacjach lekarz-pacjent. Postawy aroganckie wobec bliźnich w każdym zawodzie są naganne i zasługują nawet na działania resocjalizujące. Chłonne mu na sensacje społeczeństwu bardzo odpowiada rosnąca agresywność mediów, zwłaszcza tabloidów, w sprzedawaniu negatywnych, często nieprawdziwych wiadomości na ten temat. Niestety, to mocno niszczy zaufanie do lekarzy.

– **Boi się pan śmierci?**

– Boi się jej każdy lekarz, bo to znak, że przegrał walkę o chorego. Poziom lęku i bólu z powodu straty pacjenta zależy od tego, jak przebiegała choroba. Jest tym większy, kiedy dotyczy młodszej osoby, bardziej zaskakującego problemu zdrowotnego, którego przebieg był dwuznaczny, mało objawowy. Kiedy się bardzo buntujemy przeciwko śmierci? Gdy, pomimo naszego maksymalnego, ludzkiego zaangażowania i zastosowania nowych technologii, wszystko nam idzie pod górę. Te sygnały odczytuję już z relacji pielęgniarek, kiedy po nocnym dyżurze, tuż przed siódmą rano, spotykam się z nimi i słyszę: „Panie profesorze ta *dwójka*, jak mówimy skrótowo, czyli w tym przypadku – 88-letnia pacjentka, przyjęta w nocy do pilnej operacji, niestety, jest jeszcze ciągle na trudnej drodze”. W szpitalu liczy się nie tylko dobry lekarz, ale też pielęgniarka, laborantka, rehabilitant, pracownik administracyjny.

– **Kiedy przyjmowany do was chory słyszy od pielęgniarki oddziałowej, pana, lub jego zastępcy, że w tym szpitalu nie pobiera się opłat za leczenie – to wyjątek czy nowa jakość w naszej służbie zdrowia?**

– Ważne, żeby informować o tym chorych, równocześnie zapoznając ich z Kartą Praw Pacjenta. Taka wiadomość uspokaja ich i cieszy. Jednoznaczność tej sytuacji jest również dla nas, leczących, motywacją do odrzucenia niedobrych przyzwyczajzeń i nawyków z dawnych czasów. Mówimy też chorym, że mają prawo do dostępności informacji o stanie zdrowia, do codziennego spotkania z bliskimi, korzystania z usługi religijnej. Rozeznajemy, czy pacjenci zostają w chorobie sami, czy mają wsparcie bliskich. Jeśli otrzymujemy od nich komunikat, że są samotni lub, że nikt do nich nie przyjdzie, wtedy mówimy: „To my jesteśmy pana rodziną”.

– **Uspokajają się po takim zapewnieniu?**

– Takie słowa znacznie zmniejszają ich lęk. Każdy ze swoją chorobą bywa trochę egocentryczny, co jest zrozumiałe, ale jeśli czuje, że nie jest jedynym z wielu, że zajmuje się nim fachowy zespół, a leżący obok sąsiedzi, będący już po zabiegu mówią mu, że tu jest dobra opieka, to ma poczucie bezpieczeństwa i jest przekonany, że znajduje się w centrum zainteresowania. W ostatnim czasie wśród naszych pacjentów jest więcej ludzi samotnych niż przedtem. Nasz personel podczas weekendów obserwuje do kogo nikt nie przychodzi w odwiedziny. Jego zadaniem jest wypełnienie tej pustki po bliskich. Zwykle przed zabiegiem, w sytuacji ekstremalnej, pacjenci zaczynają się zwierzać, zwłaszcza pielęgniarkom, z którymi mają największy kontakt, bo to one czuwają przy nich 24 godziny na dobę.

– **Rozmowy z chorymi to leczenie ich dusz.**

– Tylko tak można rozpoznać, co im doskwiera oprócz zdiagnozowanej przez nas choroby. Po dziesiątkach rozmów z pacjentami łatwo możemy zinterpretować, co nam chcą powiedzieć poza słowami. Np. jak zrozumieć tłumaczenie 79-letniej chorej, od której słyszę: „Panie profesorze dzisiejszej nocy tak bardzo źle się czułam, że nie chcę iść do domu, bo się boję, że tam umrę”. Jeśli zastanowimy się głębiej nad tym komunikatem, łatwo się domyślić, że to wyraz jej bezradności. Że nie mogła się dodzwonić do dzieci, krewnych, znajomych i nie ma możliwości, żeby ją jutro zabrali ze szpitala. Teraz sygnalizuje, że chce jeszcze u nas pozostać, czuje się bezpiecznie.

– **Zwracacie uwagę na sprawy pozamedyczne – jak chory żyje, czy wraca do pustego domu.**

– Bezwzględnie. Dzisiaj jedna z lekarzek – chirurg ogólny, od 11 lat w zawodzie, odbywająca u nas szkolenie powiedziała, że w tym szpitalu jest porządek, czystość, ale tym, co nas odróżnia od innych placówek jest stosunek do chorego. Patrzymy na niego całościowo. Szczególnie na chorego starszego, samotnego. Mamy wobec niego całą strategię opieki, włącznie z troską o choroby towarzyszące i właśnie o to, czy czeka na niego ktoś w domu. Sprawdzamy, czy przypadkiem nie wraca zimą do nieogranzonego mieszkania, czy ma go kto odebrać ze szpitala. Jeśli orientujemy się, że jest sam, nie możemy go wypisać do domu w 7 dobie po zabiegu, ale trzymamy 14 dni, żeby czuł się sprawniejszy. Dodatkowo dzwonimy do szpitala położonego najbliżej jego miejsca zamieszkania prosząc, żeby tamtejsi lekarze roztoczyli nad nim opiekę. Kontaktujemy się też z jednym z ośrodków rehabilitacyjnych – najczęściej w Repetach, Ustroniu i prosimy o nieco wcześniejsze przyjęcie naszego pacjenta na turnus rehabilitacyjny, tłumacząc, że jest zupełnie sam i szczególnie potrze-

buje szybkiego dościa do siebie. Jeśli nie ma nikogo, kto by go zabrał do domu, zwracamy się o pomoc do władz samorządowych, a czasem otrzymujemy wsparcie kolegów z ochotniczej straży pożarnej z danej miejscowości. Nie raz korzystaliśmy z życzliwości miejscowego księdza, który mobilizuje swoich parafian, żeby zawieźli chorego do domu.

– **Rozmawiając z człowiekiem, który jako pierwszy przeszczepił płuca i serce, powinniśmy mówić o sukcesach w naszej medycynie.**

– Jest ich sporo. Zaczniemy od tych na obszarze sercowo-naczyniowym. Dzisiaj nie ma już potrzeby tworzenia w każdym szpitalu powiatowym ośrodka interwencyjnej kardiologii. Te już istniejące skutecznie zabezpieczają chorych z zagrażającym zawałem i innymi stanami zagrożenia życia. Warto wiedzieć, że są dostępne przez 24 godziny na dobę w odległości od siebie do 120 km, co oznacza, że chory w bezpiecznym czasie do nich dotrze na czas i otrzyma skuteczne leczenie. Wspólnie z konsultantem krajowym prof. Grzegorzem Opolskim i współpracownikami – prof. Zbigniewem Kalarusem i prof. Janiną Stępińską – liderami Polskiego Towarzystwa Kardiologicznego dokonaliśmy widocznego postępu w monitorowaniu jakości leczenia kardiologicznych stanów zagrożenia życia i poprawy jego dostępności. Dzisiaj w Śląskim Centrum Chorób Serca we współpracy z Marszałkiem Województwa Śląskiego i Śląskim Uniwersytetem Medycznym w Katowicach podejmujemy inicjatywy poprawiające kontakt chorego i jego lekarza rodzinnego ze specjalistami z różnych dziedzin.

– **15-20 lat temu na kardiologii w Polsce umierało średnio 10–15 procent operowanych chorych. Jakie są dzisiejsze statystyki?**

– Kiedy analizujemy dane z zeszłego roku okazuje się, że śmiertelność w Zabrze i innych polskich ośrodkach kształtuje się poniżej 3 procent i jest porównywalna do ośrodków kardiologicznych Europy zachodniej. Doceniając znaczenie wszystkich świadczeniodawców, także prywatnych, trzeba jednak wyraźnie podkreślić i uczciwie o tym mówić, że najtrudniejsi chorzy wymagający operacji serca o największym ryzyku, ale i najdrożsi, i najtrudniejsi w leczeniu, z dużym uszkodzeniem serca, i ci najstarsi w zdecydowanej większości byli pacjentami szpitali publicznych. To wielka satysfakcja dla nas i powody do zadowolenia także dla naszych chorych i naszego ośrodka, tym większa, że nasza placówka przyjmuje bardzo wielu chorych trudnych, ale jest ośrodkiem referencyjnym Ministra Zdrowia i Narodowego Funduszu Zdrowia, konsultanta krajowego, co wiąże się z dodatkowymi obowiązkami przyjęć pacjentów z całego kraju. Jest prawdą, że wobec jedyne-go płatnika w kraju, jakim jest NFZ,

tych ograniczonych środków w IV kwartale nam zwykle nie starcza. Pracujemy nad tym, aby w nowej ustawie o świadczeniach zdrowotnych, wzorem sprawdzonych rozwiązań w krajach UE, znalazła się dbałość o referencyjność szpitali wiodących w kraju: akademickich, instytutowych, na których spoczywa największy ciężar. Zabezpieczenia całego kraju przekłada się również na właściwe proporcje zapewnienia środków dla poszczególnych świadczeniodawców, przy zachowaniu praw wobec podmiotów spełniających wymogi akredytacyjne a jednocześnie obowiązki o zachowanie właściwych proporcji rozdziału środków podobnie jak w krajach znacznie od nas zasobniejszych i bardziej dojrzałej demokracji oraz rozwiniętym systemie alokacji środków publicznych przeznaczonych na ochronę zdrowia.

– To gigantyczny skok.

– My, lekarze często żartujemy, że teraz jest trudniej umrzeć, bo pojawiły się nowe możliwości ratowania życia. Szczególnie w dziedzinach dawniej stygmatyzowanych, takich jak onkologia, niezależnie od tego, że wciąż ludzie umierają, jeżeli późno rozpoznano zagrożenie. Natomiast w leczeniu zawału serca w Polsce mamy śmiertelność pozawałową na poziomie Danii, która zajmuje trzecie-czwarte miejsce w Europie. Jak widać, to dobre wyniki. To efekt wieloletniej pracy naszych kardiologów, kardiochirurgów i kardioanestezjologów. Obecnie pojawiły się kolejne wyzwania wobec chorych z niewydolnością serca, a dokładnie z zaawansowanymi wadami, zwłaszcza aortalną i zagrażającymi życiu arytmiami. Tym wyzwaniom trzeba szybko sprostać.

– Utrzymujecie stały kontakt z gliwickim Instytutem Onkologii.

– Ten fantastyczny, wiodący w kraju ośrodek pracuje coraz lepiej, zwłaszcza w zakresie urazów wywołanych wypadkami komunikacyjnymi, przyjmuje chorych z tzw. ostrymi wskazaniami do operacji w zakresie neurochirurgii, chirurgii ogólnej, gastroenterologii, okulistyki i laryngologii. Musimy stale pamiętać, że przy jedynym płatniku, jakim jest obecnie NFZ, który w mojej ocenie działa coraz lepiej, niezależnie od tego, że wiele rzeczy trzeba odważnie poprawić. Wzorem mogą być sprawdzone i dobrze funkcjonujące rozwiązania w sąsiadujących z nami krajach UE. Nadal wiemy, że przy jedynym płatniku nie starcza środków dla świadczeniodawców i widzimy celowość stopniowego podnoszenia kwoty pieniędzy przeznaczonych na ochronę zdrowia i wzmocnienie pozycji regulatora, jaką spełnia państwo w taki sposób, aby komercyjna medycyna nie dominowała nad argumentami medycyno-organizacyjnymi.

– Dziś zmienił się wiek chorego na serce. Ile lat mają pana pacjenci?

– Nasz pacjent zmienił się z liczącego 50 lat, na roczne dziecko z wrodzo-

ną wadą serca i – na drugim biegunie w 70-80-latką, który chce aktywnie żyć.

– Starszy człowiek przychodzi do szpitala zwykle z dodatkowymi chorobami.

– Proszę pamiętać, że po wcześniejszej kwalifikacji do operacji dokonanej wspólnie z kardiologami, a czasami we współpracy z internistami, geriatrami, chory zjawia się u nas dzień lub dwa przed zabiegiem. W tak krótkim czasie musimy sprawnie zaplanować zabieg, jego zakres i przebieg. Zwykle ma nie tylko chore serce, ale cierpi na cukrzycę, źle funkcjonują mu nerki, ma nadciśnienie, jaskrę, liczne ogniska udarowe, migotanie przedsionków, kłopoty z prostatą. Na Śląsku mamy dodatkowo wielu chorych z obciążeniami płucnymi, na te choroby cierpią górnicy, hutnicy. Nie możemy też zapominać, że przychodzący się u nas leczyć zostawiają w domu schorowaną albo niepełnosprawną żonę lub męża, nierozwiązany problem swoich rozwiedzionych dzieci czy kłopoty finansowe.

– Potrzebują pomocy psychologa?

– Oczywiście, chory spotyka się z nim, ale najlepszym psychologiem jest każdy członek naszego zespołu leczącego.

– O czym rozmawia pan z chorym?

– Upewniam się, że rzeczywiście potrzebuję zabiegu. Im „trudniejszy” chory, tym nasze podejście do niego musi być bardziej ludzkie, w myśl zasady, że choroba, nawet trudna, jest lepsza niż śmierć. Musimy widzieć cel swojego działania. Wejście na wysoką górę, którą jest zabieg, podejmujemy tylko wtedy, kiedy jest konieczne. Jeżeli już musimy na nią wejść, to trzeba zrobić wszystko, żeby tę górę uczynić jak najmniej. Dlatego wykonujemy jak najwięcej zabiegów małoinwazyjnych, które dają mniej bólu, powikłań.

– Ci starsi pacjenci dzięki wam zaczynają nowe życie.

– Sukcesem medycyny jest dbanie o jakość przedłużonego za pomocą interwencji medycznej operacji, życia chorego. Nie możemy wrzucić ramionami, kiedy chory, mająca 80 lat mówi nam, że chce jechać na daleką pielgrzymkę, tylko powinniśmy jej w tym pomóc. Mam taką pacjentkę, która mając 78 lat powiedziała mi, że stwierdzono u niej ciasną stenozę aortalną, objawiającą się częstymi napadami duszności. Mimo to chciała, jak co roku, pojechać z księdzem proboszczem i grupą parafian na pielgrzymkę. W informacji linii lotniczych zapytała, czy z taką wadą pozwolą jej latać, ale odpowiedzieli, że – nie – i dlatego z tym samym pytaniem zwróciła się do mnie. Zoperowaliśmy jej tę wadę małoinwazyjnie. Pojechała na pielgrzymkę, żyje aktywnie i namawia do leczenia innych. Nasza najstarsza pacjentka urodziła się 103 lata temu w Kutach na Kresach. Podała się z powodu stenokardii i choroby niedokrwiennej serca małoinwazyjnemu zabiegowi, który spowodował

ustąpienie silnych dolegliwości. Trzy lata po zabiegu pacjentka czuje się dobrze i zachowuje witalność kresowiaków i zamięłowanie do życia.

– Operowanie wymaga ogromnego skupienia lekarza. Codziennie staje pan nad stołem operacyjnym?

– Staram się. Myślę, że każdy z nas przeżywa taki moment szczególnego skupienia. Dobrze wiemy, że to, co będziemy robić, jest ingerencją w strukturę organizmu chorego. To działanie ma być dobroczynne, ale przecież może się wiązać z pewnymi powikłaniami. Dlatego wiemy, że trzeba ważyć każdy gest.

– Modlicie się w intencji chorych?

– Każdy na swój sposób i nie trzeba się tego wstydzić. Ale należy pamiętać, że Opatrzność nie sprzyja leniwym, dlatego prosząc Boga staramy się jak najlepiej wykonywać obowiązki. Dlatego staram się żyć w myśl przesłania, którego nauczyłem się pracując z holenderskimi lekarzami: „Więcej myśl o Bogu, niż o Nim mów.” Bądź skupiony, dobry, doświadczony, nie leniwy i wtedy to będzie widać w twoim stosunku do chorego. My, leczący jesteśmy trochę Jego rękami, ciągniemy chorych do życia.

– W ubiegłym roku po 30 latach przypomniał pan Polakom o tym, jak kardiochirurdzy holenderscy w latach stanu wojennego zoperowali 427 polskich dzieci z wrodzonymi wadami serca.

– Tak to było zarówno dla nas jak i dla Holendrów wydarzenie. Zorganizowaliśmy to wydarzenie wspólnie z prof. Witoldem Rużyłło, marszałkiem Sejmu – Ewą Kopacz i Ministerstwem Spraw Zagranicznych oraz Akademią Morską w Gdyni. Przypomnieliśmy o tym płynąc na „Darze Młodzieży” do Amsterdamu z setką kardiologów i kardiochirurgów na Europejski Kongres Kardiologiczny. Do Gdyni, skąd wypływaliśmy w obecności pani marszałek Ewy Kopacz przyjechało wielu operowanych w Holandii pacjentów ze zdjęciami, kartami informacyjnymi swoich chorób. Wzruszeni opowiadali, że mieli wtedy kilka lat, a teraz mają dwadzieścia kilka czy trzydzieści i żyją dzięki tamtej operacji. Przypłynęliśmy do Holandii z przekazem, że nasze społeczeństwo dziękuje tamtejszym lekarzom za ten niezwykły dar serca. Aż 427 polskich dzieci w latach 1982–2003 bezpłatnie operowano w Szpitalu Uniwersyteckim im. Królowej Wilhelminy w Utrechcie.

– Pan profesor pisze wiersze. Nie tylko medycyna ocala.

– Pisać trzeba, aby rozładować wewnętrzny niepokój, troskę, podzielić się radością, sukcesem, ale czasami bezradnością, zwątpieniem. Jestem takim małym kronikarzem czasów, zdarzeń. A czy ta kronika kiedyś się ukaze? Nie wiem... Inspiracją jest zwykle pacjent, otaczający świat, ludzie. Nabieram wtedy koniecznego dystansu do siebie i do tych doraźnych zdarzeń których jestem świadkiem. ■

• Archiwalny depozyt

Russell Hardin w książce *Zaufani* (Warszawa 2009) pisze między innymi, że współczesne życie opiera się na zróżnicowanych sieciach kontaktów, nie zaś na małych społecznościach, które często są zamknięte i ograniczają jednostkę. Słowa te wyraźnie wychwalają otwartość komunikacji międzyludzkiej we współczesnym świecie, przestrzegając równocześnie przed małymi, zwłaszcza zamkniętymi, społecznościami. To one właśnie, zdaniem Hardina, ograniczają jednostkę jako uczestnika i aktora w wielkim świecie. Cytowane zdanie ilustruje także widowiskową grę między tym, co małe, i co możemy określić jako ojczyzna prywatna, a tym, co globalne i definiowane jako system planety. Powstaje zatem oczywiste pytanie o to czy termin „ojczyzna prywatna” przeszedł do archiwum języka nauk społecznych? Czy wręcz przeciwnie, wciąż jeszcze istotnym i żywym jego elementem?

• Aktorzy pierwszoplanowi i halabardnicy

System światowy zdiagnozowany i opisany przez amerykańskiego socjologa Immanuela Wallersteina to porządek globalny, którego początki sięgają XVI wieku. Współcześnie jest to zespół różnych powiązanych ze sobą instytucji, takich jak rynki, firmy, państwa rywalizujące ze sobą, instytucje, gospodarstwa domowe i pojedynczy w końcu obywatele. Przeobrażeniem tego systemu towarzyszy proces globalizacji i metropolizacji. Ten pierwszy termin, łacińskiej proweniencji, oznacza narastanie i tak już głębokich zależności między poszczególnymi częściami systemu światowego, państwami, instytucjami i ludźmi. Ten drugi, odnosi się do ekspansji wielkich miast, metropolii, miast globalnych, które zdaniem wielu, rządzą światem. Wszak to obszary największego rozwoju gospodarczego, a także rynki o najwyższych na świecie wskaźnikach konsumpcji. Ich potęga przekracza nie tylko granice regionalne, państwowe, ale i kontynentalne. *Global cities* charakteryzuje doskonałość usług, instytucji i wyposażenia, potencjał innowacyjny, ekonomiczny, społeczny, polityczny oraz wyjątkowość miejsca. Miasta globalne wchodzą w skład systemu światowego skomponowanego przez cztery współzależne elementy strukturalne: rdzeń (*core*), czyli światowe centrum (USA, Unia Europejska, Japonia), półperyferie (państwa Ameryki Łacińskiej), peryferie (Niger, Gabon czy Czad) i wreszcie tło (Kiribati, Vanuatu, Palau).

• Dom rodzinny i Heimat

Pojęcie „ojczyzna prywatna”, które do języka polskiego wprowadził socjolog Stanisław Ossowski, zostało zaczerpnięte ze słownika naszych zachodnich sąsiadów. To właśnie w niemieckiej



MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Notatnik
spóźnionego przybysza

Ojczyzna prywatna: rozdział zamknięty?

socjologii i historiografii pojawił się termin *Heimat*, przypomnijmy rodzaju żeńskiego, które tłumaczy się właśnie jako ojczyzna prywatna. Ossowski zdefiniował ten termin jako bezpośredni stosunek osobisty do określonego terytorium. Przywiązanie do środowiska, w którym się spędziło życie albo znaczną jego część, czy wreszcie okres szczególnie podatny na tworzenie się trwałych więzi emocjonalnych, przede wszystkim czas dzieciństwa. Stąd często w życiu dorosłym z wielkim i nieskrywanym sentymentem wracamy do lat wczesnych i pamiętamy na przykład zapach ciasta czy chleba pieczonego na święta w rodzinnym domu. W taki sposób myśleli o ojczyźnie prywatnej między innymi polscy emigranci z przełomu XIX i XX wieku, udający się do Ameryki Północnej: [...] *Lecz na nieszczęście bije mnie tęsknota za rodzinnym domem, rodzicami, rodzeństwem i krajem, w którym się wychował do mej dojrzałości i tak piękny tyle uroku ma wiosna tam różnych świątgot melodyjnych ptaków* – pisał pol-

ski emigrant zamieszkały z Kanadzie. W podobnym duchu wypowiedziane słowa odczytujemy między innymi z Inwokacji „Pana Tadeusza”.

• Vaterland, czyli wielkie niebo

Wraz z pojęciem *Heimat* zapożyczono z języka niemieckiego termin *Vaterland*, czyli ojczyzna ideologiczna, ojczyzna wielka. Stosunek do niej jednostka opiera na przekonaniach, iż jest to ziemia jej narodu. To uczestnictwo we wspólnocie narodowej odnosi się również do rozumienia świadomościowego, czyli istnienia w umysłach ludzi przekonania, że przynależą oni do odrębnej całości, tworząc układ odosobniony. Jest to specyficzna wspólnota, którą charakteryzuje między innymi swoisty układ kulturowy – język, tradycja, religia. W tym przypadku jest to konkretna wspólnota narodowa. Terminy ojczyzna prywatna i ideologiczna mocno zagościły w polskiej świadomości publicznej, zwłaszcza naukowej i wciąż pozostają użyteczne w badaniach socjologicznych, pedagogicznych czy politologicznych.

• W holdzie Gabrielowi Garcii

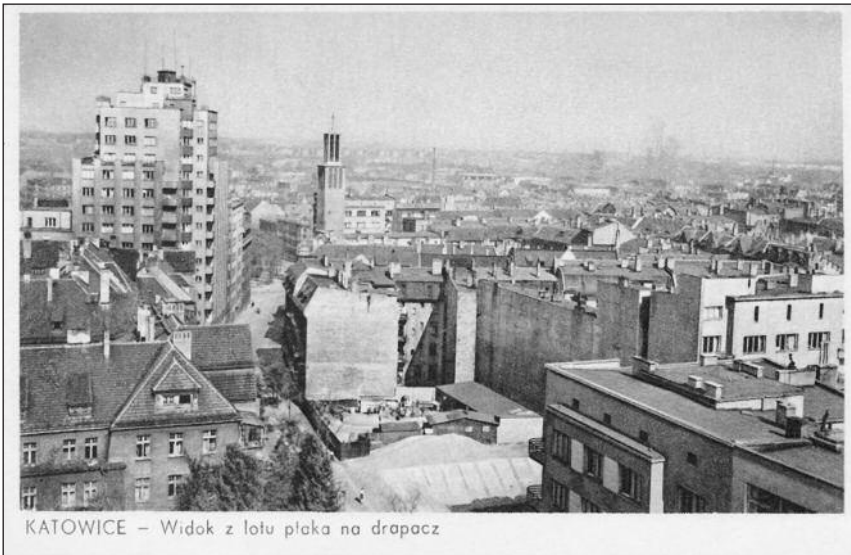
Sama ojczyzna prywatna często bywa utożsamiana ze społecznością lokalną, którą w nauce i esyście przez lata odkrywali Platon, Alexis de Tocqueville czy później Alvin Toffler, a co metaforycznie nazywać można „mniejszym niebem”. W literaturze najpiękniej opisywali ją Iwan Turgieniew, John Steinbeck, William Faulkner, Wasyl Szukszyn czy, zmarły kilka miesięcy temu, Gabriel Garcia Márquez. Wydaje się nawet, iż wymagowane przez Márqueza Macondo, z niepowtarzalną galerią zaściankowych postaci, jest idealnym wyobrażeniem społeczności lokalnej i jej archetypem: *Świat (Macondo), w którym rzeczy nadzwyczajne miały wymiar szarej codzienności, zwyczajność zaś przyjmowana była jako zjawisko nadprzyrodzone, świat bez czasu, gdzie wiele rzeczy nie miało jeszcze nazw, był też jego (Márqueza) światem* – pisał na stronach *Stu lat samotności* Márquez (Warszawa 2006).

• Autodefinicje i identyfikacje

Współczesna ojczyzna prywatna, utożsamiana ze społecznością lokalną ulega mniejszym bądź większym, ale nieuchronnym, wpływom procesów globalnych. Ale to od samych mieszkańców „małych światów” w znacznej mierze zależy na ile zmiany, które przychodzą z zewnątrz zniszczą odczuwanie ojczyzny prywatnej czy może, paradoksalnie, je wzmocnią. Ojczyzna prywatna jest bowiem stanem umysłu człowieka, który może o niej myśleć z nabożeństwem i troską, albo, przeciwnie, z wyniosłą izolacją i jednoznacznym dystansem.

Felieton powstał we współpracy z prof. Uniwersytetu Opolskiego Anną Śliz

W słoneczne popołudnie wchodzę w oazę ciszy i wiecznego trwania w środku nowoczesnej metropolii. Pozostawiam za sobą chaos miejskiej tkanki oraz rozdarte arterie z bliznami pokruszonych kostek brukowych i asfaltu. Przeganiam spod powiek plamy utrwalone przez wielobarwne reklamy i wysypuję z kieszeni proch po wręczonych mi ulotkach. Zdejmuję też z głowy wieniec z wbijających się pod skórę drutów, które odgradzają miasto od ludzi i przecinają place coraz to innymi układami. Cięń neogotyckiego domu grabarza przy ulicy Francuskiej znaczy granicę pomiędzy chwilą a wiecznością, przemijaniem i trwaniem, doraźnymi celami osiąganymi szybko i bez wysiłku a samotnością i pewnością długodystansowca. Przekraczam ten próg na godzinę, może dwie powolnej wędrówki pomiędzy nagrobkami.



Fot. ze zbiorów Muzeum Historii Katowic

KATARZYNA
BERETA

Idąc cmentarzem przy Francuskiej

Przekraczam, chociaż wiem, że mogę mieć problemy ze znalezieniem wspólnego języka z mieszkańcami krainy milczenia, mogę być niemową w obcym kraju, mogę nie rozumieć spraw najprostszych dla zmarłych i niezwykle zawilych dla tych, co pozostali. Podmiot liryczny wiersza Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego przestrzega mnie wręcz:

„(...) albowiem ta ciemność teraz i ta ciemność potem jakiej nie próbuj zawczasu dotknąć to zaiste dwa przeróżne światy (...)

bo ta ciemność teraz i ta ciemność potem to są wszystko rzeczy nie do pogodzenia (...)

(CXXIV z tomu *Oddam wiersze w dobre ręce*).

Filozofia grabarza

Jeden jest chyba tylko człowiek, który egzystuje na co dzień na pograniczu tych dwóch wymiarów: grabarz. Wydobywam więc z pamięci Morcinkowego kopidoła i słyszę, jak mówi ze spokojem i pewnością: „Lubię przesiadywać na cmentarzu”. Rybka nie boi się konfrontacji z Obcym i Innym. Obcym, bo niepoznanym ludzkimi zmysłami i przynależącym do zupełnie odmiennego porządku. Innym, bo wymykającym się naukowemu i teologicznym miarom. Gdy pogrzebnicy odchodzą, kopidoł siada na nagrobku z fajką w ustach i śmieje się z całego świata, zwłaszcza z obecnego w nim „filuternego łgarstwa i grubego oszustwa”. Ma dystans do samego sie-

bie, do żywych i zmarłych. Źródłem tej postawy należy dopatrywać się zapewne w tym, że każdego dnia **dotyka on niedotykalnego**, a ocierając się w życiu wielokrotnie o śmierć, wyzbył się ostatecznie lęku przed nią. Równocześnie poznał rozmaite oblicza zła w ludzkim sercu, dlatego miłsze mu jest towarzystwo spoczywających w grobach. Ci nie mogą go już skrzywdzić. Poza tym w obozie koncentracyjnym umieranie straciło dla niego swój majestat, zaczęło przypominać groteskowego kościotrupa, nie zaś chłodną, dumną i budzącą postrach Panią, która prowadzi makabryczny korowód. Te doświadczenia Joachima są literackim przetworzeniem obozowych przeżyć samego autora.

Rybka traktuje więc nekropolię jak **zwyczajne miejsce, podobne do setek innych**, w którym postanowił być **wielkim samotnikiem wśród ciżby nieboszczyków**. Nie boi się mieszkać przy cmentarzu i spędzać na nim większości dnia, a nawet sporej części nocy, gdyż wyzbył się trwogi przed piekłem oraz zwyczaju skrupulatnego rozliczania się z grzechów, wręcz ich zmyślania. Uważa też, że **strach ludzi przed ciemnością i grobami ma swoje źródło w lęku przed własnymi grzechami**.

Zanikanie „portretów pamięciowych”

Wchodzę więc na główną aleję od ulicy Francuskiej bez obaw, że dopadną mnie upiory przeszłości. Wchodzę wszak na ziemię, która przyjęła prochy wielu wielkich synów i córek Górnego Śląska, by wymienić tylko Wojciecha Korfańtego czy Konstantego Wolnego. Wkraczam w inny świat i czuję, podobnie jak podmiot liryczny w wierszu Tkaczyszyna-Dyckiego, że:

„przychodzą do mnie ludzie których dzisiaj już nie ma (...)

jeszcze bardziej piękni aniżeli (...)

z tamtych lat (...).”

(CCCXXVI z tomu *Oddam...*)
Oczywiście ich dzisiejsze piękno w dużej mierze jest efektem naturalnego procesu wybielania, idealizowania, a także zamazywania się z czasem w naszej wyobraźni „portretów pamięciowych”. Powodem tych przemian w wyobrażeniach są kulturowe uwarunkowania, nakazujące nam szacunek do zmarłych, wyrażony chociażby zasadą, że nie mówi się o nich źle. U podłoża mityzacji kładzie się również nasze przywiązanie do bliskich – z miłości i tęsknoty chcemy wspominać ich tylko jako dobrych, szlachetnych, pragniemy im zapomnieć wszelkie zło, chociaż nieraz jest to niemal niemożliwe.

„Ludzie, których dzisiaj już nie ma”

„Przychodzą zatem do mnie ludzie, których dzisiaj już nie ma”, przychodzą **nieobecni nie tylko fizycznie, ale czę-**

sto i duchowo. Zapomnieliśmy bowiem o ich twórczości, a czasami nawet nigdy się z nią nie zetknęliśmy lub też znamy ją wybiórczo. Oczywiście, nie wszystko warte jest uwagi, zwłaszcza teksty socrealistyczne, które nadal powinny pozostać martwe czytelnictwo. Kogo, oprócz badaczy, zainteresuje dzisiaj *Kolacz i razowiec* czy *Spółdzielnia nad Zieloną Wodą* Jana Baranowicza, *Trzyście portretów śląskich* czy *Pogodne noce* Wilhelma Szewczyka albo też *Ziemia* czy *Lodzka tramwajarka* Jana Brzozy? Podobnie tendencyjne, choć w mniejszym już stopniu, były powieści Aleksandra Baumgardtena – *Brzegi ciemności* oraz *Spotkanie z jutrem*. Można powiedzieć, że jedynym ocalałym z tego kulturowego „pogromu” jest spoczywający przy ulicy Francuskiej wraz z pozostałymi wymienionymi Kazimierz Gołba, którego *Wieżę spadochronową* i *Młodzieżowców* można, a nawet należy zaproponować współczesnemu czytelnikowi.

Młodzieżowcy, czyli dwulicowość i formalizm procesu wychowawczego

W przypadku ostatniej publikacji zainteresowany odbiorca może mieć spore problemy ze znalezieniem egzemplarza do lektury, gdyż nigdy niewznawiane wydanie z 1938 roku, jest dostępne w regionie bodaj tylko w Bibliotece Śląskiej, i to jedynie w czytelni. Tymczasem to powieść niesłusznie zapomniana, ponieważ pod wieloma względami można ją przyrównać do datowanej na ten sam rok *Ferdynurke* Witolda Gombrowicza. Druga jest odmianą filozoficzno-satyrycznej groteski, natomiast *Młodzieżowcy* to powieść z kluczem i satyra na tzw. „wychowanie państwowe”, wprowadzone w latach trzydziestych reformą jędrzejewiczowską. Książka pokazuje nieudolność tej reformy, **dwulicowość i formalizm procesu wychowawczego**, którego efektem końcowym ma być „państwowiec”, a także siłowe wymuszanie ślepego posłuszeństwa wobec nakazów władzy i szerzonego w szkole kultu państwa. Grono pedagogiczne Górnego Śląska narysowane przez Gołbę pełne jest rozmaitych kompleksów, ale i ambicji, niestety czasami źle ukierunkowanych – wyjątek stanowi jedynie postać doktora Mariana Proroka, będąca prawdopodobnie *alter ego* autora. Pedagodzy są zastraszeni przez dyрекcję i władze kuratorskie, przemęczeni nadmierną liczbą zajęć pozalekcyjnych oraz pracą biurokratyczną, a nawet zdemoralizowani. Pisarz obala **mit o autorytetycie nauczycieli**, którzy nie tylko w oczach uczniów go nie posiadają, ale często także i rodziców. **Balagan i chamstwo szerzą się porównywalnie do czasów nam współczesnych**, przy czym – w przeciwieństwie do dzisiejszej szkoły – są one poskramiane przemocą. Dziś natomiast nie robi się z nimi zupełnie nic, w imię prawa dzieci do bezstresowego wychowania, w imię prawa do źle pojętego indywidu-



Katowice, ul. Dworcowa

Fot. ze zbiorów Muzeum Historii Katowic

alizmu, który *de facto* jest **dyktaturą egotyizmu**. Swoją drogą, zastanawia mnie, co napisaliby zmarły w 1952 roku literat o naszym szkolnictwie. **Jakim ostrzeżeniem byłby programy, reformy i ministerialne decyzje?**

Gołba w *Młodzieżowcach*, podobnie jak Morcinek w *Wyoranych kamieniach* (1939), pokazuje rozbieżność pomiędzy najnowszymi teoriami pedagogicznymi a rzeczywistością, którą determinowało bezrobocie i nędza z jednej strony oraz sztywne przepisy oświatowe i nakazy inspektorskie z drugiej. Całości dopełnia zły przykład dorosłych, upadających moralnie w czasach kryzysu gospodarczego. Autor *Młodzieżowców* wykorzystał w powieści własne nauczycielskie doświadczenie oraz obserwacje, tworząc groteskowy, karykaturalny i skandalizujący obraz. Podobnie postąpił we wcześniejszym satyrycznym reportażu scenicznym *Rekruci* (1935), który był atakiem na ówczesny system szkolny oraz sytuację w śląskiej oświacie. Zdjęto go z afisza po trzech przedstawieniach w Teatrze Polskim w Katowicach. Więcej szczęścia miał w warszawskim teatrze Comedia, w którym wystawiono go ponad 30 razy.

Nigdy do końca nie wyjechał ze Lwowa

Trudno znaleźć utwór równie wartościowy u kolejnego pisarza pochowanego na katowickim cmentarzu – Jana Brzozy. Może godna uwagi jest przedwojenna powieść nurtu realizmu społecznego *Dzieci*, opowiadająca o najmłodszych członkach środowiska lwowskiej biedoty. Idąc jednak główną aleją nekropolii, myślę przede wszystkim o jego życiu, **rozpiętym pomiędzy Kresami Wschodnimi a Górnym Śląskiem**. Urodził się w 1900 roku we Lwowie jako Józef Worobiec. Debiutował *Pamiętnikiem nr 55* wydrukowanym w zbiorze *Pamiętniki bezrobotnych* (1933), będącym pokłosiem konkursu ogłoszonego przez Instytut Gospodarstwa Społecznego. Była to publikacja oficjalnie uznawana za początek jego kariery pisarskiej, gdyż po niej otwarły się dla przyszłego autora *Powrotu z niewo-*

li możliwości nie tylko rozwoju kultury literackiej pod opieką Juliusza Kleimera, Stanisława Lempickiego, Franciszka Bujaka i Stefana Kawyna, ale także zaproszono go do Związku Zawodowego Literatów Polskich oraz umożliwiono emisję audycji na antenie lwowskiej rozgłośni. Wszystko to pozwoliło Brzozie poprawić jego tragiczną sytuację finansową, a także rozpocząć regularną pracę literacką. Jej efektem przed wojną była wspomniana powieść *Dzieci*, dramat *Zaloga A*, wystawiony w 1934 roku w Katowicach, oraz powieść w odcinkach *Kamienica czynszowa*, która ukazywała się na łamach „Dziennika Polskiego” (1935-1937).

Podczas okupacji Kresów Wschodnich przez Związek Radziecki (1939-1941) współpracował z komunistycznym „Czerwonym Sztandarem”, **będąc jednym z tych pisarzy, którzy akceptowali działania Sowietów we Lwowie** (obok m.in. Adama Ważyka czy Wandy Wasilewskiej). Pod koniec wojny był delegatem Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Do Katowic przybył w grupie repatriantów (ekspatriantów) w 1945 roku. Początkowo przeżywał spore trudności adaptacyjne w nowym środowisku artystycznym. Jednym z powodów była tęsknota za Lwowem i językiem ukraińskim, którą odczuwał zresztą do końca życia, czego dowodem jest korespondencja z Piotrem Kozłaniukiem (ukraińskim pisarzem i założycielem grupy literackiej Horno), a także powieść *Poniewierka* (1963). **Był najczęściej nagradzonym w okresie realizmu socjalistycznego pisarzem z Górnego Śląska**. Nigdy nie zdobył jednak państwowej nagrody I czy II stopnia, wyróżniano go jedynie w lokalnych konkursach organizowanych przez Wojewódzką Radę Narodową lub Oddział Związku Literatów Polskich. Otrzymał także nagrodę literacką miasta Katowice w 1948 roku. Ówczesne władze przyznały ją za całokształt twórczości, ale ze szczególnym uwzględnieniem powieści *Ziemia*, która drukiem ukazała się dopiero w 1956, powstała zaś w latach 1946-1948. W rzeczywistości chciano celowo pominąć *Wieżę spadochronową* Gołby.



Szopienice jeszcze jako samodzielne miasto

Jan Brzoza wydaje się postacią wyjątkowo **rozszczepioną wewnątrznie**. Z jednej strony przejawiał manię wielkości, choć z dużym poczuciem humoru, z drugiej zaś wrodzoną nieśmiałość. Jego pochodzenie polsko-ukraińskie lub polsko-ruskie wiązało się z dwujęzycznością. **Chociaż przyjechał na Górny Śląsk, nigdy do końca nie wyjechał ze Lwowa.**

Baranowicz

Przechodząc pomiędzy nagrobkami o mniej lub bardziej wymyślnej formie, myślę jeszcze o Janie Baranowiczu, który oprócz twórczości literackiej uprawiał amatorsko korzenioplastykę. Wiejskie pochodzenie odcisnęło znamię na jego całym różnorodnym gatunkowo piśmarstwie. Ludowe, folklorystyczne i wiejskie motywy można odnaleźć w poezji, opowiadaniach, baśniach, powieściach i sztukach scenicznych. Szczególnie w baśniach wykorzystywał elementy nie tylko kultury śląskiej, ale także cygańskiej, bułgarskiej, rosyjskiej, chińskiej czy japońskiej. Najwyżej ceniony jest za opowieść dla młodego czytelnika *Mój przyjaciel Lompi* (1954), w której wykorzystał swoje wojenne notatki oraz gromadzoną skrupulatnie wiedzę botaniczną. **Utwór ten jest wyjątkiem w regionalnej sztuce epoki stalinowskiej, gdyż jako jedyny jest niemal całkowicie apolityczny.** Jest to opowieść przyrodnicza, napisana w formie potocznej, zobiektywizowanej gawędy, której głównymi bohaterami są pies Lompi i kot Bonza. Najbliższe środowisko naturalne ukazane jest niejako z ich perspektywy. Dodatkowo utwór odniósł spory sukces czytelniczy, sprzedadł się bowiem w ciągu dwóch lat w trzech wydaniach o wysokich nakładach (np. wyd. 3 – 30 tys. egz.).

Stojąc nad grobem Baranowicza, zastanawiam się, czy odbył z Bogiem tę samą rozmowę, co górnik z jego baśni, który zakochał się w kopalni. Czy tak bardzo ukochał wiejski krajobraz, że poprosił o możliwość spędzenia wieczno-

ści na przykład na Opolszczyźnie, która była mu bardzo bliska, choć widział różnice pomiędzy wsią opolską a Borzęcinem w Małopolsce, gdzie się urodził w 1906 roku. Może chodzi teraz alejkami cmentarnymi i robi notatki o trawach, krzewach, ziołach i drzewach, które oplatają i oceniają nekropolię przy Francuskiej. A może walczy z fanatykami i filantropami, którzy

„(...) w trosce ulżenia bliźnim czy z pragnienia władzy, wykorzystali ludzki niepokój, skonstruowali arcyprzemysłne w mitycznych kręgach niebo (...)”.

(*Wiekiustość z tomu Ziółowe słowa*)
Możliwe wreszcie jest, że w ogóle ich tam nie spotkał, gdyż zamiast kilku pięter wtajemniczenia jest jedna ogromna, ale prosta sala, na której wszyscy siedzą przy okrągłym stole: wierzący i niewierzący. I nie ma miejsc uprzywilejowanych ani osób mniej ważnych.

Baumgardten

W ciasnych przejściach i ciemnych zakątkach cmentarza przypominam sobie atmosferę uwięzienia bohaterów w zawalonym kopalnianym chodniku, opisaną w *Brzegach ciemności* (1964). Po lekturze nie wszystkie szczegóły powieści pozostają w pamięci, ale z pewnością utrwała się w nas ogólne wrażenie zamknięcia pod ziemią, niemal smaku pyłu węglowego w ustach i łęku, że nie uda się nam wydostać z pułapki. Podobne odczucie towarzyszyło mi podczas pobytu w Zabytkowej Kopalni „Guido” w Zabrze. Aleksander Baumgardten bardzo plastycznie i wiarogodnie opisał górnicze podziemia, chociaż znał je zapewne jedynie z okazjonalnych wycieczek, jakie często były organizowane dla literatów szczególnie w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych.

Stając nad miejscem, w którym czas zatrzymał się dla pisarza na wieczność, myślę, **jak odmienne Katowice**

musiał poznać, gdy przybył do nich po wojnie, **jak często powracał myślami do Lwowa**, w którym niegdyś studiował historię i pracował. Echa tej tęsknoty można odnaleźć w powieści *Spotkamy się jutro* (1962). W niej też pozwolił sobie autor na żartobliwe opisy katowickiego środowiska literackiego, odtwarzającego się po okupacji. To rodzi we mnie pytania: **jaka byłaby powieść o współczesnych poetach i prozaikach związanych z Górnym Śląskiem?** Kto potrafiłby uczynić z atomizacji lokalnego środowiska kultury wartościową fabułę?

Śląsk – pierwszy krajobraz

Kończę swoją wędrowkę przy Wilhelmie Szewczyku. On jedyny w tym gronie urodził się na Śląsku, znał go z wszystkimi jego smakami, zapachami, niebezpieczeństwami, które przyjmował w siebie jako pierwszą w życiu wróżnię. Tylko dla niego **Śląsk był pierwszym krajobrazem, wyznaczającym krąg swojskości**. Dla reszty był **ważną przygodą i etapem życia** (Baranowicz, Baumgardten, Gołba) lub czasami **trudną dziejową koniecznością** (Brzoza). **Dla wszystkich zaś ostatnią przystanią, ziemią, której powierzyli swoje prochy.** Tylko Szewczyk mógł jednak napisać o niej:

„Zastygł czas, który mnie chciał porwać.
Zmilkły szumy, wywiane z czubów drzew.
Stanęłaś, ziemio, bo w tobie chciałem odnaleźć wszystko,
i wszystko w tobie chciałem zaorać (...).
To był Śląsk, kraj mój i czas, który zastygł,
to ziemia windowana na obłądne maszty (...).”

(*Chwila dalekosiężnych spojrzeń i modlitwa*, „Fantana” 1938, nr 1)

Łączy nas ta sama konieczność: śmierć

Moja wędrowka alejkami przy Francuskiej dobiega końca. Podjęłam ją tym razem nie jako badacz i czytelnik, ale **człowiek, którego łączy ze zmarłymi literatami ta sama ludzka konieczność: śmierć**. Dla mnie jest ona nieokreśloną perspektywą, dla nich rzeczywistością.

Opuszczając cmentarz wyjściem przy ulicy Damrota, myślę, jak to dziwnie toczą się nieraz koleje losu i jak niebywale zdarzają się zbiegi okoliczności. W gmachu Biblioteki Śląskiej przechowywany jest na mikrofilmie numer 11. „Trybuna Robotniczej” z 1956 roku, a w nim rozmowa zatytułowana *Trzej panowie „B”*. *J. Baranowicz, A. Baumgardten, J. Brzoza o swojej twórczości. Nowe powieści, opowiadania i... sztuka teatralna. Po drugiej stronie ulicy „trzej panowie «B»” spoczywają na wieki.*

Dia bli wiedzą, skąd to się ludziom bierze. Zamiast pilnować swoich zawodowych spraw, wtykają nos do, jak to się zwykło mówić, nie swojego prosa, a efekty? Czasem bywają naprawdę znakomite. Choćby ten przykład: mam przed sobą luksusowo wydaną w 1880 roku książkę dra Antoniego J. Rolle „Zameczki podolskie (na Kresach Multańskich)”. To oczywiście reprint, bo na oryginał nie byłoby mnie zapewne stać, ale nie w tym rzecz. Zaczniemy może od postaci autora. Dr Rolle urodził się w Henrykówce, a praktykował i mieszkał, z krótkimi przerwami, w Kamieńcu Podolskim. Był lekarzem psychiatrą, wykształconym na europejskim poziomie (Kijów, Drezno, Paryż). Poza karierą zawodową interesowała go przeszłość Polski, a szczególnie rodzinnych okolic. Jednym z efektów tych zainteresowań jest właśnie owo trzytomowe dzieło, nie tylko katalogujące zabytki architektury, ale także sięgające głęboko i szczegółowo w ich historię, a także w szerszy kontekst geograficzny i polityczny. Słowem, palce lizać, jeśli ktoś jest miłośnikiem dziejów naszych ziem kresowych. Prawdziwa bibliofilska gratka.

Można dziś snuć domysły, co do źródeł zainteresowania lekarza psychiatry, z francuskimi korzeniami, historią i jej materialnymi pozostałościami. Do jakiego stopnia Antoni Rolle opanował warsztat pisarza-historyka mogą zaświadczyć choćby nagłówki rozdziałów. Oto jeden z nich, pochodzący z tomu „Kamieniec nad Smotryczem”: „Kamieniec jako warownia; zamek stary i nowy, jego dzieje; ufortyfikowanie miasta. Zmiany poczynione w okresie tureckiego panowania. Niektóre ulepszenia z XVIII. wieku. Opisanie do dziś pozostałych zwalisk: pamiętki, napisy. Załoga konsystująca w mieście *ante hosticum*, artyleria, puszkarze”. W innym rozdziale znajdujemy poczet dawnych komendantów. Pasjonująca lektura i dobry przewodnik dla tych, którzy chcieliby odbyć wyprawę szlakiem pozostałości polskiej historii na Podolu.

Działalność w rodzaju tej, jakiej oddawał się Antoni Rolle w XIX stuleciu, szczególnie na zachodzie Europy znajdowała wielu entuzjastów. Były to, jak można sądzić pozostałości po romantyzmie, który fascynował się wszystkim, co wiązało się z przeszłością, z jej heroicznym aspektem, a kiedy kryło w sobie jakieś ciemne tajemnice, wtedy było cu-

Czekając na doktora Rolle

Z moich Górek

downie, bo to dawało pole do popisu wyobraźni, fantazji, co romantyzm cenił sobie szczególnie. Jednak autor „Zameczków” należał już do innej epoki, która nie podniecała umysłów tak bardzo domniemaniami, ale nauczyła się szukać oparcia i w wiedzy i konkretach. Tak więc próżno by u Rollego szukać egzaltacji czy tajemniczości.

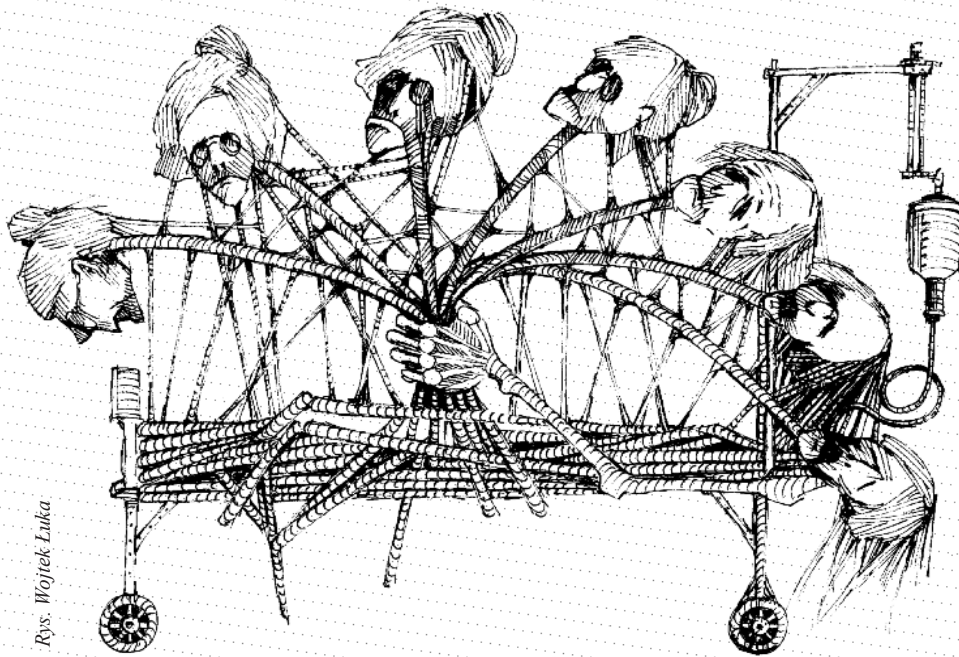
Takie rzeczy wywołują często zmarszczenie brwi u zawodowców, ale nie w tym przypadku. Dorobek kamienieckiego doktora liczy ponad siedemdziesiąt publikacji, wśród których, poza ściśle medycznymi, sporo było prac historycznych. Kamieniecki dworek dra Rolle mieścił imponującą kolekcję różnego rodzaju pamiątek historycznych, które, podobnie jak twórczość właściciela, zrobiły duże wrażenie na historyku literatury, Józefie Kallenbachu.

Dziś określenie „dyletant” odnosiśmy przeważnie do nieudacznika, który pełen szlachetnej pasji wkacza na cienki lód nie swojej dziedziny i na ogół kończy się to dla niego lodowatą kąpielą w postaci bezwzględnej krytyki ze strony stuprocentowych zawodowców. Natomiast na gruncie języka angielskiego „dilletante” brzmi całkiem dumnie. Sam Karol Darwin był w zasadzie przyrodnikiem-geologiem i mimo sukcesów w dziedzinie biologii, pozostał wierny głównemu kierunkowi swej działalności. Takie kraje jak Anglia czy Francja miały do dyletantów szczęście. Dyplomaci, urzędnicy kolonialni, oficerowie, lekarze, przedstawiciele handlowi, żeby zabić nudę i smutek tropików często oddawali się pasji kolekcjonerskiej czy badawczej i to z całkiem niezłym skutkiem. Kilku z nich dało podstawy współczesnej archeologii śródziemnomorskiej, antropologii czy etnologii, przyczyniło się do postępu i rozwoju badań historycznych.

A my? Nie mieliśmy kolonii, ale mieliśmy Antoniego Rolle, Stanisła-

wa Vincenza i kilku innych maniaków. Niestety, mieliśmy też uprzedzenia. Pamiętam, jak w młodości obrzydzano mi śląską architekturę: a to, że eklektyczna, a to, że mało wyrafinowana, estetycznie nieszczygólna, politycznie podejrzana i źle się kojarząca. Pałace – pozostałości germanizacyjnych zabiegów niemieckich krezusów i arystokratów, kamienice – estetyka obca klasowo, a familoki – obraz nędzy i rozpaczny ludu pracującego. Słowem ohyda. I ja wśród czegoś takiego musiałem mieszkać. Nieszczęsna moja młodość. A teraz? Powstają monografie, albumy fotograficzne, portale internetowe tworzone zarówno przez zawodowców jak i dyletantów. Śląsk wciąż nie może uporać się ze swoją przeszłością, być może dlatego, że to przebudzenie nastąpiło dość późno. – Niczyja wina – możemy powiedzieć. – Co najwyżej samej historii. Fakt. Pewne rzeczy i pewien tok myślenia musimy odkrywać na nowo, co nie jest proste ani takie bezbolesne, jak byśmy sobie tego życzyli.

A pałace? Niektóre zostały i powiększają zasób lokalnych atrakcji, jako że niemal każdy z nich ma swoje dzieje, mniej lub bardziej dramatyczne. Inne są już tylko wspomnieniem czy zachowały się na pozółkłych fotografiach. A o niektórych zapomniano zupełnie. Taki los. Jednak w tych okazjonalnych i fragmentarycznych wydawnictwach i portalach jest ukryta jakaś nadzieja. Może śląskie pałace, pałacyki i wille, te miejskie i te bardziej rustykalne, (wiele z nich całkiem niespodziewanie znalazło się w całkowicie miejskim otoczeniu; ich architektoniczny blask nieco przygasł), doczekają się swojego dra Rolle i nie skryją się wstydliwie za nową, bądźmy szczerzy, nie zawsze najwyższego lotu, architekturą, nie zostaną wydane na pastwę nieodpowiedzialnych i niewygodnych instytucji. Niechby poszły w prywatne ręce. Byłe przetrwały, bo są one nie tylko świadectwem historii, ale częścią śląskiego charakteru, który, śląskiej *way of life*, która miała wiele poziomów, wiele powiązań z dawną Europą, czasem zaskakujących i choć nie wszystkim się to może podoba, warto i te świadectwa naszej odrębności nie tylko zachować, ale także opisać i powiązać z dawnym i obecnym życiem. Sądzę, że taka zbiorcza publikacja, gdyby kiedyś powstała, znalazłaby wielu czytelników, a jej znaczenie wyrosłoby znacznie ponad krąg bibliofilów i maniaków.



* * *

boję się pisać o chwili
żeby trwała bo taka nietrwała
słońce na trawie za oknem
leży tylko przez chwilę
dzieci są chwilę dziećmi
i maliny podnoszone do ust
po chwili rozplývają się
w krwisty słodki sok
zakochanymi oczami śpiewasz hymn
na moją cześć przez chwilę
wierzę że jesteście hymnem
wyśpiewanym przez Boga
na cześć swojego stworzenia
kobiety i mężczyźni przechodzący
przez ziemię obdarowani
tysiącem zachwyków które
po chwili zostają im odebrane
tak jak życie chwila
której Bóg mówi trwaj

* * *

jestem taka spokojna
niespokojna jestem
wieczny pokój masz
dobrze wiem od kiedy wynajęty
zapłaciliśmy za niego słono
teraz nam odpłacasz
najczystsza cisza

mama odwiedza panią doktor

mama ją odwiedziła pomarszczoną śliwkę
takie kurczątka w gniazdeczku pościeli
panią doktor wśród bezradnych doktorów
położoną na szpitalnym łóżku jak w kościele
tych kapłanów w białych fartuchach
znała od podszewki od stukotu chodaków
zapachu żelu antybakteryjnego używanego
do mycia rąk po badaniu teraz po spojrzeniu
na nią myją nawet myśli i nikt nie wie kto ją
wrzucił do tego dołu łóżka i już za życia
przysypał garstką strachu i litości doktorzy
przychodzą do niej z twarzami z lodu
a ona przypomina sobie ile razy patrzyła tak
na pacjentów którym nie mogła
obiecać nic biedna mała pani doktor
z pustą torebką bez stetoskopu który mogłaby
przyłożyć sobie do piersi i stwierdzić zgon

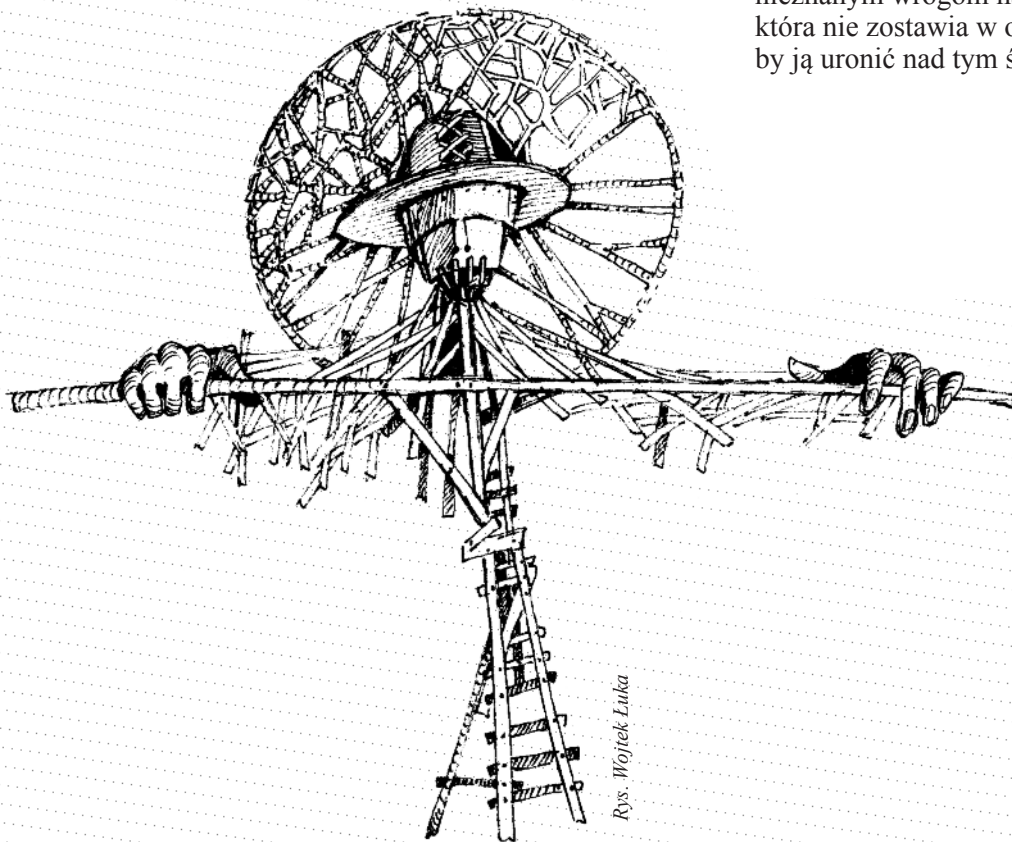
- bezdomnemu Gerardowi

jeszcze niedawno krzychał na psy
to był krzyk pieszczotliwy bo inaczej
nie umiał wyrażać czułości a te psy
były dla niego czule nie odstępowały go
zimą ani latem kiedy nie miał do czego
przytulić głowy jeździł z nimi autobusem
bez biletu kazał siedzieć cicho pod swoim
siedzeniem zeszej jesieni jechałam obok
niego rozdzielał nas pies patrzący na pana
z uwielbieniem a jego pan patrzył na mnie
z innej strony świata teraz jest w innym świecie
choć może całe życie tam był tylko my
widzieliśmy niewiele ledwie cień jego głowy
i ten krzyk słyszę go jeszcze rozkładając talerze
w kuchni Gerard idzie mówi Błażej
nie ma burzy a on jak piorun uderza
w nasze śniadanie że nie chce się jeść ale płakać

* * *

coraz mniej znajomych postaci
znikają jak strachy na wróble
wystawione w polu na jedno lato

ktoś nas wystawił do wiatru



strachy

poblądle twarze dwójki starych znajomych
zobaczyła dziś moja mama
powiedziała mi o tym
kiedy usiadłam nad bladą kartką

przestraszyła się że coś im się może stać
przestraszyłam się że nic się nie stanie kartce
na której to napiszę

* * *

jedna pomarańcza wisząca na drzewku
jak cacko na choince
delikatnie z nią wietrze żeby nie stłuc koloru

* * *

w porze sjeisty wszyscy leżą
jak po wielkiej bitwie
ręce w jedną głowa w drugą stronę
w białej pościeli umarli za życia
z otwartymi ustami i w zbroi z upału
ich sny wędrują w nieznanym kierunku
nie zawstydzone że nie są z tej ziemi
my na tej ziemi tak łatwo poddajemy się
nieznanym wrogom nadciągającej suszy
która nie zostawia w oku ani jednej łzy
by ją uronić nad tym światem

BARBARA GRUSZKA-ZYCH

Śląska rodzina w zaniku?

AGNIESZKA
SIKORA

Współcześni mieszkańcy Górnego Śląska to ludność niejednorodna pod względem pochodzenia. Oprócz rodzimej, która wciąż stanowi trzon społeczności tego regionu, jest tu także spora grupa ludności napływowej (choć obecnie znacznie zasymilowanej), pochodzącej z różnych regionów Polski. Cechą charakterystyczną dla społeczności Górnego Śląska jest fakt, iż największą jej wartość stanowiła rodzina, choć w wyniku licznych procesów społecznych i zmian cywilizacyjnych uległa znacznemu przeobrażeniu.

Prorodzinność

Prorodzinność przejawiała się m.in. w kultywowaniu tradycyjnych ról społecznych i sposobie wychowania dzieci. Przyczyn tak silnej prorodzinności i odmienności rodzin śląskich od rodzin w innych regionach Polski poszukuje profesor Urszula Swadźba, socjolog z Uniwersytetu Śląskiego, która od wielu lat prowadzi badania między innymi nad rodziną śląską oraz wartościami w społecznościach śląskich.

– Moje badania wykazały, że ankietowani, którzy deklarowali śląską odrębność etniczną są bardziej prorodzinni. Ważnym czynnikiem był fakt, iż mieszkali oni w niewielkich społecznościach. Ludność napływająca na Śląsk w początkach rozwoju przemysłu przybywała z małych miejscowości i wiosek. Ludzie przewozili ze sobą swoje zwyczaje, moralność i wartości. Odkryliśmy jednak, że równocześnie także następowała dyfuzja śląskości. To nie znaczy, że oni wpływali na śląskie rodziny, ale należy pamiętać, że wchłaniali wartości wyznawane na Śląsku. Tu było miejsce, gdzie przybywający znajdowali pracę, gdzie się lepiej zarabiali, gdzie podwyższali swoją pozycję społeczną, dlatego chłonęli miejscowe wartości. Takim przykładem dyfuzji na pewno jest gwarą śląska oraz kwestie kulinarne.

Mężczyźni z jednej dzielnicy czy miasta pracowali zazwyczaj w jednym zakładzie pracy, co również wpływało na to, że ich rodziny zamieszkiwały ten sam familok, a to z kolei generowało kolejne czynniki spajające: wspólną przestrzeń przydomową,

wspólne obchodzenie świąt rodzinnych typu urodziny czy ślub, praktyki i święta religijne, a nawet wspólne przebywanie kobiet w maglu, gdzie godzinami plotkowały i nieświadomie przekazywały sobie ową „śląskosc”, wzorce moralne czy styl prowadzenia rodziny.

– O ile w rodzinach chłopskich funkcjonował element konfliktu, bo istniała zawsze swoista „walka” o środki egzystencji, czyli o ziemię, to na Śląsku rodziny były blisko związane ze sobą. Owa walka o środki egzystencji ich nie dotyczyła albo dotyczyła w mniejszym stopniu. Miejsca pracy nie zależały już od rodziny, ale od pracodawcy. W okresie realnego socjalizmu było ich dużo, nie zachodziło zjawisko bezrobocia, a ponadto praca w górnictwie była bardzo dobrze opłacana – uważa profesor Swadźba.

W śląskiej rodzinie obowiązywał także system wychowawczy, który przekazywany był z pokolenia na pokolenie. Dzieci wychowywane były w absolutnym posłuszeństwie i szacunku wobec rodziców oraz osób starszych, przekazywano im takie wartości, jak: uczciwość, pracowitość, oszczędność czy pobożność. Naczelną jednak wartością była rodzina i w takim duchu wychowywano młodych ludzi.

Specyfika

Na pewno cechą charakterystyczną rodzin śląskich było ścisłe odzielenie ról kobiecych i męskich. Od końca XIX w. aż do lat transformacji po 1989 r. dominował układ: pracujący mąż, niepracująca żona.

W początkach rozwoju przemysłu na Górnym Śląsku, tj. pod koniec XIX w. i na początku XX w., mężczyźni byli zatrudnieni głównie w górnictwie, hutnictwie lub w przemyśle. Pracy poświęcali niemal cały dzień, górnik około 12 godzin, hutnik nawet 15. I tak przez cały tydzień, łącznie z niedzielami. Zarówno w kopalniach jak i w hutach praca była niezwykle ciężka i niebezpieczna, dochodziło do wielu wypadków a w hutach cynku i ołowiu trujące wyziewy i pyły towarzyszące produkcji rujnowały zdrowie. Mężczyźni siłą rzeczy nie byli w stanie zajmować się domem, dziećmi czy pracami w gospodarstwie. Byli jedynymi żywicielami ro-

dziny, przynajmniej do momentu, aż do pracy dorastali ich synowie. W czasach realnego socjalizmu, kiedy w górnictwie były bardzo dobre zarobki, kobiety nie miały potrzeby podejmowania pracy.

– Taki układ był typowy dla rodzin górniczych, w innych działach przemysłu zdarzało się, że kobiety pracowały. Dlatego rodziny górnicze były tak specyficzne w porównaniu z innymi, nawet w tym samym regionie – zauważa socjolog i dodaje: – Istotne jest jednak, że rodzin górniczych było bardzo dużo, bo i kopalń było bardzo dużo w regionie. O wzmożonym zatrudnianiu kobiet możemy mówić już od lat 50. XX w., a następnie w latach 60., natomiast mniej w latach 70. XX w. Kobiety, które podejmowały się pracy, czyniły to z konieczności, a nie z powodu chęci zaspokajania osobistych ambicji zawodowych. Ale nawet wtedy, naczelną wartością była rodzina.

Nad ogniskiem domowym czuwała kobieta-matka. To ona dbała o wychowanie dzieci, zajmowała się gospodarstwem domowym, dysponowała zasobami finansowymi i decydowała o wydatkach (mąż i pracujący synowie, do momentu ożenienia się musieli jej oddawać cały zarobek, który był przez kobiety skrupulatnie kontrolowany). Żona-matka była główną organizatorką życia rodzinnego. Dbała o czystość i porządek w domu i obejściu. Rodziny śląskie najczęściej były wielodzietne, kobieta zatem miała głównie zadania opiekuńczo-wychowawcze, w jej gestii leżało m. in. wychowanie religijne i patriotyczne. Jej powinnością było przygotowanie dzieci do przyszłych ról społecznych. Podrastających synów przejmował ojciec, który w pewnym sensie „szkolił” ich do pracy w tym samym zawodzie. Dziewczynki zaś były przygotowywane do roli gospodyni domowej i matki. Dla kobiety zamążpójście i urodzenie dzieci stanowiło wielką wartość i było zarazem nobilitacją. Kobieta zamężna w hierarchii społecznej była wyżej ceniona niż kobieta wolnego stanu, stąd określenie „stara panna” miało wydźwięk pejoratywny. Aż do czasów transformacji w 1989 r. kobieta bezżenna, ale w „odpowiednim” wieku była oceniana, jaka ta, której nikt nie chce, a nie ta, która taki styl życia wybrała. Dopiero całkiem niedawno, na przełomie XX i XXI w., pojawiło się nowe określenie, niepejoratywne – „singielka”.

Wspomniany model wychowania dziewcząt wspierał Kościół katolicki, który podkreślał, że miejsce kobiety jest w domu. Bardzo pomocne w tym względzie były liczne pisma regionalne takie jak „Katolik” (wydawany w latach 1868–1931) wraz z dodatkami, jednym z nich była „Rodzina” poświęcona wychowaniu i nauce domowej. Pisma instruowały gospodynie domowe jak poradzić sobie w gospo-

darstwie domowym z różnymi problemami, jak przyrządzić tanie i smaczne potrawy, uczyły także historii Polski, zaś pouczające opowiadania z dydaktycznym morałem wskazywały, jakie są konsekwencje postępowania niezgodnego z zaleceniami Kościoła czy tradycją ojców.

Oczywiście zdarzało się, że kobiety na Śląsku przed I wojną światową zmuszone były do podejmowania pracy. Była to najczęściej praca pomocnicza w kopalniach, ale na powierzchni, a także w hutach cynku, żelaza i ołowiu. W okresie koniunktury kobiety były chętniej zatrudniane, gdyż ich płace były niższe niż mężczyzn. Zatrudniane były wyłącznie młode kobiety przed zamążpójściem lub wdowy. I choć praca młodych dziewcząt mogła przysłużyć się poprawie warunków ekonomicznych rodziny, Kościół nie patrzył na to przychylnym okiem. Także wielu mężczyzn nie kryło niezadowolenia z pracy córek. Autor artykułu opublikowanego w 1887 r. „Katoliku” (3 czerwca 1887, nr 42, R. XX) pisał:

„(...) przez to, że kobiety, a mianowicie dziewczyny pracują w kopalniach i hutach, niszczą się rodziny, a nawet porządne rodziny robotnicze są wyjątkiem. W gminach panuje przez to bieda. Skoro opuści dziewczyna szkołę, to ją do roboty przyjmą, mianowicie jeżeli ładna i jeżeli się panom urzędnikom podoba. Nim minie dziewięć miesięcy, to urzędnik robi ze szlepra hajera, pod warunkiem, że się ożeni z tą a z tą. A choć i później robotnica wyjdzie za męża, to nie wie, jak warzyć, jak uszyć koszulę, jak latę przyszyć, chleb upiec itd. Nadspodziewanie wcześniej rodzina się powiększa. Z dzieckiem młoda matka obchodzić się nie umie, w domu nieporządek, jedzenie złe, mąż po robocie musi wodę nosić i obiad gotować. Chłop więc zamiast iść do domu z roboty, wstępuje do knajpy, aby się zagrzać „jednym”, przychodzi podchmielony do domu, klnie, wyzywa, bije. Szczęście rodziny znikło na zawsze, o dobrym wychowaniu dzieci mowy nie ma (...) Dla ducha i obyczajów chrześcijańskich jest robotą kobiet i dziewczyn we fabrykach truczizną, prawdziwa moralna cholera i zaraza. Korzyści pieniężnych też nie ma żadnych, bo lichy zarobek nie starczy na wyżywienie i odzież, tem mniej, że panny robotniczki bardzo się stroją. Gdyby nie było wolno przyjmować kobiet do prac fabrycznych, toby na ich miejsce musiano przyjmować mężczyzn, musiano by im więcej płacić, mężczyźni nie chodziliby bez zarobku, rodziny miałyby więcej pieniędzy”.

Podejście do aktywności zawodowej kobiet zaczęło zmieniać się na początku XX w. Mimo upływu lat i zmiany podejścia do tematu pracujących kobiet, a także zmiany stanowiska Kościoła katolickiego aż do okresu

transformacji w 1989 r. na Górnym Śląsku powszechny był model śląskiej rodziny, w której dominował pracujący mąż-ojciec i niepracująca żona-matka.

Przeobrażenia

W okresie międzywojennym, po przyłączeniu znacznej części Górnego Śląska do Polski, a jednocześnie po ustanowieniu autonomii tego regionu, rodzina śląska znalazła się w nowej sytuacji społeczno-politycznej. W 1935 roku Emil Kujawski w „Kuznicy” (nr 4/5, R. 1, 1935, s. 13–14) pisał nawet o kryzysie rodziny śląskiej:

„Rzuceni w wir życia skomplikowanego, związani z niem emocjonalnie i duchowo, szybko wiemy nici łączące nas z pokrewieństwem krwi i pochodzenia. Pozostaje mała komórka rodzinna, jaką jest mąż, żona i dzieci. Ale i ta się kurczy w swej liczebności. Regulacja urodzin, silnie dziś zwalczana przez grupy kościelne, dociera do pewnych sfer proletariatu robotniczego”.

I rzeczywiście, do końca XIX w. rodziny śląskie były liczne i wielopokoleniowe. Do grona ścisłej rodziny zaliczano nie tylko dzieci (dziesięścioro, a nawet dwanaścioro), ale również dziadków (*staryzków*), wujków, braci i siostry z rodzinami. W pierwszej połowie XX w. liczba dzieci w przeciętnej rodzinie zmalała do ośmiorga, sześciorga, a nawet mniej. Większa liczba dzieci była pożądana w rodzinach gospodarskich, by sprawnie wykonywać prace polowe. W rodzinach robotniczych posiadanie licznego potomstwa nie było już tak dogodne, zwłaszcza w okresie kryzysu i bezrobocia przypadającego w latach 1927–1933.

Dość istotne przeobrażenia w śląskiej rodzinie zaczęły następować w okresie realnego socjalizmu. Zaczęło zmieniać się otoczenie społeczne i różnorodne czynniki zewnętrzne, które dotychczas wpływały na trwałość rodziny w tradycyjnym kształcie. Rodzina po II wojnie światowej była mocno doświadczona, została również zburzona jej naturalna struktura demograficzna – zginęło wielu młodych mężczyzn. Z powodu przeobrażeń polityczno-administracyjnych społeczeństwo śląskie zostało zróżnicowane ze względu na sympatie narodowe, a podziały często przechodziły wewnątrz jednej rodziny. Zaczęły pojawiać się związki mieszane z osobami spoza Śląska. Powoli wzrastał stopień zaktywizowania zawodowego kobiet, który był konsekwencją podejmowania przez nie wcześniej nauki w szkołach zawodowych i średnich. Ślązaczki coraz częściej łączyły role rodzicielskie i zawodowe, kontynuując pracę zawodową także po urodzeniu dzieci. Wiele kobiet zaczęło znajdować zatrudnienie w handlu, oświacie, służbie zdrowia, niemalże dominując niektóre działy gospodarki. Procesowi temu sprzyjało pojawienie

się w regionie Uniwersytetu Śląskiego – dużej uczelni kształcącej na kierunkach humanistycznych.

Wydłużający się proces edukacji, a zatem oddziaływania szkoły na młodych ludzi, powodował zmniejszanie się wpływu na nich rodziny. Proces ten pogłębiały również pojawiające się media. Tradycje górnicze nie były już przekazywane synom, znajdowali oni zatrudnienie w innych gałęziach przemysłu. Dzięki wykształceniu zaczęli zajmować kierownicze stanowiska, które kiedyś zarezerwowane były dla Niemców. Często podejmowali również pracę poza Śląskiem, co powodowało rozluźnienie więzi z rodziną, a nawet ich zrywanie. Przyczyniła się do tego także sytuacja polityczna w latach 80. XX. Wielu młodych Ślązaków wyjechało za granicę, głównie do Niemiec. Wspomniane procesy spowodowały stopniowe zanikanie tradycyjnego modelu rodziny śląskiej.

Po 1989 r. proces transformacji systemowej poważnie zmienił środowisko górnicze. Likwidacja kopalń, bezrobocie i zubożenie odbiły się na śląskich rodzinach. Zaczęto odnotowywać spadek zawieranych małżeństw, młodzi ludzie opowiedzieli się za wspólnym utrzymywaniem rodziny i podziałem obowiązków. Cechą charakterystyczną stała się także niższa dzietność śląskich rodzin. Nastąpił proces upodabniania się rodziny śląskiej do rodzin w całym kraju. Nawet gwara śląska jest coraz rzadziej używana, a kulturowana jest wyłącznie przez osoby o śląskiej identyfikacji etnicznej.

Obecnie na Śląsku można obserwować znaczne rozluźnienie więzów rodzinnych. Krewni rozsiani są po różnych, odległych miejscowościach. Brak bliskości terytorialnej spowodował zanik tradycyjnego sposobu spędzania wolnego czasu czy kulturowania rodzinnych zwyczajów i uroczystości (urodzin, Abrahama...). Śląska rodzina nie może również w takim stopniu, jak kiedyś liczyła na pomoc krewnych. Zwyczaje i obyczaje, które kiedyś wyróżniały Śląsk od innych regionów Polski, obecnie ograniczają się do praktyk religijnych (np. pielgrzymka mężczyzn do Piekar Śląskich), potraw kuchni śląskiej, szczególnie podczas świąt. Na pytanie, jaka jest dziś rodzina na Śląsku, można więc odpowiedzieć: taka jak w całej Polsce i boryka się z tymi samymi problemami.

Wykorzystana literatura:

Urszula Swadźba, *Wartości – praca, rodziny i religii – ciągłość i zmiana. Socjologiczne studium społeczności śląskich*, Katowice 2012.

Irena Bukowska-Floreńska, *Rodzina na Górnym Śląsku*, Katowice 2007.



EKG – próba podsumowania

JÓZEF WYCISK

W maju odbył się ostatni Europejski Kongres Gospodarczy w Katowicach; ostatni, zorganizowany poza Międzynarodowym Centrum Kongresowym. Ponieważ prace przy budowie idą już wreszcie pełną parą, należy przypuszczać, że w przyszłym roku uczestnicy Kongresu spotkają się w MCK. Czy spowoduje to, że stanie się inny? Jak twierdzi Wojciech Kuśpik – prezes Grupy PTWP, ale przede wszystkim inicjator i organizator Kongresu – już sam fakt spotkania się w MCK będzie wystarczającą nowinką, więc raczej nie należy spodziewać się po organizatorach jakichś kolejnych, nowych „atrakcji”. Pytanie tylko, co tak naprawdę określamy tą nazwą?

Pierwszą i bezdyskusyjną atrakcją tegorocznego Kongresu było niewątpliwie wystąpienie premiera RP Donalda Tuska. Jak nigdy dotąd, w czasie uroczystości otwarcia żadnego z poprzednich Kongresów, padło w tym wystąpieniu tyle ciepłych słów o górnictwie, ale i poniekąd o Śląsku, tyle nadziei, tyle wiary w lepszą przyszłość, tyle zapewnień wsparcia i pomocy, że nawet osoby nie interesujące się polityką musiały dojść do wniosku, że chyba zbliżają się jakies wybory. Jeśli jednak osoba ta pozosta-

ła na Kongresie i posłuchała kilku przynajmniej debat, musiała też dojść do innego wniosku – że żadne „zaklęcie rzeczywistości” już nie pomoże, a czasy przed górnictwem łatwe nie będą, nawet jeśli państwo otoczy tę branżę jeszcze lepszą opieką. Ale o tym za chwilę.

Kolejną atrakcją było niewątpliwie to, że Kongres właściwie odbywał się w dwu miejscach. Wprawdzie inauguracja nastąpiła w trzecim, ale obrady tak naprawdę zamknęły się w dwu hotelach i byłym kinie, choć właściwie należałoby powiedzieć – byłym multipleksie. Dało to przedsmak przyszłorocznego spotkania. Po raz pierwszy wielu gości kongresowych mogło się po prostu spotkać i porozmawiać ze sobą, a między innymi o to przecież chodzi.

W tegorocznym spotkaniu wzięło udział sześć tysięcy stu gości, obyła się setka sesji, debat i wydarzeń towarzyszących, uczestniczyło w nich siedmiuset panelistów, ponad pół tysiąca dziennikarzy z dwustu tytułów prasowych relacjonowało wydarzenia, a liczba publikacji przekroczyła pięć i pół tysiąca. Na Kongresie znalazły się takie polskie firmy jak: Enea, Lotos, JSW, KGHM, Orlen, PGE, PKP czy Tauron. I globalne firmy jak: ArcelorMittal, Google, Hitachi,

ING, Kapsch, Microsoft, Orange, Siemens. Wśród prelegentów byli m.in. László Andor, komisarz UE ds. zatrudnienia, spraw społecznych i integracji, Kamel Bennaceur, minister przemysłu, energetyki i górnictwa Tunezji, Ignacio Garcia Bercero, główny negocjator transatlantyckiego partnerstwa z ramienia UE, Elżbieta Biełkowska, wicepremier, minister infrastruktury i rozwoju RP, Jerzy Buzek, poseł do Parlamentu Europejskiego, były przewodniczący PE i premier RP, Honorowy Przewodniczący Rady Patronackiej EEC, Johannes Hahn, komisarz UE ds. polityki regionalnej, Zoltán Cséfalvay, minister stanu z ministerstwa gospodarki narodowej Węgier, Maciej Grabowski, minister środowiska RP, Jaroslav Neverovič, minister ds. energii na Litwie, Włodzimierz Karpiński, minister skarbu państwa RP, Khurram Dastgir Khan, minister handlu Pakistanu, Lena Kolarska-Bobińska, minister nauki i szkolnictwa wyższego RP, profesor Grzegorz W. Kołodko, Władysław Kosiniak-Kamysz, minister pracy i polityki społecznej RP, Jan Kulczyk, przewodniczący RN Kulczyk Investments, założyciel CEED Institute, Essossimna Legzim-Balouki, minister handlu i promocji sektora prywatnego Togo, Mullaney, główny negocjator TTIP z ramienia USA, Janusz Piechociński, wicepremier, minister gospodarki RP, Antonín Prachař, minister transportu Czech, Mateusz Szczurek, minister finansów RP, Rafał Trzaskowski, minister administracji i cyfryzacji RP, Donald Tusk, premier RP, oraz Lech Wałęsa, prezydent RP w latach 1990-1995.

I tak oto dotykamy rzeczy, która we wszystkich dotychczasowych kongresach jest wartością szczególną. Czyli tematyki. Stało się już chyba znakiem rozpoznawczym Europejskich Kongresów Gospodarczych, że za każdym razem, pojawia się jakiś temat, który ważny okaże się za jakiś czas. Od pierwszego Kongresu staraliśmy się pokazać Europie, że Pakiet Klimatyczny nie jest najlepszym rozwiązaniem, głównie dlatego, że wypycha przemysł poza granice Europy. Dzisiaj to myślenie staje się coraz częściej obecne, zyskało nawet swoją ładną nazwę – „reindustrializacja”. Powtarzają to słowo prominentni politycy. Europejski Kongres Gospodarczy postawił swego czasu pytanie o europejską infrastrukturę energetyczną, między innymi o poziom integracji sieci przesyłu gazu pomiędzy państwami, sugerując konieczność budowy większej liczby połączeń w osi północ – południe, a nie tylko wschód – zachód. Dzisiaj widzimy, jak ważna jest to kwestia. EKG postawił rok temu pytanie o polską, ale i europejską obecność w Afryce, a ostatnie dwanaście miesięcy pokazało, jak wiele w dziedzinie współpracy Polski z Afryką się wydarzyło. W tym roku najważniejszym bodaj tematem spotkania była umowa TTIP, czyli utworzenie strefy wolnego handlu pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Unią Europejską.

Szacuje się, że porozumienie przyczyni się do ożywienia gospodarki unijnej o 120 miliardów Euro oraz gospodarki USA o 100 miliardów Euro. I w tym miejscu – ku zaskoczeniu wszystkich – wracamy do górnictwa, o czym wspominałem na początku. Przewagi konkurencyjne Stanów Zjednoczonych nad Unią Europejską są liczne. Ale dwie są istotne. Gospodarka amerykańska jest mniej obciążona socjalnymi zobowiązaniami niż gospodarki europejskie. Po drugie – po rozpoczęciu przemysłowej eksploatacji gazu łupkowego energia w Stanach stała się relatywnie tańsza. Już nie wspominając o tym, że jest to energia własna. Co na to Europa? Czy zdecydować się na weryfikację swojego modelu socjalnego, z którego jest tak dumna? Pomimo tego, że w Europie powstaje jedynie jedna czwarta globalnego PKB, to tu wydaje się 60 procent wszystkich socjalnych wydatków świata. Czy zatem zdecyduje się na ruchy w dziedzinie energii? Energia w UE jest obciążona wieloma daninami. Po drugie – jest to w znacznej mierze energia z importu. Jak dokonać reindustrializacji gospodarki w takich warunkach? I jak się w tym wszystkim odnajdzie polski mix energetyczny? Jeśli import tańszej energii ze Stanów i nacisk na obniżanie ceny energii w Europie staną się faktem, jak się do tego będą miały ceny wydobycia węgla i energii elektrycznej w Polsce? To są pytania, przed którymi naprawdę stoi polskie górnictwo. Zapowiedź stworzenia państwowych składów węgla, czy odraczenie spłat należności wobec ZUS, to ruchy, które pokazują, jak daleko jesteśmy od rozwiązań strategicznych dotyczących gospodarki. I jak bardzo jesteśmy związani koniecznością podejmowania różnych decyzji, i jak bardzo ta „doraźność” zasłania nam widok na to, co dzieje się za horyzontem. Europejski Kongres Gospodarczy wskazuje horyzont. Kto chce z tego skorzystać, może to uczynić.

Na liście obecności tak zwanych „zacznych gości” jako pierwszy – głównie z powodu alfabetycznego porządku – wymieniony jest się László Andor, komisarz UE ds. zatrudnienia, spraw społecznych i integracji. Jest to ważne i znamienne. Kongres postanowił zwiększyć swoje zainteresowanie sprawami społecznymi. Nie chodzi tylko o dyskusję o migracji, która była owszem interesująca, nie tylko dlatego, że w gronie prelegentów znalazł się dr Jan Kulczyk, Lech Wałęsa czy Zdenek Bakala. Tegoroczny Kongres postawił również większy nacisk na Społeczną Odpowiedzialność Biznesu. Być może Kongres w przyszłości nie powinien uciekać od kwestii społecznych. Po kryzysie w świecie i w Europie, po niemieckiej reformie socjalnej Gerharda Schrödera, po wielkiej imigracji na Wyspy Brytyjskie mieszkańców nowych krajów Unii, pojawiło się w Europie dziwne zja-

wisko, które polega na tym, że młodzi praktycznie wyjeżdżają dziś z każdego kraju, nie tylko z Polski. Wyjeżdżają dziś także i z Niemiec i z Irlandii, i z Hiszpanii i tak dalej. Zazwyczaj uciekają przed pułapką niskich wynagrodzeń, uciekają przed tym, aby nie znaleźć się w gronie „ubogich pracujących”. Gospodarki europejskie nie mają dziś oferty dla tych, których kwalifikacje nie są „topowe”. Gospodarki Unii Europejskiej, pozabawione przemysłu wypychanego poza jej granice, mają dziś ofertę tylko i wyłącznie dla wysoko wykształconych z doświadczeniem zawodowym. Nie rozwiąże tego na wskroś gospodarczego problemu taki lub inny program aktywizacji młodych opracowany przez Unię, a przez komisarza Andora w czasie Kongresu przedstawiony. Jeśli gospodarka nie kreuje określonych miejsc pracy, urzędnicy mogą jedynie udawać, że rozwiązują jakiś problem. A problemem staje się coraz liczniejsza grupa pracujących na tzw. minijobs, czy na umowach cywilnoprawnych. W każdym europejskim kraju. Być może warto o tym porozmawiać za rok.

Jednak z obecnością komisarza Laszlo Andora wiąże się jeszcze pewna zapowiedź, którą przed Kongresem złożył przewodniczący Rady Programowej Kongresu Jerzy Buzek. Powiedział mianowicie, że planowane jest spotkanie szefów polskich central związkowych z komisarzem Andorem. Jak się później okazało, do takiego spotkania nie doszło. I właściwie nawet nie interesuje mnie odpowiedź na pytanie dlaczego. Bo jest mało istotne to, jakie powody wymyślają spece od PR w tym czy innym związku. Nie interesuje mnie, ponieważ właśnie w tym kraju, właśnie w tym roku, po 25. latach od częściowo wolnych wyborów, warto było spotkać się z Laszlo Andorem aby porozmawiać o tym, jak wygląda ta „socjalna Europa” w krajach, które dołączyły do dawnej piętnastki. Jak może wyglądać przyszłość ludzi pracy w Europie, jeśli nadal za wszelką cenę będzie ona chciała wykluczać ze swego pejzażu działalność wytwórczą, czyli jakikolwiek przemysł. Może warto było porozmawiać z komisarzem o tym, że „Po pierwsze gospodarka...”, a potem rozwiązania w sferze społecznego wsparcia i integracji społecznej.

Jakie są najważniejsze wnioski tegorocznego Kongresu? Jak powiedział premier Jerzy Buzek – najważniejsze kwestie, które w czasie tegorocznych dyskusji i rozmów pojawiały się najczęściej, koncentrują się wokół dwu kwestii. Pierwszą jest obawa o to, czy Europie nie grozi wejście na wiele lat w stagnację, czyli w tempo rozwoju na poziomie od pół do jednego procenta. I – jak dodaje premier Buzek – także Polsce grozi wejście w pułapkę średniego wzrostu, czytaj – średniego dochodu. Wielu uważa bowiem, że udało nam się tak wiele przez tych 25 lat, że właściwie nie trzeba już nic zmieniać. Obie te obawy pojawiały się na wielu se-

sjach, wracały w czasie wielu dyskusji. Ale i odpowiedzi na to, jak nie dać się takiej pułapce, jak wyjść z tego zagrożenia było co najmniej kilka. Pierwszą jest dostępność taniej energii. Kolejne szanse to odblokowanie wspólnego europejskiego rynku ale i umowa ze Stanami Zjednoczonymi. A kolejnym panaceum może być reindustrializacja, ale taka, w której innowacyjność gospodarki jest na pierwszym planie.

O tym, w jakim duchu wypowiedano się na Kongresie najlepiej świadczy kilka cytatów. Jan Kulczyk – przewodniczący Rady Nadzorczej Kulczyk Investments: „*UE straciła pomysł na swoją przyszłość. Zapomnieliśmy, że po to stworzyliśmy UE, żeby poprawić warunki gospodarczego funkcjonowania w UE. Może sytuacja na Wschodzie uświadomi, że UE powinna stać się konkurencyjną częścią światowej gospodarki. Polityka energetyczna to stworzenie infrastruktury energetycznej. W UE jest 28 infrastruktur fatalnie ze sobą połączonych. Musimy w UE stworzyć jeden system energetyczny, który doprowadzi do obniżenia cen energii i zwiększenia bezpieczeństwa energetycznego.*” Lech Wałęsa powiedział między innymi: „*Jeśli chcemy tworzyć większe struktury, a przecież musimy je tworzyć, to powinniśmy postawić sobie pytanie, które najważniejsze tematy wymagają powiększonych struktur, a które ich nie wymagają. Dla których stosowne są struktury kontynentalne, a dla których już globalne?*” Pierre Bruhler ambasador Francji w Polsce: „*Byliśmy w forpoczcie pisanie europejskiej konstytucji, ale obywatele otworzyli nam oczy, kiedy odrzucili ten projekt w referendum. Obowiązujący obecnie Traktat Lizboński nie jest idealny, ale wciąż daje europejskim politykom duże pole do działania. Te zapisy nie zostały jeszcze w pełni wdrożone. Może zamiast rozpoczynać debatę nad nowym traktatem, najpierw należałoby w pełni wykorzystać możliwości, jakie daje obecny?*” Danuta Huebner poseł do Parlamentu Europejskiego, przewodnicząca Komisji ds. Rozwoju Regionalnego: „*Europa to też kwestia nastrojów i emocji. Kryzys wiele dodał do negatywnego myślenia o Europie. Na to potęgowanie negatywnych nastrojów nakłada się jeszcze jedna słabość wspólnoty – Unia Europejska jest nieefektywna w kwestii komunikacji z ludźmi.*”

Jak widać Europejski Kongres Gospodarczy to pewna oferta. Biznesowa, ale i intelektualna. O jej znaczeniu i praktycznym wymiarze nie stanowią działania organizatorów, bowiem oni wspinają się na najwyższe poziomy. O znaczeniu Kongresu stanowi to, ilu chce, i w jakim stopniu, skorzystać z tej oferty. Jeśli ktoś chce zadać głośno pytanie: jakie jest znaczenie Kongresu, winien najpierw odpowiedzieć sobie – „czy w ogóle chciałem z tej oferty skorzystać”.

WIESŁAW
KOSTERSKI

Chorzów, centrum. Za estakadą posępna szarość oczodołu w ziemi po hucie Kościuszko i klockowate bryły hal huty Królewskiej. Skąpy wjazd na ul. Metalowców tarasuje tramwaj i dwa TIR-y. Ciasno, ślisko, niewygodnie, mglisto.



Radosław Banach, prezes Zarządu Alstom Konstal

Trzeba poczekać, na drugie życie

— *M* iasto ma przebudować drogę w taki sposób, by umożliwić dojazd do nas od strony Bytomia – mówi Radosław Banach, prezes Zarządu Alstom Konstal, odpowiadając na moją uwagę o komunikacyjnej pułapce. — *Teraz trzeba zrobić rundę przez estakadę.*

Biuro zarządu nie ma oddzielnego budynku, wtopiono je w blok hali produkcyjnej. Modernistyczna recepcja na parterze, utrzymany w podobnym stylu gabinet na piętrze. Surowa elegancja, bez przepychu i korporacyjnego zadęcia.

Konstal należy od 1997 roku do globalnego koncernu Alstom, potentata na rynku energetyki i transportu szynowego. Za płotem ma hutę Królewską, w której rządy sprawuje ArcelorMittal. Hutę Kościuszko, kolejnego sąsiada, zmiotł wolny rynek. Odeszła w przeszłość z cieniem PRL pod rękę, zostawiając po sobie gigantyczną dziurę w ziemi. To, co dla miasta stanowiło przez dziesięciolecia powód do chwały, teraz jest przyczyną utrapienia.

Utworzony w 1864 roku zakład umiał znaleźć się w realiach gospodarczych każdej epoki i mocno wrosł w przemysłowy pejzaż Chorzowa i Śląska. Produkowa-

ła różne rzeczy: podzespoły do taboru kolejowego, wagony towarowe, konstrukcje stalowe i tramwaje, które stały się jego znakiem rozpoznawczym. W sumie 4,5 tysiąca wozów. Ich część nadal jeździ po ulicach największych polskich miast.

W latach 80. i 90. ubiegłego stulecia fabrykę dotknęła wyniszczająca choroba niemocy trawiąca zakłady przemysłu ciężkiego. Nie miała nowoczesnej technologii, kapitału, pomysłu, wizji rozwoju. Ale miała tradycje, na które zwrócił uwagę francuski Alstom, zwiększający wówczas zdolności produkcyjne w Europie głównie poprzez akwizycje. I zdecydował się zainwestować. Przejmując Konstal, kupił rozpoznawalną markę.

Z jaką myślą inwestor wykladał swoje pieniądze?

— *Wiele czynników decydowało* – mówi R. Banach. — *Głównie doświadczenia firmy. W Europie, a Konstal jest tego przykładem, Alstom przejmował spółki z historią, tradycjami, dobrze zlokalizowane, mające potencjalne możliwości rozwoju.*

Zmiana właściciela (Alstom nabył firmę od Skarbu Państwa) nastąpiła w chwili, kiedy przemysł ciężki przestał być wizytówką Chorzowa i regionu. Dawna

podstawa rozwoju Śląska znalazła się po drugiej stronie, w czasie przeszłym dokonanym. Nadchodziło nowe, niesione ożywczymi podmuchami przekształceń strukturalnych w gospodarce i falą likwidacji nierentownych przedsiębiorstw, która przetoczyła się ciężkim walcem zwłaszcza przez górnictwo i hutnictwo.

Chorzów zmienił gospodarcze oblicze. Kiedyś funkcjonowało tutaj pięć kopalń, teraz nie ma ani jednej. Wyczerpały się złoża. Choć...

Kopalnię „Barbara-Chorzów” zamknięto mimo że posiadała duże pokłady w Chorzowie Starym. Zakład wydobywczy chce teraz reanimować zagraniczny inwestor. Prowadzi odwierty, kalkuluje, sprawdza warunki, bada rynkowe możliwości. Jest więc szansa, że górnictwo wróci do Chorzowa. Władze miejskie reaktywowały nawet klasę górniczą w dawnym technikum przy ul. Sportowej.

Śląsk boi się jednak węgla, szkód, jakie niesie. Przed jego eksploatacją gminy bronią się jak przed kataklizmem. Zatem?

— *Patrzmy pozytywnie na to, co robią potencjalni inwestorzy* – mówi Marcin Michalik, zastępca prezydenta miasta do spraw gospodarczych. — *Oni chcą wydobywać węgiel na terenach niezurbanizowanych, na północy miasta, na Żabich Dolach w Maciejkowicach.*

Dowiedziawszy się o szykowanej inwestycji, byli górnicy już przychodzą do magistratu, a nawet do proboszcza parafii w Maciejkowicach, i pytają, co z tą kopalnią, kiedy ruszy. Bo oni szukają roboty, chcą wrócić, zjeżdżać na dół.

W mieście została huta Batory i Królewiska. Ale to już nie te giganty sprzed lat. Kiedyś zatrudniały po kilka tysięcy ludzi, teraz mają po kilkuset pracowników. Trzymają się Azoty, inwestują, zwiększają nawet zatrudnienie.

Na przeciwnym biegunie znalazła się huta Kościuszko. Poszła w niebyt. Przy głównej ulicy, łączącej Katowice, Chorzów z Bytomiem miała piec martenowski i wytapiała stal. Jej kominy stały się symbolem miasta.

— *Za bajtla, jak jechałem tramwajem, widać było jak ta czerwona stal wylewa się z pieców. To był naturalny krajobraz Chorzowa* – komentuje M. Michalik.

Upadły Zakłady Chemiczne Hajduki, syndyk zgasił światło, sprzedał teren. Powstał park logistyczny i przemysłowy, w który grupa przedsiębiorców próbuje tchnąć nowe życie gospodarcze.

Według szacunków, Chorzów w wyniku przemian społeczno-gospodarczych stracił po 1989 roku około 30 tys. miejsc pracy, głównie w górnictwie i hutnictwie. Kiedy Polska wchodziła do UE bezrobocie sięgało 24 – 25 proc. Dramat! Od tego momentu liczba bezrobotnych topniała, a wiele firm urosło po uzyskaniu dostępu do innych rynków.

Spadek po dawnych firmach przyniósł miasto: kilkadziesiąt hektarów zdegradowanych terenów przemysłowych, niektóre w centrum, obok Rynku.

Takich obszarów już na szczęście nie przybędzie, bo co miało upaść, upadło.

– Na tym tle wyróżnia się Alstom Konstal – ocenia M. Michalik. – To jedna z największych firm w mieście, jeden z ambasadorów chorzowskiej gospodarki.

W chwili przejścia Konstal (w tym roku firmie stuknie równo 150 lat) nie był w kwitującym stanie technicznym i infrastrukturalnym. Wymagał przebudowy, którą zrealizowano etapami. Najwięcej wydał Alstom w ostatnich trzech latach, prawie 80 mln zł z kwoty 267 mln zł, jaką w sumie zainwestował w ciągu 17 lat. Powstały m. in. nowe hale produkcyjne, w tym lakiernia, zainstalowano nowoczesne linie technologiczne.

– Zrobiliśmy więcej niż było zakładane – powie krótko R. Banach.

Odmieniona fabryka (w 2013 roku osiągnęła 800 mln zł obrotów) wysforowała się na czoło chorzowskich przedsiębiorstw, jest największym pracodawcą w mieście. Zatrudnia prawie 1000 pracowników oraz około 200 osób prowadzących działalność gospodarczą pod własnym szyldem. To efekt rozwoju i wprowadzania kolejnych projektów produkcyjnych, które firma realizuje samodzielnie, jak choćby pociągi metra, albo wspólnie z innymi zakładami Alstomu w Europie – w Niemczech, Francji, Włoszech i Hiszpanii.

W koncernie zajmuje dość wyjątkowe miejsce, stała się centrum produkcji taboru dla metra. Do Budapesztu wysłała dwadzieścia dwa 5-wagonowe składy dla linii „2” i piętnaście 4-wagonowych składów dla linii „4” o łącznej wartości kilkaset mln zł. Teraz realizuje również duży kontrakt dla Amsterdamu. Co miesiąc z jej hal wyjeżdża jeden 6-wagonowy pociąg.

Wspólnie z innymi fabrykami koncernu przymierza się do kolejnej dostawy pociągów metra typu Metropolis. Tym razem trafią one do Rijadu. W samym Konstalu produkcja ruszy ma za kilkanaście miesięcy. Projekt jest znaczący, podobny do amsterdamskiego, przewiduje dostawę około 150 wagonów.

W tym roku spółka zwiększy zatrudnienie. Może sobie pozwolić na taki luksus, bo ma zamówienia, które wchodzi teraz w fazę silnego wzrostu. To głównie kontrakty podpisane z operatorami kolei włoskich i francuskich.

Kilka lat temu zdecydowano w Alstomie, że pociągi regionalne dla kolei we Włoszech będą robione w Chorzowie i finalnie kompletowane w fabryce w Savigliano koło Turynu. Taką samą zasadę przyjęto organizując współpracę z firmą we francuskim Reichshoffen, która ma w portfelu zamówień duży projekt dla kolei regionalnych we Francji.

Prawie 100 proc. produkcji idzie z Chorzowa na eksport, co oznacza, że rynek polski jest wciąż do wzięcia. Władze polskich miast pukają co prawda do koncernu, pytają o tramwaje, ale zleczeń nie ma. A Konstal robi tramwaje, w kooperacji z Francuzami, na tamtejszy rynek. Zlecenie finansuje rząd francuski. W Polsce



Metro Budapeszt

konkurentem jest bydgoska Pesa, liczący się gracz w branży.

Chorzów powiązany z Pendolino. Fabryka serwisować będzie 20 pociągów dużych prędkości w oddziale zbudowanym od podstaw na warszawskim Grochowie. To jeden z trzech elementów kontraktu Alstomu z PKP Intercity (w maju br. rozgorzał konflikt między stronami na tle przygotowań Pendolino do jazdy polskimi torami), który obejmuje produkcję pociągów we Włoszech oraz budowę zakładu naprawczego i centrum usług serwisowych w Warszawie.

– Jakie miejsce zajmujemy w grupie Alstomu? – zastanawia się R. Banach. – Jesteśmy, jeśli nie największą, to jedną z dwóch największych fabryk koncernu na świecie. W niczym nie ustępujemy innym firmom naszej grupy. Każda ma swoją specyfikę, kompetencje, jak choćby we Włoszech, gdzie powstaje Pendolino, czy w La Rochelle we Francji, gdzie produkowany jest TGV.

Chorzów złapał oddech w ostatnich latach. W lukę po wymiecionych kopalniach i stalowniach weszły przedsiębiorstwa innych, lżejszych branż. Jak choćby

Tropical, producent pokarmu dla ryb. Tereny na południu miasta, zwolnione przez hutę Batory, zajmuje bodaj największa w Polsce baza logistyczna amerykańskiego koncernu ProLogis. Wcześniej były tam nieużytki, hałdy i poligon wojskowy, gdzie poddawano testom wyroby huty Batory, czyli armaty czolgowo.

Czym zaszyć dziurę po hucie Kościusko? Może galerią handlową, jak w Dąbrowie Górniczej, gdzie na dawnych terenach huty Bankowej wybudowano „Pogorie”, biurowcem, a może jakimś zakładem z czystą ekologicznie technologią i czystymi wyrobami – słyszę w magistracie.

A rozgrzebany Stadion Śląski, kolejny symbol Chorzowa? Dzisiaj symbol promocyjnej pustki, próżni w biznesie, niedolności gospodarczej, wizerunkowej hańby regionu. Wyrwa w koncertach. Na występy rockowych megagwiazd, choćby U2, przyjeżdżała cała Europa. Był ruch, były pieniądze. Stracił Chorzów, stracił Śląsk.

Trzeba poczekać. Na drugie życie. Jak w Konstalu...



Lakiernia Chorzów



Bratysława

Czechosłowacja wiecznie żywa

JAKUB
LOGINOW

Dla młodszych czytelników ta nazwa jest całkowitą abstrakcją, a w lepszym wariacie – archaizmem, kojarzącym się z dawno minioną historią. Dla nieco starszych – czymś również minionym, ale jak najbardziej realnym, kojarzącym się z młodością, wywołującym nutkę melancholii. Czechosłowacja, bo to o niej mowa – już nawet najstarsi ludzie dawno przestali używać tego określenia, choć początkowo przyzwyczajenie brało górę nad zmianami geopolitycznymi. Dziś już prawie nikt w Polsce nie mówi o „czeskich Tatrach”, a odrębność obu naszych sąsiadów stała się dla nas czymś oczywistym. W końcu 21 lat, które minęło od rozpadu naszego południowego sąsiada, to kawał czasu – wystarczający, by w pełni przyzwyczaić się do zmian.

Gdyby w drugiej połowie lat 90. Polak pomylił Czechy ze Słowacją lub powiedział, że nie widzi między oboma krajami różnicy, nie spotkałoby się to z pozytywną reakcją zarówno ze strony Czechów, jak i Słowaków. Dziś jednak, po kilkunastu latach budowy własnej państwowości, następuje coś w rodzaju ponownej integracji obu

krajów i społeczeństw. Paradoksem historii jest to, że Czechosłowacja najpierw się z hukiem (choć pokojowo) rozpadła, by po etapie budowania zasięków i przejść granicznych równie entuzjastycznie je likwidować po wejściu obu krajów do strefy Schengen. A jeszcze większy chichot historii polega na tym, że dopiero teraz, gdy oba kraje są niepodległe, stosunki czesko-słowackie są wręcz wzorowe. Nie ma już niesnasek, które ciągnęły się od samego początku powołania wspólnego państwa w 1918 roku. To tak jak w starym małżeństwie, które ciągle się kłóci i nie może dojść do porozumienia – aż w końcu kulturalnie godzi się na rozwód, po którym... kłótnie ustają i ex-małżonkowie stają się przyjaciółmi. Każdy żyje na swój rachunek, nikt od drugiego nie zależy, nie ma więc wzajemnych oskarżeń, które wcześniej psuły relacje.

Małżeństwo z rozsądku

Czechosłowacja była w zasadzie małżeństwem z rozsądku, w którym a priori pozycja Słowacji była niż-

sza, niż Czech. Bez połączenia ze Słowakami Czechy nie uzyskałyby niezależności od Niemców i Austriaków, z kolei bez czeskiego wsparcia Słowacy nie wyrwaliby się z węgierskiego zwierzchnictwa. W dodatku, w geopolitycznej układance formowanej przez zwycięzców I wojny światowej, potrzebne było w miarę silne państwo czechosłowackie, które w jakiś sposób równoważyłoby siłę Niemiec, okrojonych Węgier i odrodzonej Polski. Z tych samych geopolitycznych powodów powstała niezależna Republika Austrii, chociaż większość niemieckojęzycznych mieszkańców dawnych Austro-Węgier opowiadała się za przyłączeniem do Niemiec.

Tym niemniej, po 1918 roku oba narody traktowały Czechosłowację jako autentyczną ojczyznę i spełnienie wielowiekowych marzeń o niepodległości: od Niemiec i Austrii (Czesi) oraz Węgier (Słowacy). Niesnaski pojawiły się dopiero później (pod koniec lat 20.), a ich sens można streścić bardzo prosto. Czesi uważali, że jako ci lepiej rozwinięci muszą dopłacać do biednej, rolniczej i leniwej Słowacji, która jest kulą u nogi wspólnego państwa. Z kolei Słowacy skarżyli się, że ich kraj jest traktowany przez Pragę jak wewnętrzna kolonia, a całość polityki gospodarczej jest podporządkowana rozwojowi Czech, Moraw i czeskiego Śląska.

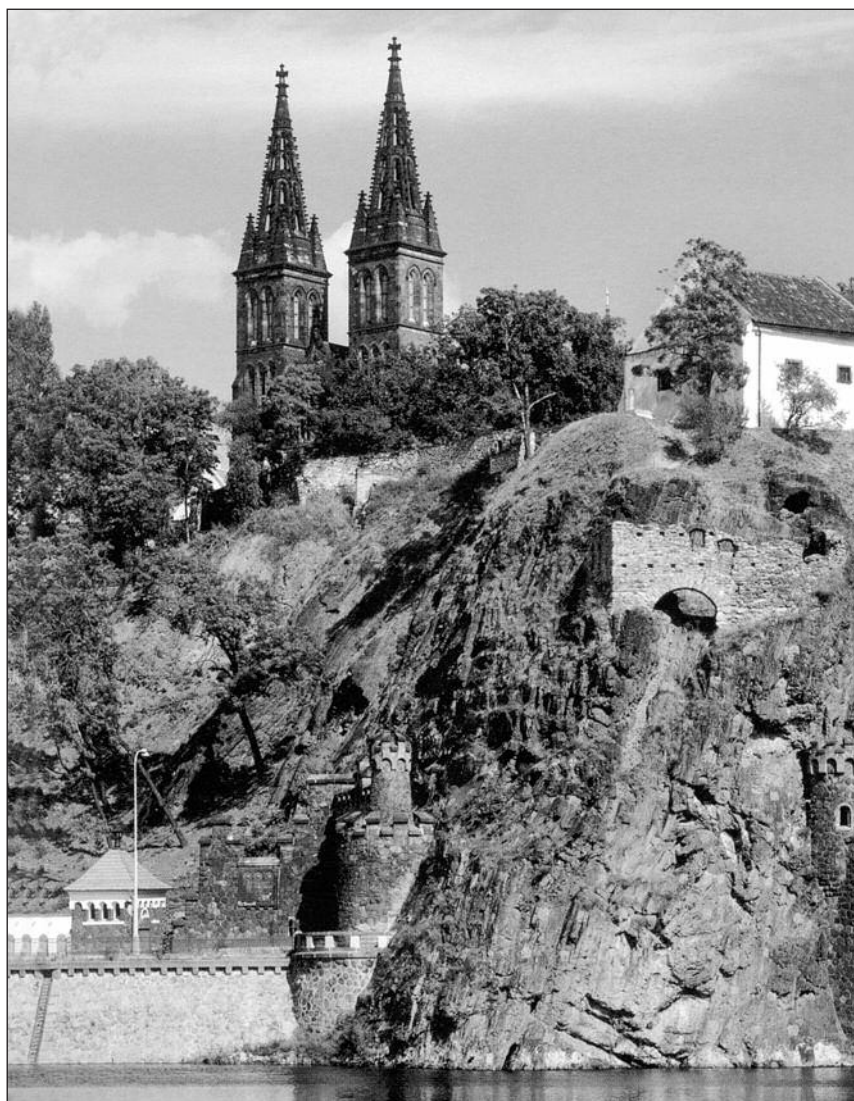
Takie nastroje były szczególnie silne w latach 30. XX wieku i trwały aż do rozpadu państwa w 1993 roku. Nic dziwnego, że w pewnym momencie wspólne życie dwóch narodów w jednym organizmie państwowym okazało się niemożliwe. – *Rozpad Czechosłowacji był nieunikniony. Historia pokazała, że główna rola wspólnego państwa polegała na ochronie przed Niemcami (względnie Austriakami) i Węgrami. A gdy w ciągu dziesięcioleci to zagrożenie minęło, Słowacy i Czesi przekonali się, że mogą sobie pozwolić na samodzielny byt państwowy. Ten „rozwód” paradoksalnie tylko wzmocnił przyjaźń między oboma narodami* – uważa słowacki historyk Lukáš Krajčír. W podobnym tonie wypowiada się dziś większość Słowaków, nawet tych, którzy w 1993 roku nie za bardzo sobie wyobrażali, że Czechosłowacji miałoby już nie być.

Aksamitny rozwód

Opokojowym rozwodzie między Czechami a Słowacją napisano już tomy książek i artykułów prasowych,

dlatego powyższe słowa mogą wydawać się banalne i oczywiste. Ale tym niemniej warto przypomnieć, że w momencie gdy zapadały decyzje o podziale kraju, większość obywateli obu republik związkowych była temu przeciwna. Zarówno Czesi, jak i Słowacy uważali Czechosłowację za swoją autentyczną ojczyznę, mimo wspomnianych już niesnasek. Przy czym za wspólnym państwem bardziej tęsknią Czesi, niż Słowacy. – *Rozpad Czechosłowacji w 1993 roku był następstwem federalizacji kraju, wymuszonym przez Moskwę po inwazji wojsk Układu Warszawskiego. Po upadku komunizmu zaczęto dyskutować nad kwestią ustroju nowego demokratycznego państwa, a w tym nad ułożeniem relacji między Czechami i Słowakami. Niestety, w tym czasie doszły do głosu nacjonalistyczne i ekstremistyczne siły, które w efekcie doprowadziły do rozbitcia państwa. Dziś najczęściej rozpad kraju tłumaczy się tym, że Mečiar chciał wytworzyć własne autorytarne państwo, w którym mógłby bez ograniczeń panować, a Václav Klaus jako ekonomista wykalkulował, że dla Czeskiej Republiki samodzielność będzie bardziej opłacalna – tłumaczy przyczyny rozpadu Milan Minarik, morawski Czech, sławista i założyciel czeskiej organizacji „Wolna Białoruś” (Słobodne Belorusko).*

Z kolei prestiżowy słowacki tygodnik „Tyždeň” w artykule podsumowującym dwudziestolecie słowackiej demokracji, stawia dość ciekawą twierdzenie z polskiej perspektywy tezę. Mianowicie, to nie Słowacja ogłosiła niepodległość od Czech, ale Czechy – od Słowacji. Początkowo Vladimír Mečiar, premier Słowackiej Republiki w ramach Czecho-Słowacji (tak ją zapisywali w latach 1990-92 Słowacy), lub Czechosłowacji (tak zapisywali nazwę państwa Czesi), chciał po prostu wydrzeć od Pragi jak najwięcej korzyści w ramach wspólnego państwa. „Dajcie nam to, dajcie nam tamto, przez wiele dziesięcioleci nas eksploatowaliście, pora więc wykazać się solidarnością i teraz Słowację doinwestować, tak aby osiągnęła ona poziom Czech” – mniej więcej w tych słowach można było streścić przesłanie radykalizującego się Mečiarra. I początkowo Czesi rzeczywiście szli na ustępstwa. Zwłaszcza że na fali wzrastających nastrojów narodowych na Słowacji, Mečiar czuł za sobą siłę i wysuwał coraz to nowe żądania, graniczące z szantażem. „Jeśli nie dacie nam tego i tego, my jesteśmy gotowi



Praga

ogłosić niepodległość i wyjść z Federacji” – coraz bardziej zuchwale głosili słowacki przedstawiciele, traktując to bardziej jako element gry negocjacyjnej, niż realne zamierzenie. Zdaniem „Tyžnia”, w pewnym momencie cierpliwość czeskiej strony się wyczerpała. „Chciecie niepodległości – to ją ogłoście. Jeśli nie, to Republika Czeska jako pierwsza wyjdzie z Federacji i będzie wstyd dla was, że bogate Czechy w ten sposób pozbywają się biednej Słowacji” – miał powiedzieć w rozmowie z Mečiaрем czeski premier Vaclav Klaus.

Efekt był taki, że obie strony doszły do porozumienia. Tak czy inaczej, po wyborach do parlamentu federalnego i parlamentów obu republik związkowych, wspólnie rządzić się nie dało. W Czechach do władzy doszli prozachodni liberałowie na czele z Klausem, na Słowacji – prorosyjscy nacjonaliści o socjalistycznych poglądach gospodarczych na czele z Mečiaрем (tak w dużym uproszczeniu). Efekt kilkumiesięcznych negocjacji:

każdy z nas ma swoje interesy, rozstajemy się i idziemy w swoją stronę. Przy czym czeski politycy naiwnie liczyli, że biedna Słowacja nie poradzi sobie samodzielnie i po pół roku sama poprosi o ponowne odtworzenie Federacji – ale już bez nacjonalisty Mečiarra, który (na co liczyli Czesi) zdąży się w tym czasie skompromitować i oddać władzę prozachodnim demokratom.

Od rozvodu do Unii Europejskiej

Rozpad Czechosłowacji miał być według niektórych polityków taktycznym zagranem, które po kilku miesiącach można odwrócić, powołując do życia np. Konfederację Czech i Słowacji – jak to planował np. słowacki dysydent Jan Czarnogórski. A przerodził się w trwały i nieodwracalny fakt geopolityczny. Wbrew oczekiwaniom Czechów, Mečiar poradził sobie z niepodległością Słowacji. Kraj

był co prawda tak samo demokratyczny, jak Serbia Miloszewicza czy Ukraina Kuczmy, ale gospodarczo radził sobie nie najgorzej. W odróżnieniu od Ukrainy, Białorusi, Rumunii czy Bułgarii, quasi-autorytarna Słowacja nie zanotowała spadku PKB, ale wręcz nie najgorszy wzrost. Budowano autostrady, rozwijała się turystyka, kraj był co prawda izolowany na poziomie politycznym przez Unię Europejską, ale równocześnie otwarty na świat z punktu widzenia zwykłego człowieka. A pamiętać należy, że Słowacja zaczęła w 1993 roku z poziomu lepszego, niż Polska – i nadal PKB na mieszkańca ma lepsze od nas. Słowacka niepodległość stała się więc faktem, kraj nie zbankrutował, chociaż pod rządami Mečiara stawał się coraz mniej demokratyczny i coraz bardziej popadał w międzynarodową izolację.

Przełomem okazały się wybory parlamentarne w 1998 roku. Wskutek maksymalnej mobilizacji opozycji i organizacji pozarządowych, w wyborach zwyciężyli przeciwnicy Mečiara, a premier wbrew początkowym obawom pokojowo oddał władzę. Nowy, proeuropejski i reformatorski rząd Mikulasa Dzurindy opierał się na dość egzotycznej koalicji „od prawa do lewa”, której jedynym spoiwem była niechęć wobec Mečiara. Dzurindę wybrano tylko dlatego, że wydawał się być politykiem słabym i nikomu nie zagrażającym – ot taki premier techniczny, do szybkiego odstrzału. Dzurinda startował z pozycji „pionka w rękach szerokiej koalicji”, a okazał się być sprawnym reformatorem, który przetrwał dwie kadencje i wprowadził kraj do Unii Europejskiej i NATO w 2004 roku. Dopiero później okazało się, że rządy tego „słowackiego Balcerowicza” – to nie tylko reformy i integracja z Europą, ale też niejasne powiązania ze światem wielkiego biznesu, który na wielką skalę korumpował polityków od prawa do lewa, w tym byłego premiera i jego ludzi. Te wszystkie zjawiska korupcyjne ujrzały światło dzienne za sprawą słynnej afery „Gorila” z przełomu 2011 i 12 roku – tym niemniej jasne jest, że bez Dzurindy i jego reform o Słowacji w Unii można byłoby tylko pomarzyć.

Czechy i Słowacja znowu razem

Po zmianie władzy w 1998 roku niedawny autsajder Europy szybko zaczął doganiać swoich sąsia-

dów z Grupy Wyszehradzkiej – również w tempie zaliczania kolejnych rozdziałów w negocjacjach akcesyjnych z UE. Wtedy też zaczęto Słowację nazywać „tygrysem gospodarczym Europy”, kraj przyciągał zagraniczne inwestycje, w tym słynne fabryki samochodów. I stało się: 1 maja 2004 Słowacja dołączyła do Unii Europejskiej razem z Republiką Czeską, od której zaledwie dekadę wcześniej się oddzieliła. Historia zatoczyła koło: naprędce tworzone po 1993 roku czesko-słowackie przejścia graniczne i szlabany na polnych drogach jeszcze nie zdążyły się zestarzeć, a już stały się bezużyteczne. Całkowite „zjednoczenie” nastąpiło trzy lata później, kiedy to oba kraje, a także sąsiednia Polska i Węgry, stały się członkami Strefy Schengen.

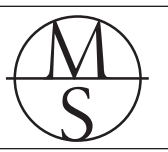
Dziś z punktu widzenia zwykłego obywatela Czech lub Słowacji sytuacja niewiele różni się od tej z roku 1992, kiedy istniało wspólne państwo. Różnica jest tylko taka, że oba kraje rządzą się samodzielnie i nie ma nad nimi władz federalnych. Ale umówmy się: pod koniec istnienia Czechosłowacji (czy też, zgodnie ze słowackim zapisem, Czecho-Słowacji) władze federalne i tak miały mało kompetencji, o większości spraw decydował parlament i rząd obu republik składowych. Dziś natomiast również samodzielność Republiki Czeskiej i Republiki Słowackiej jest ograniczona władzą nadzorną – z tą różnicą, że przepisy i decyzje nie płyną już z Pragi, ale z Brukseli.

Dzięki obecności w UE i Schengen nie tylko nie ma kontroli granicznych podczas podróży z Bratysławy do Brna i na odwrót, ale też każdy obywatel Słowacji może się swobodnie osiedlać, podejmować pracę i studia w Czechach – i vice versa. Przy czym te więzi są silniejsze, niż by to wynikało z samych postanowień unijnych traktatów. Polak również może osiedlić się w Popradzie czy Ostrawie, ale zawsze wiąże się to z jakąś barierą językową i mentalną. Polsko-słowacka czy polsko-czeska granica, mimo zniesienia kontroli, jest nadal odczuwalna – choćby po niewielkiej ilości połączeń autobusowych i kolejowych i wyższej ich cenie w porównaniu z połączeniami krajowymi (bilet kolejowy z Katowic do bliskiej Ostrawy jest droższy, niż do dalekiego Szczecina, chyba że kupimy „prześciówkę”). W przypadku kolei czeskich i słowackich ten problem odpada – podróżując z Czeskiego Cieszyna do słowackiej Żyliny zupeł-

nie nie odczuwamy, że jest to połączenie międzynarodowe: pociągi jeżdżą równie często, jak wewnątrz kraju i kosztują jak krajowe. Słowacy masowo studiują w Pradze i Brnie, a egzaminy wstępne swobodnie zdają w swoim języku – nie muszą się nawet wysilać i mówić łamanym czeskim. Nikogo nie dziwi publiczne wystąpienie czeskiego polityka, urodzonego na Słowacji, w języku słowackim – takich osób jest już coraz mniej, ale się zdarzają. Z kolei słowackie stacje telewizyjne często puszczały czeskie filmy i programy rozrywkowe – i w takich sytuacjach nikomu do głowy nie przychodzi robić słowackiego przekładu. W bratysławskich księgarniach połowę asortymentu stanowią czeskojęzyczne książki, w kioskach obok słowackich są też czeskie tytuły. W drugą stronę to już tak nie działa, ale znalezienie słowackiej książki w księgarni w Brnie czy Pradze również nie jest niczym nadzwyczajnym.

Integrację ułatwia fakt, że oba kraje nie są jednolite językowo i kulturowo. Na Morawach mówi się inną odmianą czeskiego, która bardziej przypomina język słowacki. Z kolei w Bratysławie i okolicach dominuje specyficzna „blavacka” gwara, której charakterystyczną cechą są zapożyczenia z czeskiego. Problemy mogą wystąpić właściwie tylko w przypadku, gdy spotkają się osoby z zachodnich i wschodnich krańców dawnej Czechosłowacji – a więc mówiący specyficznym dialektem mieszkanki Pragi z przybyszem ze słowackich Bieszczadów, używający wschodniosłowackiej gwary. Młodzi prażanie, urodzeni już po 1993 roku, mają trudności z rozumieniem języka słowackiego. Ale na Morawach i Śląsku ten problem nie istnieje. Z punktu widzenia Brna, Bratysława jest tak samo bliska i „swoja”, jak niezbyt lubiana na Morawach Praga.

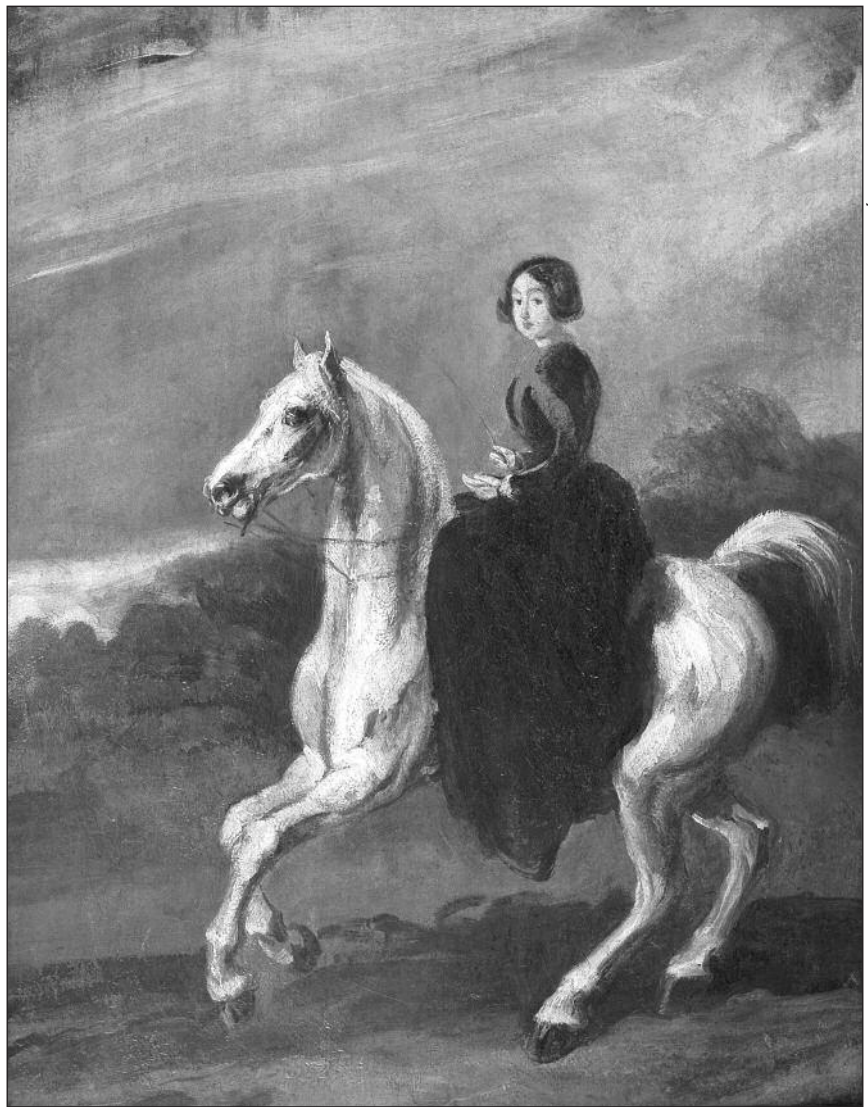
Jednym słowem, Czechosłowacja pełną gębą. Unia Europejska sprawiła, że formalne istnienie wspólnego państwa nie jest już do niczego potrzebne. W 1993 roku takiego scenariusza nie spodziewali się nawet najwięksi optymiści – wszak to tylko Czechy miały raczej zwrócić się w stronę Rosji. Czy wobec tego warto było dzielić państwo? Dziś większość Czechów uważa, że niekoniecznie, natomiast Słowacy są przekonani, że jednak dobrze się stało – widocznie taka była dziejowa konieczność.



Napisano już wszystko. Że romantyk, że wielki jak Mickiewicz i Chopin. Że polskość, powstania, niebывала ekspresja i śmiałe pociągnięcia pędzla.

Mam jednak ciekawe porównanie, chyba dotąd niezauważone i dające ważną perspektywę. Piotr Michałowski – Feliks Topolski. Obaj byli genialnymi rysownikami, mistrzami błyskawicznych szkiców. Obaj z kłębowiska linii wydobywali mocniejszymi, zawsze szybkimi pociągnięciami piórka lub ołówka istotę obserwacji, charakter, ruch, sytuację. Obaj wyczuwali, że w tej szkicowości jest jakaś artystyczna wartość przewyższająca obrazy wystudiowane. Michałowski często obrazów nie wykańczał, zostawiał płaszczyzny podobrazia, albo malował na starych, zostawiając niedbale poprzednie fragmenty. I tak – spod portretu chłopaka wiejskiego wylania się dziewczyna, a poniżej twarzy sterczą końskie uszy. W szkicach piórkiem podobne nalożenia i jeszcze uwagi co trzeba zasiać lub kupić. Co powstaje? Zaskakujący dziennik człowieka czynu: malarza, rolnika, administratora, filantropa, inżyniera, ojca, polityka, rozjemcy i miłośnika Napoleona. A co robił Topolski? Rysunkową i malarzką kronikę czasu. Był wszędzie tam, gdzie działo się coś ważnego, wędrował z armią Andersa i uwieczniał, bo wiedział, że w tych szkicach będzie epopeja. A przy tym nic z zadęcia i powagi. Topolski i Michałowski ze swojego rozumienia patriotyzmu wyrugowali całkowicie polską zaściankowość.

W MŚ mamy cztery prace Michałowskiego: **Błękitni Huzarzy** (około 1837) z rytmem wyprostowanych niebieskich sylwetek i syntezą ruchu końskiego. Wyteżona praca mięśni. Sposób malowania – smugi, śmiałość – jakby mięśnie widziane w przekroju. **Amazonka** (1853 – 1855) jak z van Dycka, tylko malowana sto razy szybciej. Tym obrazem rządzi wertykalizm, wszystko jest smukłe – arab, pęciny jak u dziewczyny, a w siodle dziewczyna delikatna, smukła. Jest to Celina, córka artysty, najpierw malarka, później zakonnica. Ona to napisała pierwszą monografię artysty. Wzruszające jest to, że nie dała na okładce swojego nazwiska, nie dała nazwiska w ogóle, jakby chcąc oddać całą cześć i podziw ojcu. **Błękitny chłopiec** (1853 – 1855) to jeden z synów artysty. Warto podejść i zobaczyć przednie nogi konia, gdzie szybkie pociągnięcia pędzla robią iluzję ruchu. Michałowski operował ograniczoną gamą brązów, zgaszonych błękitów i zieleni, wszystko kapitalnie harmonizując w tym wąskim zakresie. Tło jest najczęściej abstrakcyjnie rozmalowane w plamy, które równie dobrze mogą być ścianą drzew, wzburzoną falą jak i chmurami. Właściwie nie interesuje go to i nas nie powinno interesować, bo chodzi tu o rozwiązania malarskie. W słynnej „Samosierze” – zygżaku, z którego wylaniają się skłębione ciała ludzi i koni, która jest absolutną i ostateczną syntezą ruchu, jest dalekie światło apokalipsy nad wąwozem, tak jakby otworzyły się jakieś otchłanie i Hieronimus Bosch ruszył w malarskie tany z Williamem Turnerem.



„Amazonka”, ok. 1853-1855, olej na płótnie, 63 x 49,3 cm

Jest także w Muzeum Śląskim skromna, ale świetna akwarela – **Stajenni z końmi i psem** (1845 – 1855). To jest właśnie takie szkicowe jak u Topolskiego. Nalożenia i plątanina. Atmosfera intensywnego działania, pulsującego życia jak na targu.

Dlaczego Michałowski tak bardzo różni się od innych XIX-wiecznych polskich malarzy? Bo malował lekko i jakby od niechcenia. Tak! Podkowiński zbyt długo się zastanawiał, zbyt się zmagał z materią, aż wreszcie musiał pociąć obraz, który mimo przedstawionego „szalu” był zbyt wyspekulowany. A Michałowski maluje wieczorem, po obowiązkach, przy herbacie, bez wysiłku i bez planu. Być może same motywy decydujące o tym, dlaczego się jest artystą odgrywają największe znaczenie? Michałowski był malarzem obok stu innych zajęć (co nie znaczy, że nie poświęcał się tej dziedzinie w całości). A Władysław Podkowiński, Aleksander Gierzyński byli artystami bez wyjścia, zamkniętymi w pułapce sztuki przez duże „S”. Tak bardzo chcieli być wielcy, że doprowadziło

to ich do oblędu, albo do przedwczesnej śmierci. I dobrze, że Michałowski działał pół wieku wcześniej, kiedy konieczność bycia „artystą totalnym” nie mogła go jeszcze dopaść, i po prostu szkicował. Działał wprawdzie pół wieku wcześniej, ale myślowo wyprzedzał innych. Romantyk Michałowski był w gruncie rzeczy pozytywistą: rysunki przepłatały się z uwagami o zasiewach. I rozumował, że jak się nie da zbrojnie, to trzeba powolutku budować państwowość, będąc mądrym urzędnikiem. Podejmować decyzje, zakładać sierociniec z własnej pensji i sobie na boczku szkicować dla rozluźnienia ręki. Co nie przeszkadzało mu żywić kultu dla Napoleona i Samosierry.

Michałowski – swobodny Europejczyk, jakich niewiele w polskiej sztuce.

Z listu do przyjaciela: „Z tych krów, które sprowadzono dla P., nie zapomnij zatrzymać 3 lub 4 dla mnie, tak ze względu na malarstwo, jak i dla ulepszenia rasy krajowej.”

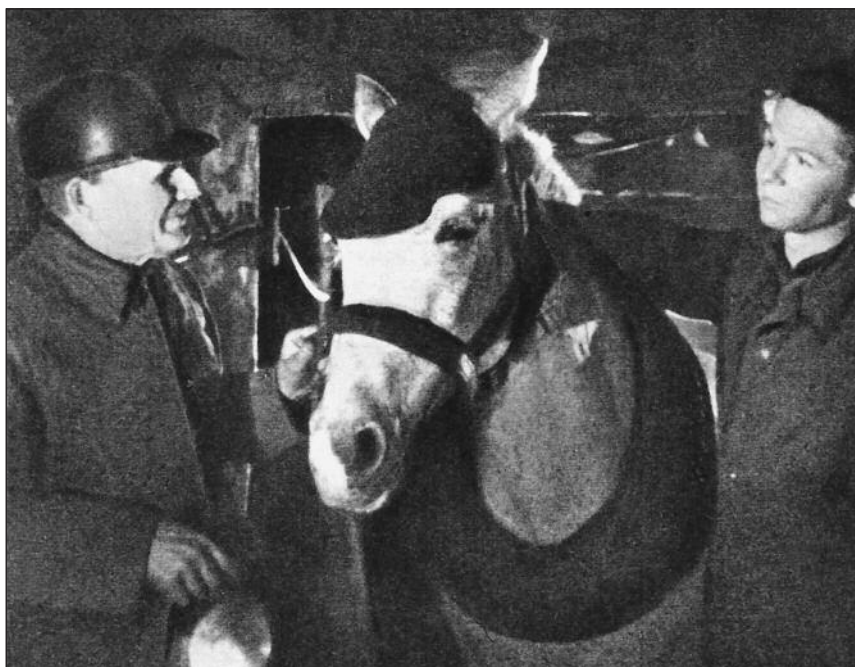
WOJCIECH GRABOWSKI

Już tytuły mówiły wiele: fabularne „Stalowe serca” i fabularyzowane „Gwiazdy muszą płonąć”. A dokumentalne: „Brygada zaczyna szturm”, „Naprzód, młodzieży górnicza”... brzmiały militarnie. Niemal padały w nich komendy: *Macie kopać węgiel i siedzieć cicho!*

Gwiazdy muszą płonąć

JAN F. LEWANDOWSKI

Dwa totalitaryzmy kina śląskiego



W filmie „Gwiazdy muszą płonąć” chodziło o gwiazdy na wieżach kopalnianych zapalane po wykonaniu planu wydobywania.

Filmy o Górnym Śląsku z lat czterdziestych i pięćdziesiątych XX wieku to filmy propagandowe, wyrażające totalitarne myślenie o regionie. Tytułowe „gwiazdy, które muszą płonąć” z filmu Munka i Lesiewicza to gwiazdy na wieżach kopalnianych zapalane po wykonaniu rocznego planu wydobywania. Właśnie o to chodziło w tym filmie z 1953 roku.

Do tego te filmy traktowały Górny Śląsk i Górnoszlązaków zazwyczaj z protekcyjną wyższością. Znamienne są „Stalowe serca” Stanisława Urbanowicza z 1948 roku (według scenariusza Gustawa Morcinka, który później odzeczył się od filmu), gdzie przedstawiono Górnoszlązaków jako poczciwych górników i hutników, którzy uczestniczą w ruchu

oporu podczas II wojny światowej, lecz za przywódcę mają działacza komunistycznego z Warszawy.

Podobną wizję regionu powiełały migawki śląskie w Polskiej Kronice Filmowej, która przed epoką telewizji miała największe możliwości kształtowania jego obrazu wśród masowej widowni. Jak zapisał Marek Kosma Cieśliński, który obejrzał setki wydań Polskiej Kroniki Filmowej, Górny Śląsk pokazywano głównie optymistycznie: „z okazji świąt państwowych, święta górniczego czy chociażby uruchamiania nowych zakładów pracy”. Jak policzył Cieśliński, budowa huty „Katowice” pojawiła się w ponad 30 wydaniach Polskiej Kroniki Filmowej!

Jeśli filmy fabularne z okresu PRL opowiadały o Górnym Śląsku, to przeważnie w formie dramatu historycznego i społecznego, a często łączyły oba motywy. Ale jeśli powracały do przeszłości, to najchętniej do czasu II wojny światowej i najdalej do okresu powstańczego. Nie zdarzyło się ani razu, by sięgnęły do historii dziewiętnastowiecznej, gdy wyrastała potęga Górnego Śląska jako okręgu przemysłowego o europejskim i światowym znaczeniu.

Znacznie chętniej filmy z okresu PRL starały się legitymizować rządy komunistyczne, nawiązując do konspiracji wojennej komunistycznej („Stalowe serca” z 1947 roku). Dobrym przykładem jest film Juliana Dziedziny „Umarli rzucają cień” według powieści Andrzeja Wydrzyńskiego (z 1978 roku). Akcja eksponowała sekretarza Edwarda, którego pierwowzorem był Edward Żabiński, ojciec Andrzeja Żabińskiego, ówczesnego I sekretarza KW PZPR w Opolu. Z lokalnego działacza komunistycznego film kreował postać charyzmatyczną, wpisując się ponadto w aktualne konstelacje polityczne (z lat siedemdziesiątych XX wieku), co zapewniało mu polityczną promocję.

Dopiero z czasem, już w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, filmy śląskie zaczęły prezentować większe różnicowanie. Pojawiają się nawiązania do powstań śląskich, jak w „Rodzinie Milcarków” Józefa Wyszomirskiego i w filmie „Pięciu” Pawła Komorowskiego, a także pierwsze sygnały powikłań narodowościowych regionu, chociaż rozwiązywane wtedy konwencjonalnie. Najlepiej broni się jeszcze film „Pięciu” Pawła Komorowskiego z 1964 roku, sygnalizujący w miarę obiektywnie problem Górnoszlązaków wcielonych do Wehrmachtu.

Dawniejsze filmy śląskie, niezależnie od podejmowanej tematyki, same miały totalitarną formułę myślenia o Górnym Śląsku. Przenosiły totalitarne myślenie o regionie w stronę potencjalnego widza. Jednak filmy wymyślane w Warszawie nie potrafiły opowiadać o realnym Górnym Śląsku. Już to, że plebejscy bohaterowie posługiwali się nieraz literacką polszczyzną było dla widza górnoszląskiego nie do przyjęcia.

Z kolei w filmach o tematyce współczesnej panowała konwencja produkcyjniaka, dominująca przez wiele dziesięcioleci, a w filmach telewizyjnych aż do lat osiemdziesiątych XX wieku, czyli do kresu systemu komunistycznego. Dziełem charakterystycznym dla tamtej perswazji można określić film Jana Rybkowskiego „Autobus odjeżdża 6.20” z 1954 roku. Jego zamierzeniem była prezentacja awansu społecznego ko-

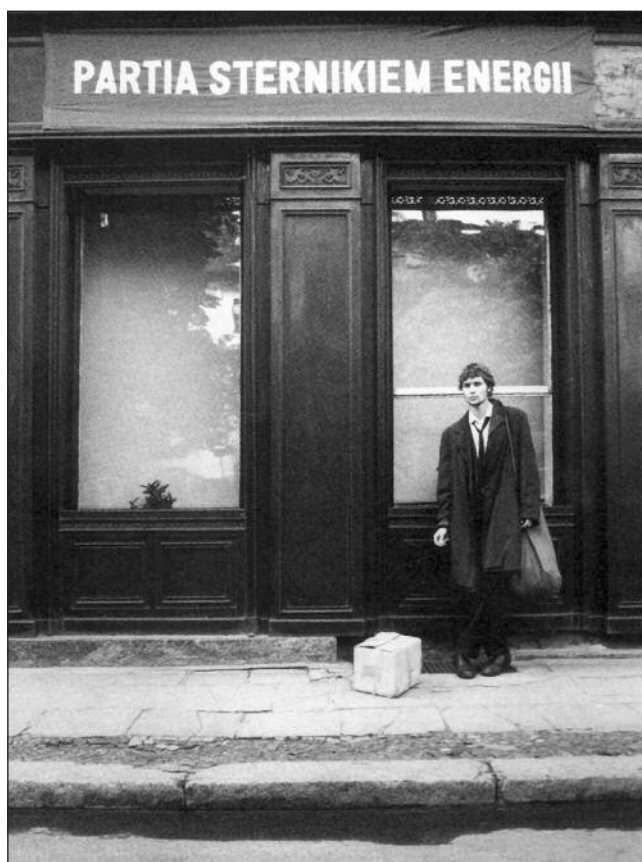
biet w Polsce komunistycznej. To historia młodej fryzjerki z Polski centralnej, która odchodzi od lekceważącego ją męża i wyjeżdża na Góry Śląsk, by zostać przodownicą pracy w górnośląskiej hucie. Z jej perspektywy to kraina awansu, oczywiście z poręki organizatora społecznej przemiany, czyli partii komunistycznej.

Taki model widzenia Górnego Śląska i sąsiedniego Zagłębia Dąbrowskiego powiełały filmy kinowe, a później telewizyjne, by wspomnieć serial telewizyjny „Ślad na ziemi” w reżyserii Zbigniewa Chmielewskiego o budowie huty „Katowice” z lat siedemdziesiątych XX wieku (rozegrany akurat w Zagłębiu Dąbrowskim). Po latach Stefan Szlachtycz w telewizyjnym filmie „Kto da więcej co ja” o przodowniku pracy Wincentym Pstrowskim próbował powiedzieć nieco więcej prawdy o jego losie (w filmie z 1977 roku). Próbę komediowego potraktowania produkcyjnika można było zauważyć w „Pejzażu horyzontalnym” Janusza Kidawy z 1978 roku (także o hucie „Katowice”).

Paciorki jednego różańca

W oglądaniu Górnego Śląska jako krainy przemysłu i awansu, jednocześnie zaplecza komunistycznej władzy, nie sposób było szukać autentycznej śląskości. Te filmy były z niej wypreparowane. Zmianę przyniosły dopiero filmy Kazimierza Kutza z przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku: „Sól ziemi czarnej” i „Perła w koronie”, które jako pierwsze miały inną perspektywę widzenia, perspektywę wewnętrzną – górnośląską. Mimo zgodności z oficjalną polityką historyczną (powstania śląskie), przynosiły zupełnie nowe akcenty. Zasługą Kutza było wprowadzenie na polskie ekrany fenomenu kulturowego Górnego Śląska z jego obyczajowością, te filmy były manifestacją jego odrębności. Już przez to zmieniały totalitarne widzenie górnośląskiej prowincji.

Najbardziej znaczącą manifestacją postawy antytotalitarnej przyniosły dopiero „Paciorki jednego różańca” Kutza z 1979 roku. Bohater filmu, emerytowany górnik Karol Habryka, buntuje się heroicznie przeciwko władzy, gdy chcą mu zabrać domek na Giszowcu, w którym mieszkał od dzieciństwa. Film opowiadał się za racjami sta-



Dzieło Majewskiego o Wojaczku było także kreacją świata skłaniającego do buntu.

rego Habryki, który protestuje przeciwko niszczeniu tradycji. Kończył się pogrzebem Habryki z udziałem górniczej orkiestry, a pogrzebowy korowód przemieniał się w symboliczny pogrzeb dawnego Górnego Śląska, który odchodzi do przeszłości.

Dzisiaj można nazwać „Paciorki jednego różańca” filmem granicznym, skoro Kutz pokazał górnośląskiego bohatera plebejskiego w konflikcie z totalitarną, chociaż mniej już opresyjną władzą. Dlatego „Paciorki jednego różańca” pozostają najważniejszym filmem o górnośląskim doświadczeniu totalitaryzmu, widzianym z perspektywy zbuntowanego niejako wbrew swej woli plebejusza. Po „Paciorkach” trudno było o wiarygodną afirmację systemu, co przedtem stanowiło istotę kina śląskiego.

Dlatego nieliczne filmy śląskie z lat osiemdziesiątych, przynajmniej kinowe, stawały się wobec systemu coraz bardziej krytyczne. W „Trzech stopach nad ziemią” Jana Kidawy-Błońskiego z 1984 roku realia dekady Gierka pokazano w krzywym zwierciadle, a groteska uderzała w pompatyczną wizję regionu z komunistycznej propagandy. Z kolei telewizyjna „Tramwajada” Bolesława Pawicy (już z 1989 roku) miała tonację zdecydowanie wolnościową, chociaż opowiadała tylko o dzieciach, które w noc sylwestrową porwały tramwaj, by pojeździć nim po śląskich miastach.

Tak filmy śląskie pozbywały się totalitarnej mowy, podobnie jak to dokonało się w kinematografii polskiej z nadejściem tzw. kina moralnego niepokoju. Już w czasach PRL kino śląskie przeszło drogę od afirmacji systemu do krytyki.

Trzy stopy nad ziemią

Nowe spojrzenia retrospektywne na lata komunizmu po jego upadku to kolejne dwa filmy Kutza („Śmierć jak kromka chleba” i „Zawrócony”), a także dwa filmy Lecha Majewskiego („Wojacek” i „Angelus”). Dla Kutza walka górników z totalną władzą miała podłoże moralne i buntownicze. Jego „Śmierć jak kromka chleba” przekazywała romantyczną sugestię mesjanistyczną, że krew przelana na „Wujku” stała się posiewem wolności. Natomiast Majewski opowiadał o zbuntowanych artystach, którzy nie mieścili się w totalitarnej rzeczywistości, co na gruncie kina śląskiego było totalną nowością.

Dzieło Majewskiego o poecie Wojaczku z Mikołowa było nie tylko dramatem niepokornego artysty, lecz i kreacją świata skłaniającego do buntu. Filmem o umieraniu, zanurzonym w realiach peerelowskiej prowincji z przełomu Gomułki i Gierka. Do tego ascetyczne zdjęcia operatora Adama Sikory podkreślały brzydotę świata, w jakim przyszło żyć poecie. Zasadnicze partie późniejszego „Angelusa” rozgrywały się w latach stalinowskich, gdy dla grupy artystów o rodowodzie plebejskim, ale ze skłonnościami do okultyzmu, stało się oczywiste, że wypełnia się proroctwo o rządach bestii i nadejście zagłada z Saturna. Oba filmy Majewskiego przynosiły pochwałę poszukiwania wolności i wolnej sfery duchowości.

Podobna optyka krytycznego spojrzenia z perspektywy zbuntowanego artysty znalazła jeszcze jeden wyraz w „Skazanym na bluesa” Jana Kidawy-Błońskiego z 2005 roku, opowiadającym biografie legendarnego wokalisty Dżemu Ryszarda Riedla, także zanurzoną w górnośląskich realiach społecznych PRL, chociaż poszukującą dla tragedii bohatera klucza psychoanalitycznego.

Zaledwie kilka filmów fabularnych powracało do Górnego Śląska w epoce komunizmu po jego upadku. Należy wspomnieć niezbyt udaną, chociaż ambitną próbę ogarnięcia całości górnośląskiego (ale i pol-

skiego) doświadczenia totalitarnego w „Pamiętniku znalezionym w garbie” Jana Kidawy-Błońskiego z 1992 roku. Jego zamierzeniem było opowiedzenie o ludziach zdeterminowanych przez historię XX stulecia, lecz w nazbyt powikłanej konstrukcji fabularnej zagubiła się prawda górnośląskiego losu. Nie potrafił jej wyrazić frapujący Bogusław Linda w górniczym mundurze.

Do góry nogami

Z kolei motywy nazistowskie pojawiały się wprawdzie w wielu polskich filmach z akcją na Górnym Śląsku w latach II wojny światowej, lecz niemal zawsze marginalnie. W filmach wojennych Niemcy są po prostu wrogiem, z którym się walczy, jak przykładowo w „Stalowych sercach” Urbanowicza, „Pięciu” i „Ptaki ptakom” Komorowskiego. Albo w filmie „Do góry nogami” Stanisława Jędryki (z 1982 roku) opowiadającym o tym, jak dla chłopców w Wielkich Hajdukach świat stanął naprawdę do góry nogami z chwilą wejścia Wehrmachtu. Nie znajdziemy w tych filmach refleksji o nazizmie.

Z czasem, od lat sześćdziesiątych XX wieku, w nielicznych filmach pojawiają się akcenty specyficznie górnośląskie związane z okresem II wojny światowej: kwestia Górnoszlązaków w Wehrmachcie (w filmie „Pięciu” Komorowskiego), sprawa volkslisty (w filmie „Na straży swej stać będę” Kutza z 1983 roku) i w ogóle pograniczności narodowościowej Górnego Śląska (w filmie „Sławna jak Sarajewo” Janusza Kidawy).

Przy nieraz silnie eksponowanej symbolice nazistowskiej, jak we wspomnianym filmie Kutza (Katowice w okresie okupacji niemieckiej), nazizm jest w filmach śląskich przeważnie czymś zewnętrznym. Jeszcze jedną plagą dla społeczności górnośląskiej, czymś, co przychodzi z zewnątrz. Nie podlega refleksji historycznej, socjologicznej czy filozoficznej. Jedynie w „Magnacie” Filipa Bajona o dziejach górnośląskiego rodu arystokratycznego pojawia się motyw uwiedzenia nazizmem. Najwięcej jednak interesowała Bajona uniwersalna ironia historii.

Znamienna jest nieudana komedia Janusza Kidawy „Sławna jak Sarajewo”, oparta na świetnej powieści Leona Bielasa, zrealizowana w 1987 roku. Dla mieszkańców osady Konewka, którzy nie za bardzo wiedzą, czy chcą być Niemcami czy Polakami, a najpewniej czują się Górnoszlązakami, nazizm jest pozorem, do którego trzeba się chwilowo przystosować. Nie traktują go poważnie, widząc w nim raczej maskaradę, a film opowiada o ich

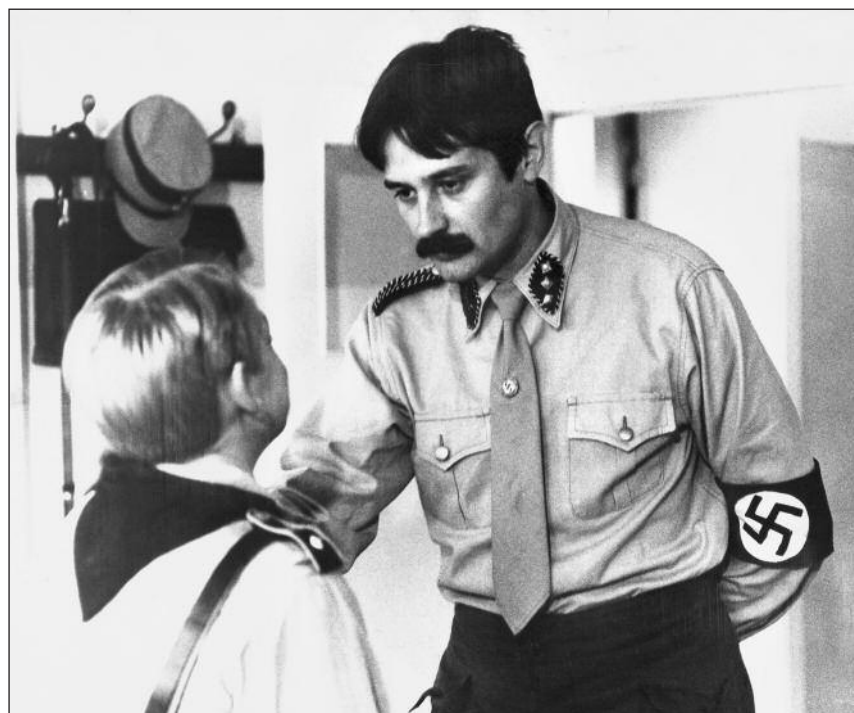


Najbardziej znaczącą manifestację postawy antytotalitarnej przyniosły dopiero „Paciorki jednego różańca” Kutza z 1979 roku.

doświadczeniu z nazizmem w konwencji ironicznej.

Można powiedzieć generalnie, że aczkolwiek filmy śląskie nie pomijały nazizmu, widząc w nim fragment górnośląskiego doświadczenia, czy to groźnego, czy to oswojoną maskaradę, to nie podjęły poważniejszej próby analizy nazizmu jako doświadczenia totalitarnego. Najchętniej podkreślały nieco wymijająco, że nazizm nie przystaje do górnośląskiej mentalności.

Nie nakreślono jeszcze przejmującego dramatu zderzenia górnośląskiej społeczności z doświadczeniem totalitarnym XX wieku, dokonującego jego uogólnienia z perspektywy czasu. Nie jest to zadaniem łatwym, skoro potrzeba tu zapewne kina epickiego. Możliwe, że kino śląskie tego zadania dopiero się podejmie. Potrzeba tylko nowego artysty na miarę Kazimierza Kutza.



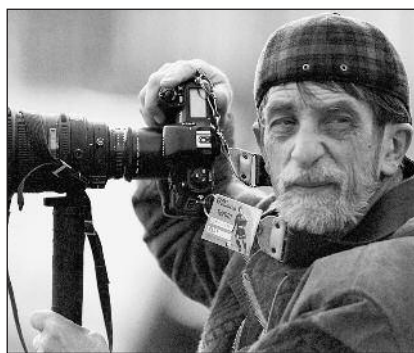
W „Sławnej jak Sarajewo” nazizm jest pozorem, do którego trzeba się chwilowo przystosować.

Cyba był wszędzie – zawsze we właściwym momencie i wszystko widział. Profesjonalista w każdym calu. W redakcji „Śląska” był zaledwie kilka razy, ale jego fotografie wielokrotnie były znaczącym komentarzem do tekstów historycznych czy politycznych.

Jego przyjaciele: fotoreporterzy i dziennikarze tak go wspominali: „O sobie nie lubi opowiadać, a już o fotografii – w ogóle. Proszę napisać tylko „urodził się i jeszcze dycha” – mówił z właściwymi sobie dystansem i ironią. Opowiadał jak w 1987 r. całą noc (oczywiście nielegalnie) koczował na plebanii, by przez okno zrobić zdjęcia papieża Jana Pawła II odwiedzającego grób księdza Popieluszki. Jak fotografował mszę na Muchowcu w czasie pielgrzymki papieża w 1983 r. na zlecenie kurii (bo z pracy go zwolniono, nie przeszedł weryfikacji w 1982 r.). Obserwował budowę Huty Katowice, dokumentował pracę górników, ale i pielgrzymki do Piekar Śląskich. Fotografował wizytę Charlesa de Gaulle'a, partyjne zjazdy, strajki (np. w Jastrzębiu-Zdroju w 1980 r.). W czasie pogrzebu Zbigniewa Cybulskiego w Katowicach tłum tak napierał, że razem z dwoma innymi fotografami wpadł do świeżo wykopanego grobu. Dokumentował Barbórki, pochody pierwszomajowe, pociągi z małymi fiatami wyjeżdżające z Tychów, kolejki po cukier. Później – np. Antoniego Macierewicza wkraczającego ze słynnymi teczkami do Sejmu.

W 2013 roku został laureatem nagrody Wielki Splendor Śląskiej Fotografii Prasowej przyznawanej zasłużonym twórcom. Jak wówczas powiedziano, otrzymał ją człowiek, na oczach którego rozgrywała się wielka historia.

Zawód fotografa zdobył w liceum fotograficznym w Katowicach – Piotrowicach. W 1966 r. rozpoczął pracę fotoreportera



Fot. Arkadiusz Lanyrwianiec

WŁADYSŁAW „OTEK” MORAWSKI (1943 – 2014)

w „Dzienniku Zachodnim”, a następnie w 1972 r., związał się z „Trybuną Robotniczą”, skąd został usunięty w 1982 r. Później w latach 1990-2004 pracował dla „Trybuny Śląskiej”, a w latach 2004-2008 ponownie dla „Dziennika Zachodniego”. W 2008 r., przeszedł na emeryturę. Był członkiem SDP i postacią znaną w środowisku.

W rozmowie z Arkadiuszem Gołą, jak on – fotoreporterem „Dziennika Zachodniego” – tak mówił o sobie: „W ostatniej klasie ogólniaka przenieśliem się do liceum fotograficznego w Piotrowicach, gdzie zdobyłem zawód fotografa. Ale podjąłem pracę w zakładach chemicznych, byłem pracownikiem fizycznym. Swoje pierwsze zdjęcie opublikowałem w „Gwarku Tarnogórskim” jak miałem 22 lata. To było zdjęcie Daniela Olbrychskiego, wtedy dobrze zapowiadającego się aktora. Interesowałem się filmem, fotografią, zdawałem do szkoły filmowej trzy razy, niestety nie dostałem się. Najbardziej interesowała

mnie fotografia dokumentalna. Wzorcem dla mnie był tygodnik „Świat”.

A czym było dla niego fotografowanie?

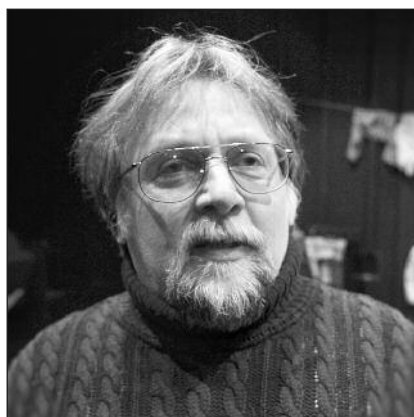
Na pytanie Arka Goli odpowiedział tak: „Fotografowanie to dla mnie proces przetwarzania swojego spojrzenia, myśli i sposobu opowiadania na papier. Gdybym się urodził jeszcze raz, to patrzyłbym podobnie. W 1966 roku zacząłem pracę w „Dzienniku Zachodnim”. W 1972 przeszedłem z „Dziennika” do „Trybuny Robotniczej”. Po wybuchu stanu wojennego wyrzucono mnie z pracy. Zawsze interesowały mnie tematy, z których mogłem wydobyć coś więcej niż tylko mechaniczną rejestrację wydarzenia, jakaś metafora, drugie dno. Dlatego też w 1966 roku przygotowując się do egzaminów do Łódzkiej Szkoły Filmowej pojechałem na Jasną Górę, żeby sfotografować święto 3 Maja. W latach 60., 70. nikt nikomu nie zabraniał chodzenia, szukania, poznawania. Inaczej jednak jest, jak z fotografii się żyje, a inaczej jak fotografię się uprawia. W pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że mam rzadką okazję, jako fotoreporter prasowy, obserwowania władzy „od środka”, jak ten cały system funkcjonuje. Wyniosłem z domu pewien nawyk rozumienia historii – że trzeba ją czytać między wierszami.

Zawsze interesował mnie kontekst niby banalnych fotografii. Kiedyś zrobiłem niby zupełnie przypadkowe zdjęcie przechodniów na ulicy. Po prostu tłum ludzi. Nazajutrz wybuchł stan wojenny. Ta zwyczajna fotografia, spokojnie twarze ludzi w przeddzień wybuchu wojny domowej mają dla mnie do dziś wyjątkowe znaczenie. W moich zdjęciach nie ma żadnej estetyki, ale nie uważam tego za wadę. Dla mnie na pierwszym miejscu stoi treść. Historyczna i dokumentalna wartość zdjęcia pozycjonuje w moim przekonaniu wartość danej fotografii. (...).

WIESŁAWA KONOPELSKA

Ponad 30 lat spędził na śląskich scenach. Po ukończeniu szkoły teatralnej zadebiutował w Teatrze „Bagatela” w Krakowie, skąd przeniósł się na dwa sezony do Teatru im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie. Kolejnym i jak się okazało, ostatnim przystankiem był Śląsk, gdzie występował na scenach Teatru Nowego w Zabrze i przez trzy dekady – Teatru Śląskiego im. S. Wyspiańskiego. Niezależnie, czy wcielał się w role komiczne, czy tragiczne zawsze stworzone przez niego postaci były wyraziste i z najwyższą precyzją dopracowane. W 1991 r. za kreację Tulliusza w „Marmurze” Josifa Brodskiego, w reż. Bogdana Toszy został nagrodzony Złotą Maską, kilka lat później, w 1995 roku, powtórzył sukces, na który tym razem złożyły się trzy role: *Grzegorz* w „Nie uchodzi, nie uchodzi, czyli Damy i huzary” Aleksandra Fredry w reż. Macieja Wojtyłki, *Króla* w „Bambuko” Macieja Wojtyłki w reż. Tadeusza Wiśniewskiego i *Lopachina* w „Wiśniowym sadzie” Antoniego Czechowa w reż. Bogdana Toszy.

Pozostały zdjęcia ze spektakli, pozostały także taśmy filmowe, wszak Wiesław Kańtoch zagrał w wielu filmach, m.in. w gigantach Kazimierza Kutza: „Śmierć



Fot. Krzysztof Lisiek

WIESŁAW KAŃTOCH (1954 – 2014)

jak kromka chleba” (1994) czy w „Na straży swej stać będę” (1984). Jednym z ostatnich filmów pana Wiesława był „Benek” Roberta Glińskiego (2007). Można go było zobaczyć także w serialach („Trzecia granica”, „6 milionów sekund”, „Zdaniem obrony”). Miłośnicy teatru zapamiętają go zapewne z ostatnich znakomych wcieleń, czy to z „Manekina czy-

li Kochanka Hitlera” Stanisława Dejczer, gdzie bawił w groteskowych rolach *Jojo* i *Hitlera-wodza* (2006), czy z „Gąski” Nikołaja Kolady (2006), w której jego *Juliusz, szef artystyczny* nie tylko śmieszył, ale jak pisał Witold Kociński był: *znakomity, Czechowowski (piękna scena przywołująca pamięć „Wiśniowego sadu”), zabawny*. W nostalgicznym obrazach-dramatach Jacka Rykały: „Dom przeznaczony do wyburzenia” (2005) i „Mleczarnia” (2007) stworzył postaci burzliwe, ale ciepłe i niezwykle wiarygodne. *O Andrzejku* z „Mleczarni” tak pisała Henryka Wach-Malicka: *to tyleż kabotyn, co człowiek zwyczajnie przez swoją wieczną niedojrzałość pogruchotany. (...) Matwarz dziecka i odruchy dziecka, zwątpieniem obdarowałby jednak kilku zgorzkniałych starców. Świetna rola!*

W mojej pamięci pozostanie jednak rola *Micka Dowda* w „Czaszce z Conne-mary” Martina McDonagha. Niezwykłe ponura postać, ale dzięki Wiesławowi Kańtochowi – nie poddająca się łatwym osądom, do bólu tragiczna, bezwzględnie szorstka z głęboko skrywanymi namietnościami i jeszcze głębiej zakamuflowanym liryzmem...

MARIA SZTUKA

Cykliści w Katowicach

Wojciech Mszyca zgromadził kilkadziesiąt zabytkowych rowerów. Jest wśród nich prawdziwy rarytas – stulatek z 1914 roku. Wszystkie potrzebowały uzdrowiciela. Choć wcześniej był dziennikarzem, przemienił się w mistrza imadła i śrubokręta. Jak Pigmalion w marmurową bryłę, w zdezelowane welocypedy tchnął iskrę życia przywracając im dawną urodę i sprawność. Ściga się na nich i paraduje podczas największych cyklistycznych gali Europy. Z jego eksponatami fotografują się politycy, artyści i mistrzowie sportu. Jest właścicielem unikalnych zbiorów – kustoszem pierwszego w Katowicach Muzeum Techniki. Dla mnie, jego lamus stał się pretekstem do wyszperania ciekawostek związanych z legendą cyklizmu kajzerowskich i międzywojennych Katowic.



Wojciech Mszyca w podróży na polskim Ebeco z 1925 roku.

Modny pojazd fin de siècle'u

HENRYK SZCZEPAŃSKI

Pierwsi cykliści budzili postrach. Gdy na ogromnym kole zwanym welocypedem pojawiali się w odleglejszych zakątkach doliny Rawy lub Brynicy, przerażeni Ślązacy żegnali się znakiem krzyża. Tajemnicze zjawy obrzucali kamieniami bądź szczuli psem spuszczołym z uwięzi. Podobnie reagowali mieszkańcy okolic Krakowa, Wrocławia i Warszawy. Przejazdki pociągały mężczyzn z zdrowych nerwach, gustujących w perypetiach z dreszczykiem. Na wy-

posażeniu pojazdu mieli metalową szpicrutę nazywaną „prezerwatywą od psów” lub rewolwer z krótką lufą o wdzięcznej nazwie – buldog. Na krąwędzi stuleci ich groźny rysz tunek i szybkobieżne maszyny stanowiły zapowiedź „rychłego końca świata”. Nic więc dziwnego, że gdy Niemcom przyszło oplakiwać klęskę wilhelmińskiego imperium, cyklistów pospołu z Żydami wpisali do anegdoty – jako winnych katastrofy II Rzeszy.

Dwukołowy szlagier XIX wieku

W Katowicach pierwszym właścicielem bicykla był Robert Ollendorf mieszkający w neoklasycystycznej willi naprzeciw dworca kolejowego, tam gdzie dzisiaj znajduje się hotel „Monopol”. W Zawodziu miał fabrykę wyrobów metalowych. Wehikuł zmontował około 1868 roku. Szczegółów konstrukcji nie znamy. Możemy przypuszczać, że był podobny do najstarszych jednośladowych dwukołowców używanych wtedy we Francji. Pomykał dzięki pedałom napędzającym oś przedniego drewnianego koła, ponad którym znajdowało się siodełko cyklisty. Średnica jego metalowej obręczy sięgała prawie dwóch metrów i była kilkakrotnie większa od średnicy tylnego, wspierającego kółka. Aby przypomnieć, że jest to pojazd niebezpieczny, na którym za brawurę płaci się połamaniem rąk, nóg bądź kręgosłupa, nazywano go kościotłukiem. W Katowicach, Warszawie, Lwowie i Krakowie taka rozrywka nosiła nazwę – jazdy na kole albo „na cyklu”; pedałujących nazywano „kołownikami” bądź „cyklistami”.

Kolebką cyklizmu w Niemczech był Frankfurt nad Menem, gdzie Henryk Kleyer, w połowie lat 80. tamtego stulecia otworzył pierwszą fabrykę rowerów, pierwszy welodrom i pierwszą szkołę jazdy. To on był producentem „Adlera”, wizytówki niemieckiego przemysłu rowerowego. Jeden z tych białych kruków, budzący podziw europejskich retrocyklistów i kilkakrotnie przez nich nagradzany, jest ozdobą kolekcji Wojciecha Mszyca.

Wśród katowiczian, pierwsze egzemplarze unowocześnionego wehikułu pojawiły się na początku ostatniej dekady XIX stulecia. Były jednym z hitów fin de siècle'u. Cieszyły tych, którzy wyżej sobie cenili kontakt z naturą niż szelmowskie „zrywanie boków” w kabaretach, melancholie w zadymionych kawiarniach bądź nobliwie odsiadki na koncertach odeonowych. Cykliści woleli relaks w ruchu. Wozili się po niezbyt długich odcinkach zabrukowanych jezdni śródmieścia, wiejskimi traktami albo ścieżkami podmiejskiego lasu na zboczach Kamionki Katowskiej, później nazywanej wzgórzem Beaty.

Skrzydlaty Pegaz na kołach

Pojazd produkowany przez brytyjską firmę „Rover company z Coventry”, nazywano z angielska bicykle, z niemiecka fahrrad bądź niederrad, z francuska: welocyped, a na Śląsku i w Polsce koło lub rower. Ta ostatnia upowszechniła się nad Wisłą, Odrą i Bugiem. Tylko Polacy nazwali go rowerem, i nie po to aby upowszechnić markę firmy, ale głównie ze względu na semantyczne konotacje angielskiego określenia. Rover w języku Brytyjczyków znaczy „obieżyświat” i tą jego bardziej romantyczną funkcję do-

strzegli mieszkańcy Królestwa Kongresowego. Przypadł im do gustu jako „skrzydlaty Pegaz na kołach”, przemyskający ponad kordonami trzech zaborców. Szybkobieżność urządzenia eksponuje również francuskie „velocipede”, co w swobodnym tłumaczeniu oznacza „prędką nogę”.

Narodziny cyklizmu na Śląsku

Zrazu pedalowanie było rozrywką elitarną uprawianą przez młodych, zamężnych mężczyzn. Do jego entuzjastów należał Fritz Siwinna, katowicki wydawca i redaktor popularnej „Kattowitzer Zeitung” („Gazety Katowickiej”). To on jako pierwszy w mieście nad Rawą jeździł na rowerze z ogumionymi kołami o metalowych rafrkach. Był założycielem i wieloletnim prezesem „Radfahrer-Club”, miejscowego klubu cyklistów założonego latem 1894. W trzy lata później w mieście istniały już cztery takie zrzeszenia. Na Górnym Śląsku do najstarszych należało gliwickie „Rad und Motorverein „Sport” 1895 Gleiwitz”, które od 1900 r. dysponowało własnym torem kolarskim. Śląskie towarzystwa cyklistyczne zrzeszyły się w ogólnopolską organizację o nazwie: Bundes Deutscher Radfahrer (Ogólnoniemieckiego Związku Kolarskiego) i należały do okręgu nr 35 z siedzibą w Bytomiu.

Na przełomie wieków na większych podwórkach i placach, doświadczeni trenerzy ustawiali welodromy. Tam, za parę fenigów można było przećwiczyć sztukę prowadzenia fahrrada. Te cudowne maszyny do podróżowania, spędzały sen z powiek wyrostków a czasem były przyczyną ich desperackich decyzji. Na łamach „Katolika” alarmował bezradny ojciec: „Chłopiec mój, Ryszard Krzewski 11 lat stary, uciekł ze szkoły 9 t. m. i do dziś nie wrócił. Ma stary sztofowy swiwy ubiór, stary kapeluszy i jest bosy. ktoby o nim coś wiedział proszę donieść policji lub mnie samemu Jan Krzewski Brzezina (Birkenhain).” Wnet się dowiedział, że ciekawe światła pachole, pojechało razem z obwoźnym sprzedawcą welocypedów, po niemiecku zwanym fahrradtrainerem.

Od początku XX wieku w Katowicach przy Nikolaistrasse 44 (obecnie: Mikołowskiej) funkcjonowało „Benhard Johann, Fahrrad-Geschäft” – przedsiębiorstwo rowerowe Johana Bernharda, wyspecjalizowane w handlu i naprawie. Na Starówce, opodal ratusza, przy Poststrasse 8 (obecnie: Pocztowa), kupiec Viktor Deutsch, prowadził największy w mieście skład rowerów i maszyn do szycia, dysponujący fachowym serwisem reperacyjnym. Sprzedaż bądź naprawę welocypedów proponował: Paul Grundmann, przy dzisiejszej 3 Maja 21 oraz Franz Orzel, przy Holtzestrasse 30 (obecnie: Mariacka). Również zasobne sklepy rowerów prosperowały w pobliskiej Królewskiej Hucie i Gliwicach.

„Skrzydlaty Pegaz na kołach” kosztował wtedy około 230 marek. To była war-

tość jednej tony dobrej pszennej mąki albo 10 ton ziemniaków.

Ślązacy i katowiczanie jeździli na welocypedach produkowanych przez firmy: Adler, Brennbauer, Lohmeyer, Renner, Opel, Lyra i kilka innych funkcjonujących na obszarze II Rzeszy. Nie można wykluczyć, że w ramach importu z Rosji, docierały do nich pojazdy produkowane przez wytwórnie Łodzi lub Warszawy. Śląscy kolekcjonerzy nie tracą nadziei. Przeczują, że gdzieś pod korcem maku ukrywa się jakiś egzemplarz „Wichra” – nestora polskich welocypedów, a może i wahrenowskiego „Diabła” bądź „Sireny”. – Na razie, 23 kwietnia 2014 roku – mówi red. Mszyca – akurat na swoje imieniny, postawiłem na koła męski rower „Światowit Extra” w 1937 roku wyprodukowany przez fabrykę w Myszkowie, a w tydzień później, na majówkowe przejażdżki miałem już odrestaurowane warszawskie „Torpedo” z 1935.

W wersji dwukołowej z przyczepką, bądź jako trójkołowa riksza, rower doskonale sprawdzał się w obsłudze kurierskiej i bagażowej. Kursowali na nim umundurowani posłańcy. Doręczyciele dla południowych Katowic mieli bluzy zielone a dla północnych czerwone. Przewozili depeche i kilkukilogramowe paczki. Riksze pasażerskie miały postój przed gmachem dworca kolejowego. Welocyped rychło stał się charakterystycznym atrybutem listonosza i policjanta. Dla przeciętnie zarabiającego obywatela wciąż był za drogi.

Trzeba było trzymać fason

Nowej modzie i obyczajowości sprzyjała rozbudowa dróg publicznych i udoskonalanie ich nawierzchni. Niebawem, rower w Katowicach i na Śląsku stał się powszechnie używanym urządzeniem a cyklistówka – płaska, okrągła czapka z daszkiem – popularnym nakryciem głowy. Początkowo obowiązywała biała, przewiązana czarna wstążką z mory. Dla powstańców śląskich, w czasie III powsta-

nia, było to jedno z obowiązujących nakryć głowy. Białą cyklistówkę do amerykańskiej marynarki zakładał Jan Kiepara, a w kraciastej – zwanej czasem oprychówką – chodził minister Stanisław Grabski. Szanujący się cyklista do jazdy zakładał pumpy, kurtkę i sweter a pod to koszulę, najpierw ze sztywnym kołnierzykiem i mankietami, później z miękkim, wykładanym. W okresie secesji w jego stroju dominowała czerń i biel.

Anioł na rowerze

Miejsce za rowerową kierownicą, przez długie lata było niedostępne dla Ślązaczek. Choć nie brakowało wśród nich amateerek relaksującego cyklizmu i szybkiej jazdy, nie od razu pokonały bariery obyczajowe, uodporniły się na zabobonne przestrogi i przemodelowanie swoich ubiorów. Kobiety i dziewczęta ostrzegano, że jeżdżąc na „kole” będą miały skrzywione miednice, utracą dziewictwo, a doznając pobudzenia seksualnego pod wpływem siodełka między pośladkami staną się ofiarami erotycznej rozwiązłości. W Krakowie spuneryści z kręgu Boya, okupujący „Jamę Michalikową”, na widok panny na bicyklu powtarzali rubaszny kalambur „kupka na dołku”. Natomiast, z podziwem i w życzliwym tonie o pedałujących niewiastach pisał warszawianin Artur Oppman:

„Tobie to wieku dziewiętnasty
składam swą pieśń w ofierze,
dałeś nam obraz wprzód nieznanym
– anioła na rowerze...”

W reakcji na staroświecką indoktrynację i głupie dowcipy, co bardziej niezależne kołowniczkę zrezygnowały z noszenia długich lub ściśle dopasowanych sukien, sztywnych gorsetów, ozdobnych rękawów z falbankami i wstążeczkami a la Gigot. Do lamusa wyrzuciły tiurniury i szmizetki. Zamiast czapek zaczęły nosić małe kapelusze o męskim kroju, z szerokim rondem lub piórkiem, żakiety, bluzki



Na Adlerze z 1914 r.

koszulowe i spódnice tak zwane dzielone spódnico-spodnie, w czasie jazdy podwiązywane sznurkiem lub rzemykiem. Nie brakowało zwolenniczek luźnej spódnicy, opuszczanej na osłonowej siatce, specjalnie w tym celu zamontowanej nad tylnym kołem. Na początku XX wieku modnymi kolorami były czarna i biała ale nie unikano pastelowych i złamanych – takich jak tabaczkowy.

Producenci rowerów wprowadzili na rynek specjalny model – „damkę”, bicykl z ramą o skośnej rurze. Elegantom oszczędzał nieco krępującego zadzierania nogi i przerzucania jej przez siodełko. Jeden z tych eksponatów – „Diamant 69” z 1938 r., reklamowany wtedy jako „Piękność z Saksonii”, ocalał w zbiorach katowickiego kolekcjonera red. Wojciecha Mszycy.

Ci wspaniali cykliści

Na Śląsku rower zaczął pełnić funkcje rekreacyjno-sportowe. Jak grzyby po deszczu zawiązywały się stowarzyszenia: „1899” Siemianowice, „Arbeiter-Radfahrerverein” czyli Robotniczy Związek Rowerzystów w Katowicach, Towarzystwo Cyklistów „1905” Katowice, „Polonia” Mysłówice, TC „Sport” Wełnowiec i wiele innych na terenie powiatu. Najbardziej aktywna była „Szarotka” z Małej Dąbrówki, zrzeszająca 65 członków. Wiosną 1923, w polskich już Katowicach miłośnicy kolarstwa zrzeszyli się w Związku Cyklistów i Motocyklistów Województwa Śląskiego, do którego przystąpiło kilkanaście towarzystw lokalnych. Jego pierwszymi prezesami byli: Gotfryd Grytzman, a po nim Augustyn Skiba. Sekretariat Związku mieścił się przy placu Wolności 12, a w latach 30. w kamienicy Strzałkowskiego przy 3. Maja 34.

Ślązacy startowali w zawodach warszawskich i ogólnopolskich zdobywając nagrody i medale. Wyróżnili się w kolarstwie szosowym – mistrzem Polski w wyścigu górskim w 1932 r. został Antoni Wlokas z Towarzystwa Cyklistów w Żorach.

Uprawiali turystykę rowerową a przez cały okres międzywojenny stawali na najwyższym podium w tak oryginalnych dyscyplinach jak akrobacja rowerowa albo piłka rowerowa, w Polsce egzotycznych a popularnych wśród Czechów, Niemców i Słowaków. W tej dziedzinie mistrzami Polski byli: bracia Henryk i Maksymilian Jelinkowie z katowickiego Towarzystwa Cyklistów „1905”, bracia Walter i Paweł Porembowie z siemianowickiego TC oraz tandem „Paszek Szampera” z TC „Strzał” w Pszczynie. Piłkę do bramki przeciwnika prowadzili i wbijali wyłącznie kołem swojego welocypedu. Wiosną 1939 r. w Siemianowicach odbyły się mistrzostwa Polski w tej dyscyplinie. Rozgrywano je na boisku i w Sali Józefa Uhera przy ulicy Michałkowskiej. Były głównym punktem programu obchodów 40-lecia tutejszego klubu cyklistów założonego w ostatnim roku XIX stulecia.

Popularną niedzielną imprezą dla wszystkich były „biegi rowerowe” na dystansie 105 km., którym patronowała katowicka Fabryka Rowerów „Ebeco”, sponsorująca klub sportowy z jej firmową nazwą. W jej barwach jeździli m. in.: bracia Erwin i Ewald Ligoniewie, Erwin Czech i Muller. Zrzeszeni i niezrzeszeni cykliści walczyli o puchar i medale organizatora. Jeden z zabytkowych medali, nabyty za grube pieniądze, trafił do zbiorów red. Mszycy.

Pedały jak ostrogi

Od 1870 r. welocyped znalazł się na wyposażeniu sił zbrojnych Francji odpierającej pruską inwazję. W kilkanaście lat później zaczęły na nim jeździć wojska austrowęgierskie, belgijskie i szwajcarskie. Reichswehra pedałowała od 1906 r. Najlepiej sprawdzał się jako pojazd wywiadowców, łącznościowców i służb medycznych. W 1902 r. Austriacy wynaleźli rower składany, po szybkim demontażu pełniący funkcję noszy. Znalazł zastosowanie jako pojazd używany przez

sanitariuszy śpieszących do akcji. Korzystało z niego wojskowe pogotowie medyczne i straż pożarna. Chwalili go strażacy z sekcji medycznej katowickiego oddziału pożarników, która wtedy pełniła rolę miejskiego pogotowia ratunkowego. Rower zaliczano do pojazdów strategicznych. W czasie działań wojennych sprawnie przemieszczały się na nim oddziały strzeleckie, w tym także obsługa kabinów maszynowych. Od tamtej pory kolarze byli niemniej waleczni niż kawalerzyści a warsztaty ślusarskie na terenie koszar niemniej ważne niż stajnie wraz z powozownią. Pedały były jak ostrogi. Wśród wąsatych dragonów i rubasznych rowerzystów mawialo się: „Mocniej ciśniesz szybciej pędzisz.”

W bitwach z powstańcami śląskimi niemieckie plutony i kompanie cyklistów patrolowały zajmowane tereny i atakowały na linii frontu. Uzbrojeni kolarze walczyli podczas wojny bolszewickiej. W okresie międzywojennym w Wojsku Polskim, na każdą brygadę kawalerii i dywizję piechoty przypadała przynajmniej jedna kompania zbrojnych rowerzystów.

Gdy latem 1922 r. płk Stanisław Młodnicki przejmował śląską komendanturę Policji, wraz z wyposażeniem katowickiego garnizonu odziedziczył 200 rowerów. Wiele z nich pochodziło z warsztatów tutejszego „Ebeco”.

Entuzjastom kolarstwa z kręgu katowickiej Szkoły Policji przewodził starszy posterunkowy Jan Dublaszewski, szef tutejszej sekcji rowerowej, legitymujący się także mistrzowskimi medalami w narciarstwie oraz biegach średnio i długodystansowych.

Jeszcze we wrześniu 1939 r. oddział zbrojnych cyklistów pod dowództwem Piotra Reronia przybył z Sosnowca do Katowic aby uczestniczyć w bohaterskiej obronie miasta przed hitlerowcami. Podczas okupacji, niemieckie władze wojskowe rekwirowały rowery będące własnością Polaków a na kresach wschodnich zajmowanych przez Armię Czerwoną, na używanie roweru trzeba było uzyskać specjalne zezwolenie. Przypominają o tym muzealne pamiątki i dokumenty ze zbiorów red. Mszycy.

Dom i fabryka Strzałkowskiego

W 1913 r. w kamienicy przy Grundmannstrasse 34 (obecnie 3 Maja) zamieszkał Erich Bernhardt, mechanik a potem kupiec, jeden z udziałowców „Ebeco” Oberschlesische Fahrradfabrik – Górnos Śląskiej Fabryki Rowerów; tutaj, w oficynach firma przetrwała w II wojnie światowej i powstania śląskie. W kilka miesięcy po przyłączeniu Katowic do Polski, Władysław Strzałkowski i Wilhelm Schützer przejęli ruchomości i nieruchomości Fabryki „Ebeco”, która należała do spółki Erich Bernhardt & Company.

Jeszcze tego roku, w warsztatach na zapleczu kamienicy ujrzał świat pierwszy śląski rower wyprodukowany w Polsce Odrodzonej. Piasty do jego kół były osobiście toczone przez Strzałkowskiego, utalento-



W roli głównej Diana 69.



Nie tylko rower – Ebeco 1925, ale i odpowiedni strój czynią z rowerzysty prawdziwego... cyklistę.

wanego wynalazcę i konstruktora, według jego oryginalnej technologii. Najstarszy z zachowanych egzemplarzy zmartwychwstał ze złomowiska za sprawą Wojciecha Mszycy, przez kilka lat doposażał niezwykle eksponat w brakujące detale. Dziś wygląda jak nowy. Ma prawie 90 lat. Jest o 22 lata starszy od swego właściciela, który jeździ na nim wszędzie i wzdłuż Europy, ciesząc się sławą ambasadora polskich retrocyklistów.

Na posesji 3 Maja 34 Władysław Strzałkowski pod szyldem „Ebeco” wyprodukował także pierwszą w polskim Śląsku, maszynę do szycia a w jakiś czas potem – gramofon. Dzisiaj to miejsce jest jednym z pomników upamiętniających historyczne dokonania rodzimej techniki. – „Ebeco” jest dla mnie najbardziej... katowickim z katowickich rowerów – mówi red. Mszycy.

Zabytkową ramę jego pojazdu zdobi firmowy emblemat z obrazkiem inspirowanym litografią z połowy XIX wieku. Ukazuje starą kuźnicę nad rozlewiskiem Rawy w Katowicach. Dwaj rzemieślnicy, starszy i młodszy, w roboczych fartuchach, z młotami na ramieniu, podają sobie dłonie. To alegoria tradycji – staroświecki kowal ścisła dłoń nowoczesnego metalowca.

Strzałkowski zmarł w 1937 r. Potem firmę prowadziła jego żona i córki. Najstarsza z nich Wilhelmina wyszła za mąż za inż. Gustawa Różyckiego, specjalistę od maszyn górniczych i właściciela fabryki w Załężu. Jego firma, prócz urządzeń

dla kopalń wyprodukowała też pierwszy polski motocykl na Śląsku. Na cześć swego konstruktora, tak jak i fabryka przy obecnej ulicy Tokarskiej, otrzymała nazwę: „MOJ” – tak bowiem brzmiał pseudonim Różyckiego, pod którym znali go koledzy ze studiów akademickich w Wyższej Szkole Górniczej w austriackim Leoben i pracy w śląskich kopalniach.

Sklep firmowy na parterze kamienicy Strzałkowskiego, uchodził za największą fonotekę oferującą nagrania płytowe gwiazd ówczesnej opery, operetki i estrady. Zbiory red. Mszycy zawierają ozdobną, tekturową kasety z przegródkami wypełnionymi kolekcją szelakowych i ebonitowych longplayów. Jej bordową okleinę zdobi złota lira i pięciolinią z kluczem wiolinowym oraz napis „EBECO” Fabryka Rowerów i Gramofonów.



Szyldzik firmy Ebeco.

W latach 80. XX wieku spadkobiercy Strzałkowskiego założyli spółkę i reaktywowali dawną nazwę. Nie produkuje rowerów, gramofonów ani maszyn do szycia. Dba o dobrą kondycję kamienicy i dobrze prosperuje na rynku obrotu nieruchomości. W gabinecie jej prokurenta można obejrzeć zabytkowe wyroby a wśród nich jeden z egzemplarzy roweru „Ebeco”.

Sekrety wskrzeszania

Stare rowery są jak bezdomne kotki. Porzucone dogorywają na wysypiskach odpadów lub na złomowiskach. Wojciech Mszycy większość swoich zabytkowych welocypedów kuruje domowym sposobem ale nie z każdym przypadkiem potrafi sobie poradzić. Jednym z trudniejszych okazały się niedomagania sędziwej damki „Duerkopp” z 1934 roku. Przez kilka miesięcy stawiała opór nie pozwalając ściągnąć tarczy łańcuchowej z osi suportu. Próbował sam i trzej inni doświadczeni retrocykliści. Nie było wyjścia. Zdesperowany opiekun zawiózł swoją bidulę do Politechniki Śląskiej. Tam, jak w prawdziwej klinice dwukołowych pacjentów pochylił się nad nim doktorowie mechanicy – specjaliści od inżynierii materiałowej. Trafiła do laboratorium. Czekają mrożenie osi azotem i jednoczesne nagrzewanie tarczy, a może nawet seria ultradźwięków.

Apokalipsa

Wiosna puchnie. Wilgoć osiada na każdym atomie powietrza, a nawet na próżni między atomami. Koń bez jeźdźca ocieka wodą. Kopie przednią nogą odbicie w kaluży. Odór śmieci. Żwir i szlam. Przylepione do nich strzępy rękopisów, na których można rozpoznać litery stawiane szybko i przez to jednorodne i jednorodnie.

Trajektoria akcji serca podchodzi skrzydłem noża pod gardło, gdy do oczu wpadnie obraz przechodzącego przez podwórze listonosza. Pojawiają się czerwone paciorki na szyi.

Wiatr

Ciało przenikane przez lodowate powietrze, co jak wieloryb napłynęło z Arktyki. A tam jest teraz lato. Otwierają się skorupki czarnych małż na szarym piasku, zakwitają przezroczyste kwiaty i parzydelka małych stworów. Ten lód rozerwał mi serce i oczy, ponażył kiszki z których sączy się teraz smoła.

A w Arktyce jest teraz lato. I baraki stoją na brudnym oplutym przez morze piachu. Co zostało, jeśli nie zebrać do wiadra serca, oczu i smolnych jelit, po omacku odszukać drzwi i rozrzucić karmę dla mew?

Kopalnia

Praca trwa bez względu na cykle Słońca i Księżycy. Interesująca jest tylko ziemia. Inhumacja, interhumacja, ekshumacja. Zęby są starte od zaciskania szczęk i międlenia kamieni i żużlu przekleństw. Woda jest wypompowywana, wypompowywana i leje się po ścianach, po skałach i słonym drewnie.

W tej wilgoci zgrzytanie zębami nie krzesze iskier, a krzyk szybko z pluskiem opada na dno eteru. Jedyne, co cieszy, to zimno, choć przykre dla ciała, to przyjemne dla ducha i uwznioślające go.

Piszcie, drodzy przyjaciele, duchy miłujące wolność i sprawiedliwość, do naszej kopalni: braunkohlenbergbau@interia.eu.

Upadek

Instytut się rozpada. Całość funkcjonuje jednak siłą inercji. W jednej części gniją zwłoki, w drugiej wybija brudna woda z kanalizacji, w innej umierają z głodu lub ran pacjenci, w innej urzędniczki spisują sążniste wnioski placowe, w jeszcze innej przyjmuje się delegację rządową. W jednej z komnat aparatura do operacji mózgu w wyniku awarii działa samoczynnie, bez lekarzy, pielęgniarek i pacjentów. Noże tną powietrze pod sufitem, a świdry zagłębiają się w jego pustkę. Oczywiście, ze względów bezpieczeństwa nie powinno się przechodzić przez ten pokój o złożonych ornamentach pod sufitem. Mimo zaduchu przez korytarze i sale ciągnie przeciągiem grozy.

Jedyne skróty

Domy w rozsypce używane tylko w lecie. Sypie się tynk we wrześniowo-październikowym słońcu. Obok pryzmy żwiru, piachu i brudu; trwa budowa, przebudowa, rozbudowa, odbudowa. Nieoczekiwane nieoczekiwany cmentarz. Przypylony prochem cementu i ziarnem czasu. Obeliski pochylone tak, że widać zanik pamięci. I z tekturową walizką na skróty, jedyne skróty, przez ten cmentarz do prawdopodobnego celu.



Rys. Wojtek Łuka

Niepojmowalne

Torowiska tramwajowe wiodły od przeszklonych drzwi kamienicy aż do odległej pętli. Nocami jeździłem tam, odczekiwałem na odjazd, siedząc w zimnych blachach wagonu, i wracałem. Czasami dzielnica była trudna do zlokalizowania, pomimo że byłem tam już raz czy drugi, trudno było przebić się przez sieć ulic do niej, tam, gdzie spotkało mnie zagrożenie trądem. Ponadto nadmieniam, że niektóre linie rozpoczynały się wśród pól. Kiedy, oszołomiony długą wędrówką na bosaka, wsiałem, mogłem dojechać do miasteczek, które wcześniej znałem tylko z nazwy. Niespodziewanie znajdowałem w nich miejskie ulice z szeregiem miejskich kamienic, a także wyższych szkół technicznych. Doprawdy nie wiem, jak to się mogło stać, że nasze miasto utraciło aktywną linię tramwajową prowadzącą do klasztoru w Kielcach.

Zwiedzanie

Widoki: ludzkie, jak pszczele. Zwiedzanie wariacji na temat, jak się chronić przed warunkami pogodowymi, higienicznie obmywać, wydalać i jadać. Fotografować się na tle rzeźb: ssak własnego gatunku dosiadający ssaka innego gatunku, ssak własnego gatunku upozowany na wieszczka, ssak własnego gatunku z orężem. Ozdobniki ludzkich uli, układy przestrzenne, historia powstania lokalnego gniazda. Nie nudzić się i podróżować od jednej belkotliwej nazwy własnej do innej, i jeszcze starać się odgrzebać lad w wykoślawieniu zawartych w nich nazw pospolitych.

Śmierć z tysiąca ran

Ciąg fotografii nie rzuca się w oczy spektakularnością. Twarz nie wyraża bólu, jaki, wydawałoby się, powinna wyrażać. Można zapytać, czy wyraża ból. Jakby ból miał granicę ekspresji, za którą jego spotęgowanie nie zmienia już wyrazu. Jakby różne odczucia wyrażały się w ten sam sposób – rozkosz i cierpienie. Czy na twarzy obserwatorów można odczytać zaniepokojenie? Czy na twarzy działającego można odczytać skupienie fachowca? Kolejne odsłony odsłaniają szkielet architektury ciała. Jak to jest, że głowa jeszcze żyje i reaguje, gdy z reszty zostało tak niewiele?

Po wszystkim zostaje kałuża skrawków zakończona głową, nad którą stoi skundlony pies.

Burdel w Kutaisi

Pokoik jak pudeleczek, łóżko nowożeńców, wygięcia i złocenia mebli, udrapowane zasłony, tkaniny na łóżku, świeże kwiaty w wazonie, w końcu balkon z zawijasami balustrady wychodzący na słońce. Na ulicę tuż tuż obok rynku ze złoconą fontanną w formie bydląt. Można by mieszkać tutaj, zamiast w pokoju jak w hotelu robotniczym.

Ranki są zimne, nie rozgrzewają ich ledwo podgrzane parówki podawane uporczywie na każde śniadanie. Ten kraj cofa nas dwadzieścia pięć lat w historię naszej ojczyzny. Mężczyźni w czarnych skórzanych kurtkach i dresach śmierzący przefermentowanym potem i podnadtrawionym alkoholem wypitym godziny temu. Podobne plastiki, przeżarte kurzem papiery, naród skupiony na oszustwie i klepaniu polatanej taśmą klejącą biedy.

Południa i popołudnia są nieco mniej nieprzyjemne. Również przesiąknięte nudą jak odorem trupiarni. Słońce ogrzewa powierzchnie powietrze i kamienie osypujących tynki fasad kamienic. Ostygną bardzo szybko, gdy nastanie ciemność, która trwa. W herbaciarni zapach wilgotnych starych książek, ustawionych na półkach, jak w równie wilgotnym antykwariacie w innym mieście, w ulicy opadającej do szpetnego i szpecącego portu.

Śmietnik. Przy bliższym oglądzie demaskujemy tę bombonierkę: meble od sasa do lasa, okna niedbale poutykane brudnymi papierami, zacieki brudu i grzybni na zasłonach. Świeże kwiaty okazują się plastikowymi czy papierowymi imitacjami.



Rys. Wojtek Łuka



Wspomnienie ucznia

Odchodzą ludzie, pozostają ich dzieła. To proste zdanie, choć prawdziwe, domaga się uzupełnienia i dopowiedzenia. Odchodzą ludzie, lecz oprócz ich dzieł, pozostaje ślad ich człowieczeństwa, ich obecności wśród nas, a żal po ich odejściu jest tym większy, im bardziej wpisali się w nasze własne życie.

Profesor Józef Świder wpisywał się w moje życie prawie pięćdziesiąt lat. Już w dzieciństwie miałem możliwość zetknięcia się nie tylko z nazwiskiem późniejszego profesora katowickiej uczelni muzycznej, ale także słuchania jego muzyki i zobaczenia go „na własne oczy”, co dla młodego pasjonata muzyki było dużym przeżyciem. Chodziliśmy wówczas z rodzicami do kościoła garnizonowego w Katowicach, gdzie Józef Świder pełnił funkcję organisty. Wraz z ojcem zostawaliśmy po Mszy św., by posłuchać improwizacji, a po-

tem czekaliśmy na dole, by zobaczyć Twórcę, coraz bardziej znanego i podziwianego. Wtedy nie podejrzewałem, że Józef Świder odegra tak ważną rolę w moim życiu.

Po rozpoczęciu studiów w ówczesnej Wyższej Szkole Muzycznej w Katowicach spotykałem się z profesorem niemal codziennie. Pod jego kierunkiem, wraz kolegami, studiowaliśmy harmonię i kontrapunkt, a że nasza grupa liczyła zaledwie trzy osoby (należeli do niej: Teresa Gburek, Eugeniusz Knapik i ja), zajęcia miały dość specyficzny charakter. Były to w zasadzie studia indywidualne. Zajęcia nie polegały na przekazywaniu jedynie wiedzy fachowej, sprawdzaniu zadań czy omawianiu reguł harmonii i kontrapunktu. Profesor ubogacał te zajęcia refleksjami o współczesnej i dawnej twórczości, wymianą myśli na temat przeczytanych

książek (pamiętam, że pasjonowaliśmy się wtedy Mertonem i Proustem), a także szczerą rozmową dotyczącą naszych własnych problemów, wyborów i otaczającej nas rzeczywistości. Już wówczas objawił się nam jako człowiek o niezwykłej wrażliwości i szczerości, posiadający nadto skryzalizowane, nie ulegające „modom” i koniunkturze poglądy (co nie zawsze podobało się tym, którzy sytuowali się wtedy w kręgu „jedynie słusznej ideologii”). Świder, jako organista i kompozytor muzyki religijnej zjednywał sobie sympatię wielu ludzi, nie tylko środowiska muzycznego. Był wysoko ceniony także jako muzyk kościelny, a coraz liczniejsze dzieła chóralne śpiewane były zarówno przez chóry zawodowe jak i liczne chóry kościelne.

W codziennych kontaktach z profesorem uderzała jego prostota i bezpośredniość. Nie lubił „celebry”, sztuczności i zbytniego patosu. Potrafił zwięźle i konkretnie odnosić się do wszystkich spraw związanych z funkcjonowaniem naszego wydziału, życia uczelni, a w relacjach ze studentami był bezpośredni i do każdego nastawiony życzliwie. Jednocześnie wymagał i egzekwował wszystko, co wynikało z toku nauczania, podchodząc jednak bardzo indywidualnie do naszych dokonań. W zakresie harmonii i kontrapunktu pozostawiał nam dużo swobody. Myślę, że potrafił odkrywać w człowieku jego naturalne zdolności i poprzez właściwe kierowania a także życzliwość i zachętę, wspomagać ich rozwój. Nie gasił ducha. Z zainteresowaniem słuchał, dyskutował, czasami dyskretnie polemizował. To szybko tworzyło nić porozumienia, wspieraną wzajemną życzliwością i budowaniem wspólnej płaszczyzny na linii: mistrz–uczeń. Odczuwaliśmy także, że łączy nas wspólny system wartości, co przekładało się na swobodny dialog z profesorem, obejmujący także sprawy naszych poglądów, w tym naszej wiary i uczestnictwa w życiu Kościoła.

Profesorowi Świdrowi zawdzięczam rozwój moich umiejętności improwizatorskich. Słyszając mnie improwizującego na fortepianie (było to chyba przed jakimiś zajęciami), profesor, po uprzednim wysłuchaniu mnie w swoim gabinecie, zachęcił mnie do uczestnictwa w Konkursie Improwizacji Fortepianowej w Gdańsku. Na konkursie tym (w 1972 r.) zdobyłem I nagrodę, po czym zacząłem intensywną pracę nad improwizacją, która stała się moją pasją i zaowocowała kolejnymi nagrodami na konkursach w Nowej Rudzie i Weimarze. Na roku dyplomowym zostałem asystentem profesora (na wydziale kompozycji i teorii) i odtąd uczyłem improwizacji, kształcenia słuchu i prowadziłem ćwiczenia z harmonii. W ten sposób ze studenta stałem się

pracownikiem uczelni, otrzymując po roku zatrudnienie etatowe (w międzyczasie napisałem pracę magisterską o Messiaenie, pod opieką profesora). Z czasem zacząłem uczyć gry organowej, pozostając jednak cały czas w katedrze Profesora Świdra.

Epizod messiaenowski był niezwykle ważny. Profesor Świder przetłumaczył wówczas traktat „Technique de mon language musical” Messiaena i opublikował go w „Res facta”, niezwykle ważnym i świetnie redagowanym periodyku poświęconym muzyce współczesnej. Fakt ten zbiegł się z obchodami 65. rocznicy urodzin Messiaena, które chcieliśmy uczcić na uczelni specjalnym koncertem. Już od czasów studenckich byliśmy zafascynowani muzyką Messiaena, utożsamiając się także z jej ideowym przesłaniem. Pomysł koncertu uczył profesor w pełni poparł, obiecując wygłoszenie przed nim wykładu na temat muzyki Messiaena. Na koncercie wystąpił Eugeniusz Knapik, Henryka Januszewska, brat profesora Świdra – Władysław i ja. Było to wielkie wydarzenie, jednak nie spodobało się ono ówczesnemu sekretarzowi partii i paru innym osobom, ze względu na wyraźny religijny charakter. Chyba wtedy cała grupa entuzjastów francuskiego kompozytora, a wraz z nimi profesor Świder, uznana została za dość ekscentryczną i „niepewną ideologicznie”. W dalszych latach przyniosło to konsekwencje, dziś trudne do pojęcia, ale ich opisanie wymagałoby wielu stron i czasu (choćby historia wykonania przez Eugeniusza Knapika „Dwudziestu Spojrzeń na Dzieciątka Jezus” w auli Akademii).

Jako młodzi pracownicy uczelni, ale także jako twórcy i czynni na wielu polach muzyki, ceniliśmy profesora Świ-

dra za jego zawsze konstruktywne i pełne mądrości decyzje. Miał on duży autorytet u prawie wszystkich pracowników, jako dziekan i prorektor. Przez ponad 40 lat nieprzerwanie był członkiem Senatu uczelni, co wskazywało jak dużym zaufaniem cieszył się w środowisku akademickim. Pamiętam jego liczne wystąpienia na zebraniach Senatu czy Rady Wydziału. Kiedy wielu z naszych kolegów wołało nie wypowiadać się np. w sprawach awansów, czy oceny działalności niektórych pracowników, profesor Świder potrafił szczerze, bez ogródek, jednak i bez złośliwości, otwarcie skrytykować czyjeś działania, co pomagało wielu z nas podjąć trafną decyzję. Z tymi ocenami liczyły się także władze uczelni. Potrafił także bronić pracowników przed zdarzającymi się absurdalnymi zarzutami czy oskarżeniami (musimy pamiętać, że w tamtych czasach uczelnia podlegała silnej presji ideologicznej ze strony organów partyjnych i organów władzy). W czasie najgorszej nagonki na moją osobę, profesor także (wraz z prof. Góreckim, Hawelem i wielu innymi) stanął w mojej obronie.

Przysłowiowa wręcz była skromność profesora. Pamiętam zdarzenie, związane z napisaniem przez Świdra pierwszym utworem organowym. Przyszedł do mojej sali z partyturą „Pièce ridicule” (było to w 1992 roku) i wręczając mi ją powiedział z małym zażenowaniem: „wiesz, napisałem taki kawałek na organy, może to dasz jakiemuś studentowi, może to ktoś zagra...”. Sugestia była tak silna, że nuty schowałem do teczki i zamiast zabrać się za jej ćwiczenie, odłożyłem na półkę. Po roku zleciłem prawykonanie mojej absolwentce, Brygidzie Tomali, która znakomicie wykonała to

arcyciekawe dzieło – na szczęście na prestiżowym koncercie „Śląskiej Trybuny Kompozytorów”. Zrewanżowałem się jednak potem licznymi wykonaniami tego utworu w kraju i za granicą a także nagraniem kompletnego dzieła organowych Józefa Świdra na płycie. W międzyczasie kompozytor napisał jeszcze dwa ciekawe dzieła organowe, które już jednak prawykonałem osobiście na festiwalach w Katowicach i w Krakowie.

Zawsze z wielkim zainteresowaniem obserwowałem twórczość Józefa Świdra. Każdy koncert z jego muzyką a także każda wzmianka prasowa, jaką mój ojciec odnalazł w gazecie i wycinał ją do moich zbiorów, ubogacały wiedzę o moim przyszłym profesorze. Przejyciem było uczestnictwo w prawykonaniach oper Świdra a także w wykonaniu utworów oratoryjnych poświęconych powstaniu śląskim. Wątki śląskie, obok wątków religijnych, oddziaływały mocno na moją wyobraźnię, tym bardziej że były także żywo komentowane w mojej rodzinie. Świder był „naszym” kompozytorem. Dla śląskich rodzin sukcesy takich artystów jak Świder, Górecki czy Stempel były źródłem dumy i satysfakcji. Pozwalały na postrzeganie tych twórców w kategoriach „swojskości”, były częścią zbiorowej identyfikacji, jakiejś „wspólnoty ducha”. Dopiełniło się to już w moim dorosłym życiu, kiedy mogłem dojrzeć do prawdziwej przyjaźni z profesorem i od czasu do czasu spotykać się z nim, nawet wtedy, kiedy odszedł już z uczelni. Ceniłem sobie tę przyjaźń, wypełniając ją sporadyczną korespondencją (także mailową), coraz rzadszymi spotkaniami ale nade wszystko pamięcią i częstymi wykonaniami jego utworów, również tych na sopran z organami i fortepianem. Wyrazem tej pamięci i wdzięczności było nagranie płyty CD z utworami organowymi i pieśniami na sopran i organy (z sopranistką Elżbietą Grodzką-Lopuszyńską), którą wręczyliśmy profesorowi z okazji 75. urodzin.

Józef Świder odszedł już do wieczności. Swoje bogate życie wypełnił służbą muzyce, studentom, melomanom, ale także służbą Bogu, w którym pokładał nadzieję i nie bał się do tego przyznawać. To, co przekazał swoim uczniom, będzie przynosić dalsze owoce, jeżeli ułoży się w ciąg zdarzeń opartych na właściwej hierarchii i nieprzemijających wartościach. A nam pozostanie pamięć i jego muzyka, mnie zaś przede wszystkim uczucie wdzięczności, że zainwestowałem w moją drogę, stał się moim mentorem i wprowadził mnie w świat, w którym artystyczne szaleństwo spleta się z wiernością prawdzie, dobru i pięknu.

JULIAN GEMBAŁSKI



Zdjęcia: Piotr Cirbus

15 maja 2012 roku w centrum konferencyjnym Wydziału Artystycznego Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie w trakcie obrad Ogólnopolskiej Konferencji Naukowej z cyklu „Wartości w muzyce”.

„Czterogłos” potwierdza aspiracje Katowic

KAROL RAFAŁ BULA

Od dłuższego czasu stolica Śląska różnymi inicjatywami potwierdza aspirację do bycia Miastem Muzyki. To tu działa kilka zespołów orkiestrowych z Narodową Orkiestrą Symfoniczną Polskiego Radia i Filharmonią Śląską na czele. Koncerty organizowane przez te dwa podmioty wzbogaca swoją aktywnością Akademia Muzyczna, przy której funkcjonują różne zespoły muzyczne, a jest jeszcze Instytucja Promocji i Upowszechnienia Muzyki „Silesia”, która wspierana przez Urząd Miasta nie szczędzi sił w realizacji deklarowanej w nazwie pracy artystycznej, jest wspaniałą Zespół Śpiewaków Miasta Katowic „Camerata Silesia”, jest znakomity Kwartet Śląski, by wymienić najważniejsze zespoły muzyczne. O prężności środowiska decyduje jednak nie tyle instytucjonalny stan posiadania, co koncertowa działalność. I oto niedawno temu otrzymaliśmy najbardziej wymowny przykład dobrze rozumianego upowszechnienia muzyki. W ciągu trzech tygodni w sali koncertowej Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego w Katowicach mogliśmy obcować z muzyką najwyższego lotu, prezentowaną przez renomowanych artystów.

„13 maja 1934 roku największy kompozytor polski tamtych czasów przyjechał do Katowic, by być obecnym na wykonaniu swojego oratorium *Stabat Mater*” – taką informacją rozpoczyna swój komentarz prof. Joanna Domańska, prezes Towarzystwa Muzycznego im. Karola Szymanowskiego w drukowanym programie koncertów, które miały zaobchodować 80-lecie tamtego wydarzenia. Umieszczona na afiszach i na obwolutie programu nazwa „Czterogłos” doskonale wyraża intencję pomysłodawców. W cyklu czterech koncertów trzy kameralne obejmowały muzykę czterech kompozytorów: Karola Szymanowskiego i jego sukcesorów na Śląsku: Bolesława Szabelskiego, Henryka Mikołaja Góreckiego i Eugeniusza Knapika. Polecony przez Mistrza w 1929 roku dyrektora Konserwatorium Śląskiego w Katowicach student Szymanowskiego B. Szabelski po II wojnie światowej został współtwórcą śląskiej szkoły kompozytorskiej. Jego wychowanek H.M.

Górecki zyskał światową sławę, a uczniem Góreckiego jest wybitny kompozytor współczesny Eugeniusz Knapik – wszyscy trzej związani z katowicką Akademią Muzyczną, która od 1979 roku nosi imię Mistrza; dwaj ostatni piastowali w niej urząd rektora. W pięknej Sali Koncertowej uczelni trzy koncerty kameralne poprzedziły koncert Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia i Chóru Filharmonii Śląskiej.

Przypomnę: Do pierwszej prezentacji *Stabat Mater* Szymanowskiego w Katowicach w 1930 roku doszło z inicjatywy artystów niemieckich pod dyrekcją Fritza Lubricha. 15 maja 1934 roku w Teatrze Polskim w Katowicach dzieło to zabrzmiało w wykonaniu artystów polskich z Chórem „Ogniwo” pod dyrekcją Stefana Mariana Stoińskiego, dyrektora Instytutu Muzycznego, a kompozytor tym razem przyjął zaproszenie i był obecny na koncercie. Zarówno Oratorium, jak i jego twórca zostali przez słuchaczy przyjęci entuzjastycznie, a kompozytor dwa lata później, w lutym w liście do Marii Machnickiej zapewniał o chęci objęcia profesury w katowickim Konserwatorium. Realizacji zamiaru stała na przeszkodzie przedwczesna śmierć kompozytora.

Koncert 17 maja 2014, najważniejsze wydarzenie muzyczne w ramach katowickiej „Nocy Muzeów”, pomyślany był jako replika tamtego historycznego wydarzenia, w jego programie znalazły się więc obok dzieła Szymanowskiego *Wielka Modlitwa* op. 14 Stefana Stoińskiego oraz *Requiem* op. 5 (I część) Hectora Berlioz. Uwaga wszystkich skoncentrowana była z oczywistych względów na dziele Karola Szymanowskiego. Prezentacja wypadła doskonale. Zarówno soliści – Iwona Hossa, Ewa Marciniak i Adam Kruszewski, jak i Orkiestra oraz Chór pod dyrekcją Jerzego Maksymiuka i Macieja Tworka (dwie pierwsze pozycje), stanęli na wysokości zadania. Poprowadzone przez Maksymiuka *Stabat Mater* wzbudziło szczerzy zachwyt, co znalazło swoje odbicie w burzliwym aplauzie. Usunęło ono w cień dwie wcześniejsze pozycje zaprezentowane

wszak z niemiejszym zaangażowaniem. Nie wszyscy chętni wysłuchania koncertu zmieścili się w Sali Koncertowej Akademii Muzycznej. Nieco mniej publiczności miały „jaskółki” koncertu symfonicznego – wspomniane koncerty kameralne, lecz i one przyciągnęły wielu melomanów, a wyrazów zadowolenia z możliwości wysłuchania współczesnych dzieł spadkobierców Szymanowskiego było co niemiara! Trzeba podkreślić, że organizatorzy „Czterogłosu” zadbali też o to, by i ta muzyka zabrzmiała w jak najlepszym wykonaniu i tak w pierwszym koncercie (29 IV) brylowała Urszula Kryger, mając za partnera niezawodnego Grzegorza Biegasa (fortepian) w *Pięciu pieśniach op. 13 do słów poetów niemieckich* i *Pieśniach miłosnych Hafiza op. 24* Karola Szymanowskiego, Akademicka Orkiestra Kameralna pod dyrekcją Michała Klauzy zajmując wykonała *Preludia* Bolesława Szabelskiego, *Trzy utwory w dawnym stylu* Henryka M. Góreckiego oraz – razem z Urszulą Kryger – *Przystępuję do Ciebie* Eugeniusza Knapika. Drugi koncert (7 V) w całości wykonał Kwartet Śląski. Po znakomitym *II Kwartecie smyczkowym op. 56* K. Szymanowskiego, słuchaliśmy *Kwartetu smyczkowego (1980)* E. Knapika, rzadko wykonywanych *Pieśni kurpiowskich op. 75* w transkrypcji na kwartet smyczkowy H. M. Góreckiego i prawie nieznanego *II Kwartetu smyczkowego* B. Szabelskiego. Trzeci koncert (14 V) zainaugurowały w wykonaniu Joanny Domańskiej i Andrzeja Tatarskiego *Harnasie* Szymanowskiego w wersji na dwa fortepiany Grażyny Bacewicz z uzupełnieniami A. Tatarskiego. Warto podkreślić, że dzieło to w nowym układzie dzięki nagraniu na CD zdobyło już sporą liczbę zwolenników. E. Knapik reprezentowany był przez *Trio na skrzypce, klarnet i fortepian (2003)*, które w składzie Piotr Tarcholik, Aleksander Tesarczyk i Monika Wilińska-Tarcholik dało popis kameralnego muzykowania, uświadamiając przy tym raz jeszcze społeczności katowickiej, że ma w swym gronie znakomitego sukcesora – „wnuka” Karola Szymanowskiego, a *Aforyzmy* 9 B. Szabelskiego i *Koncert na 5 instrumentów i kwartet smyczkowy* H. M. Góreckiego zabrzmiały w doskonałym wykonaniu Kwartetu Śląskiego i Orkiestry Muzyki Nowej pod dyrekcją Aleksandra Lasonia.

Była to seria wspaniałych koncertów i utwierdziła nas w przekonaniu, że Katowice mogą być również centrum kultu największego po Chopinie polskiego kompozytora, a turyści z całego świata, lądując na Lotnisku im. Karola Szymanowskiego w Katowicach-Pyrzowicach (z projektem nadania Lotnisku imienia Mistrza wystąpiła, przemawiając przed rozpoczęciem koncertu, prof. Joanna Domańska), mieliby przedsmak czekających ich w stolicy Śląska przeżyć artystycznych.

Tegoroczna Noc Muzeów dla wielu imprez plenerowych stała pod znakiem zapytania, wszak meteorolodzy straszili ulewnymi deszczami a piątkowe popołudnie i wieczór nie wróżyły pomyłki w prognozach. Planowana trasa muzealnych wędrówek stale więc ulegała zmianie.

Czeladzki Saturn – przystanek I

Młode, istniejące bowiem zaledwie mod marca 2009 r. czeladzkie muzeum „Saturn” to jedna z „perełek” zagłębiowskich zabytków. Nazwę placówka odziedziczyła wprawdzie po nieistniejącej już kopalni, ale pamięć o żywicielce kilku pokoleń czeladzian (i nie tylko) nie pozwała zapomnieć o górniczych tradycjach najstarszego grodu Zagłębia Dąbrowskiego. Piękna rzeźba *Chłopca z labędziem* Theodora E. Kalidego przed wejściem do byłej willi dyrektora kopalni zapowiada urokliwą atmosferę. Trafiamy na wykład z prezentacją multimedialną dr Eweliny Szymoniak „Barwy Hiszpanii”, ponieważ wolnych miejsc nie ma, cichutko, nie tracąc ani słowa z opowieści o zawłóściach historii i kultury Hiszpanii, oglądamy kolekcję akwarel Salvadoro Dalego, ilustracji do jubileuszowego wydania „Boskiej Komedii” Dantego Alighieri. To raj nie tylko dla oka ale i duszy. Niezwykła podróż po Raju, Czyśćcu i Piekło widziana oczami surrealisty. Niestety, nie możemy zostać na koncercie muzyki hiszpańskiej „Cante, toque, baile!” w wykonaniu zespołu Aire Andaluz, z hiszpańskimi przekąskami w rękach, opuszczamy gościnnego „Saturna” i udajemy się do...

Pałacu Mieroszewskich w Będzinie – przystanek II

Na parterze przeciskamy się wśród tłumów zwiedzających wystawę „Recognition. Rozpoznanie” (wystawa powstała w ramach projektu „Exercise”) – prace pedagogów, doktorantów i studentów Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie oraz Kean University (USA). Feeria barw, różnorodność form przyprawiają o mały zawrót głowy. Trudno przejść obojętnie obok propozycji Izabeli Apanańskiej, Joanny Zemanek, Zbigniewa Bajka... Chwilą ukojenia jest więc spacer po stylowych XVIII- i XIX-wiecznych wnętrzach pałacowych i możliwość podumania w towarzystwie dzieł Jana Świdorskiego i Samuela Cyglera.



Kolekcja akwarel Salvadoro Dalego w muzeum „Saturn” w Czeladzi

Noc niespodzianek i... smakołyków

Wzgórze Zamkowe – po drodze

Zamek Będziński przeżył tego wieczoru prawdziwe obłędzenie. Tłumy przyciągnęły atrakcje przygotowane przez Bractwo Rycerskie Zamku Będzin (współorganizatora imprezy). Jedni skupili się wokół rycerza, którego wciskano w kilkudziesięciokilogramową zbroję, drudzy toczyli boje strzelając z łuku, czy rzucając włócznią, co wbrew pozorom okazało się nie lada sztuką. Wielu ustawiło się w kolejce do nauki władania mieczem. Najmłodsi (i nie tylko) podziwiali prezentacje uzbrojenia w wykonaniu grup rekonstrukcyjnych – Nordlige Sverda Hird, GRH Pro Maiorum Gloria, GRH Reduta oraz Bractwa Rycerskiego Zamku Będzin. Naszym celem były jednak Podziemia Będzińskie. Rewelacyjnie zrewitalizowane Wzgórze Zamkowe – pokretnie ścieżki dydaktyczne, atrakcyjne przydrożne półziemianki, 15 „magicznych miejsc”... i trudno się dziwić, że pobłądziliśmy! Nocne marki były jednak życzliwe i dotarliśmy do najnowszej atrakcji Będzina.

Podziemia Będzińskie – przystanek III

Radość trwała krótko, widok co najmniej kilkudziesięcioosobowej kolejki nie napa-

wał optymizmem, wszak komunikat głosił, że ostaną grupa wejdzie o 23.00. Szybka, ale stanowcza decyzja – czekamy! Warto było, czas oczekiwania nie dłużał się, kawały i opowieści o mrozących krew w żyłach podziemnych „niespodziankach” pozwoliły dotrzeć do upragnionego kasku i ruszyliśmy w nieznanne. Niedokończony schron przeciwlotniczy z czasów II wojny światowej robi wrażenie. Niemcy pod koniec wojny, w obawie przed nalotami bombowymi samolotów amerykańskich, brytyjskich i radzieckich rozpoczęli drażnienie schronów w rejonie Góry Zamkowej, które początkowo miały stanowić ochronę dla stacjonujących tu oddziałów wojskowych i administracji, a później także dla niemieckiej ludności cywilnej. Betonowe obudowy miały zapewnić bezpieczeństwo nawet przed atakiem atomowym. Prace przerwano w 1945 r. W podziemiach znalazło się nawet hibernakulum dla koczujących tu nietoperzy, niestety choć ofiarnie wytrzymałyśmy wzrok, żadnego nie widzieliśmy. Niska temperatura (12 stopni C), tempo marszu (na dworze czeka setka marzycieli) dostatecznie zachęciło mnie do kolejnych, bardziej szczegółowych penetracji udostępnionych podziemi.

Muzeum w Sosnowcu – przystanek IV

Choć jak powrót do domu, jeszcze do brzo nie weszliśmy, a już gościnni gospodarze uraczyli nas legionową grochówką. Legionową – wszak tegoroczna Noc upłynęła tu pod hasłem „Legiony Polskie w Zagłębiu Dąbrowskim”. Trochę żal, że ominęło nas wspólne śpiewanie pieśni legionowych, było pocić niezwykle wzruszające. Gdybyśmy jednak rozpoczęli wędrówkę od sosnowieckiego Pałacu Schöna, zapewne utknęlibyśmy tu do północy, co uczyniło wielu gości. W zawłóści historii pierwszej wojny światowej na terenach Zagłębia Dąbrowskiego wprowadził nas prof. Dariusz Nawrot, historyk z Uniwersytetu Śląskiego, autor książki pt.: „Z dziejów czynu legionowego. Zagłębie Dąbrowskie w pierwszym roku Wielkiej Wojny 1914–1915”. Zastłuchani w nieznanne fakty, z obrazami zachowanymi z wystawy dojrzelibyśmy do końca naszej kolejnej Nocy Muzeów, wkrótce północ, następne atrakcje dopiero za rok.

MARIA SZTUKA

Zdjęcia: Maria Szuka



Wnętrza Pałacu Mieroszewskich w Będzinie



Wesoła kolejka do Podziemi Będzińskich



„Legiony Polskie w Zagłębiu Dąbrowskim” w sosnowieckim muzeum.

Litera jest cieniem gwiazdy

Tytuł rozprawy Arystotelesa został zapożyczony przez kuratorów Martę Lisok i Jana Trzupka jako nazwa wystawy w katowickiej Gallerii Sztuki Współczesnej BWA. „O powstawaniu i ginięciu” w tym wydaniu jest narracją daleką od tej zapisanej przez starożytnego filozofa. Wymyka się logice, próbie uporządkowania, jest, jak zauważa Marta Lisok, *pełną mamrotania i zająknięciem opowieścią o ograniczeniach języka*. Mimo to, jest to opowieść urzekająca, która we właściwy dla chaotycznej różnorodności współczesnego świata sposób, dopełnia zapisane przed naszą erą rozmyślenia.

Prace artystów z Polski i Czech wykonane zostały w różnych mediach, każda z nich wymaga „rozszyfrowania” wewnętrznego kodu, poświęcenia czasu na próbę zrozumienia zasad jej języka. Słowna interpretacja w wielu przypadkach zawodzi. Odbiorca odczytuje je indywidualnie – skrawki obrazów, urywki zdań, myśli, zapisanych emocji. Ilość odniesień wydaje się być niezliczona, przez co w indywidualnym kontakcie zmieniają swoje znaczenia.

Punktem wyjścia dla twórców wystawy stał się obiekt zatytułowany *Soliloquia* wykonany przez Andrzeja Szewczyka w 1985 r. Ma on formę dużej, masywnej księgi, której karty w całości zostały pokryte szeregami znaków o przypominających mikroorganizmy kształtach. Każdy z nich posiada czarny środek i cienką obwódkę – kontur. Na towarzyszącym pracy filmie możemy zobaczyć zmuśniony proces „zapisu” wykonywanego ręką artysty. Ciemny pokój, oświetlony punktowym światłem lampki, blat stołu i dłonie monotonnie kreślące tuszem znaki. Wypowiedź bez liter, słów, zdań, a jednak dla piszącego niezwykle ważna, czasochłonna, wykonywana z wielką pieczołowitością. *Soliloquia* oznacza rozmowę z sobą samym, często stosowana w dramacie, ma na celu określenie własnej postawy. Jak kiedyś napisał o cyklu ksiąg – obiektów artysty Jaromir Jedliński *Malowanie czy odlewanie „ksiąg” zapelnionych czytelnymi i nieczytelnymi znakami (...) wynika z wiary w możliwość istnienia pisma uniwersalnego, pisma powszechnego dla epok i kultur oraz dla jednostek – pisma dotyku ręki artysty i odcisku jego egzystencji zachowanego w dziele sztuki*. I rzeczywiście te litery – mikroorganizmy, pozwalają ukazać pętlę czasu, wyrażają prawdę o powstawaniu, istnieniu, przemijaniu, ale przede wszystkim o trwaniu. Andrzej Szewczyk pisał w swoich dziennikach: *Jestem oświadczył IDEĄ WIELKIEGO PISMA. To nie jest idea, właściwie jest to życie jako pismo. Cudem jakimś zrozumieć to pismo, życie jako hieroglif. Pismo jest teraz płaczem i smutkiem – to mój dzisiejszy etap. Malarstwo jako sobowtór: obraz sobowtór*.

Podobnego w wyrazie zapisu za pomocą instalacji, dźwięku i video dokonuje na obecnej wystawie Iza Tarasewicz. Odwołuje się do pierwotnych, instynktownie odbieranych części składowych języka takich jak rytm i powtórzenie. Światło z projektora zatrzymuje je na ekranie po-

krytym sprasowanym włóknem konopii, projekcji towarzyszą dźwięki zarejestrowane przez artystkę podczas jej pobytu w Brazylii. Jej osoba nie jest tu jednak już tak ważna i wszechobecna jak w pracy Andrzeja Szewczyka, artystka jest głównie obserwatorem, osobą rejestrującą w subiektywny sposób otaczający świat, a nie konstruującą całkiem nowy zapis.

Praska Grupa Rafani (Zuzana Blochová, Jiří Franta, David Kořínek, Marek Meduna, Luděk Rathouský) prezentuje na wystawie dwie prace. Video „Diabeł starego” ukazuje pejzaż z płynącą w jego centrum rzeką. W tle, w nurcie rzeki, nieruchomo stoi pięć ubranych na czarno postaci. To członkowie grupy. Ich małe, statyczne sylwetki kontrastują z będącym w ciągłym ruchu żywiołem wody. Projekcja rzuca na zbudowaną z desek, pokrytą płótnem, wolno stojącą ścianą. Druga praca zaprojektowana na wystawę przez Rafani to monumentalny znak czarnej gwiazdy, nanoszony przez artystów za pomocą szablonu i farby na długą ścianę Gallerii. Codziennie „przesuwany” jest on o 50 cm i malowany na nowo, a poprzedni zamalowywany cienką warstwą białej farby. Dzięki temu na ścianie tworzy się „gradient” – tonalne przejście od bieli poprzez kolejne odcienie szarości aż do „najnowszej” czarnej gwiazdy, będący zapisem jej „wędrówki”.

Bartek Buczek natomiast podjął temat powstawania i ginięcia w nieco inny sposób. Pokazał pracę „Ekstrakt” – obiekt złożony z dużego, szklanego słoja, w którym w roztworze drożdży, wody i cukru umieszczone zostały zbutwiałe kawałki książki „Zły” Leopolda Tyrmanda. Napisała w latach 50. XX wieku opowieść o swoistym antybohaterze, kultowy „biały krak”, wspomniany w zapiskach również przez Andrzeja Szewczyka, fermentuje w słoju podczas trwania wystawy. W procesie fermentacji powstaje dwutlenek węgla, który usuwany jest poprzez wystającą z wieczka plastikową rurkę. Kolejny proces, kolejna przemiana, dekonstrukcja.

Dorota Buczkowska na otwarcie wystawy zbudowała prostokątny, wertykalny obiekt – totem z wielkich kostek masła. Okres trwania wystawy jest zapisem procesu niszczenia i rozpadu konstrukcji pozornie trwałej, statycznej, odnoszącej się do kamiennych, wielowiekowych obiektów – pomników ludzkiej egzystencji.

Intermedialna praca kolektywu Little Warsaw (Andras Galik i Balint Havas) zatytułowana „Little Warsaw is dead” angażuje odbiorcę do wspólnego zapisu. Tytu-

łowy napis ułożony z żarówek może być, światło po świetle, zapalany i gaszony przez odwiedzających wystawę za pomocą specjalnego stołu z włącznikami. Artyści odnoszą się (zarówno tutaj jak i w swoich poprzednich realizacjach) do procesu rejestrowania historii przez jednostkę, subiektywizmu procesu jej zapamiętywania, odczytywania, korygowania i zawłaszczania.

Animowany film Piotra Bosackiego „Rzeczy oczywiste” ukazuje pomysłowe kadry zbudowane z animowanych przedmiotów, układanych w przypominające elementy maszyn kompozycje. Bawi się połączeniem tekstu i obrazu. Opowiadane jego głosem i ilustrowane historie nie są istotne, nie tłumaczą żadnych sensownych zjawisk, istnieją dla samego istnienia, dzieją się dla „dziania”. Wypowiedane teorie są ważne dla samego potoku słów, dla zabawy, atrakcyjności ich ilustracyjnej formy. Nie da się ich wykorzystywać w innym celu. Jak możemy przeczytać w tekście do wystawy: „Prezentowany film *Rzeczy oczywiste stylizowany jest na ilustrację traktatu filozoficznego o nieznannej proveniencji i chybotliwej logice*.”

W tym „zbiorniku” opowieści znalazło się i miejsce dla anonimowego obrazu pochodzącego z 1841 r. Prawdopodobnie jego przeznaczeniem miała być funkcja strzeleckiej tarczy. Jednak przetrwał, nigdy w takim celu nie użyty. Odnaleziono go w królikarni, gdzie pełnił rolę ścianki. Ukazana została na nim scena upamiętniająca w 1841r wizytę następcy tronu w Broumov w Sudetach. Niektóre jego partie zostały zniszczone, ale na tych, które ocalały, widoczne są przedstawienia osób biorących udział w paradzie grodzkiej straży. Prawdopodobnie niektóre z portretów przedstawiają konkretnych, ważnych wtedy obywateli miasta. Świadectwo czasów, zapis zrozumiały i cenny dla ówczesnych, dziś pozostaje dla nas ukryty. Możemy jedynie snuć domysły.

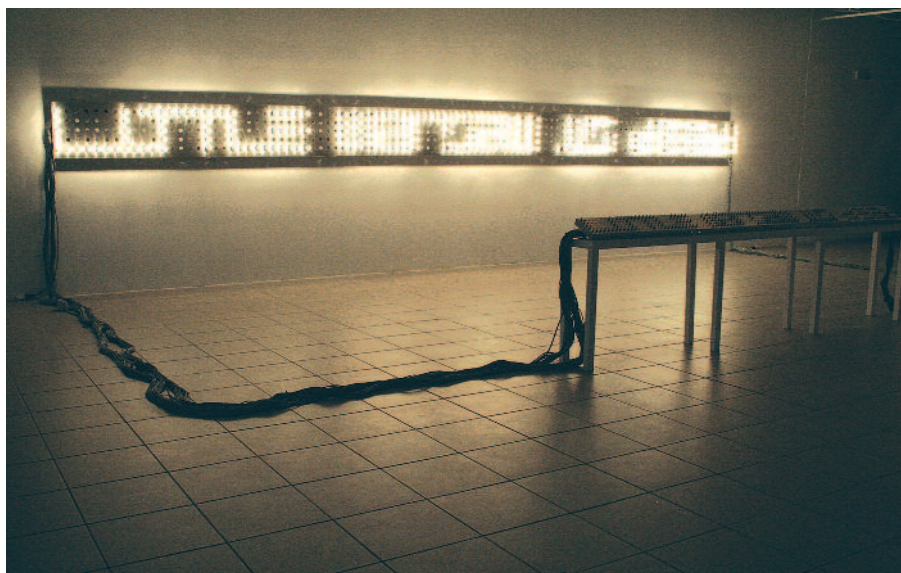
Wystawa „O powstawaniu i ginięciu” nęci, zwodzi, tylko częściowo uchyla rąbka tajemnicy. Warto dać się jej uwieść – to ciekawy i dobrze przemyślany projekt kuratorski. Jako podsumowanie chciałabym odwołać się do fragmentu tekstu „*W poszukiwaniu Straconej Litery*” Andrzeja Szewczyka, który bynajmniej nic nie ułatwia, ale pomaga nastawić się na wrażliwy odbiór prezentowanych na wystawie prac.

To pisanie (to pismo) jest paraerotyzmem, jest czymś bezpośrednio w odniesieniu do jednej osoby; jest może zbliżonym bardzo do tańca. (...) Ruch lub bezruch rąk jest źródłem „liter” naszego języka. Poezję robi się rękoma. Litera jest cieniem gwiazdy.

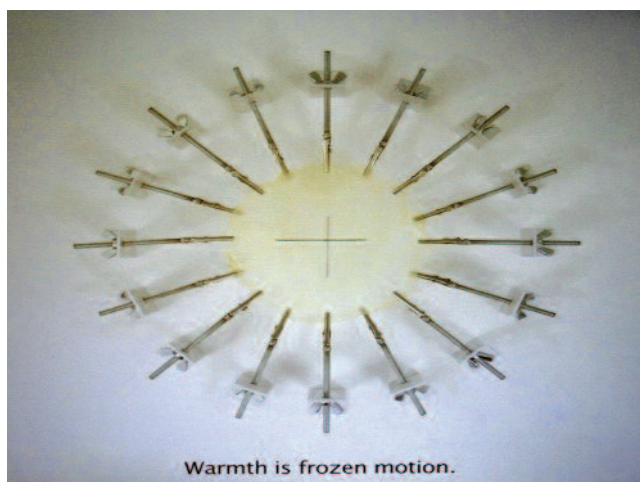
Artyści biorący udział w wystawie: Ewa Axelrad, Piotr Bosacki, Bartek Buczek, Dorota Buczkowska, Paulina Fichta Cierna, Zdena Kolečková, Danisa Lehocká, Little Warsaw, Grupa Rafani, Iza Tarasewicz, Andrzej Szewczyk.

MICHALINA
WAWRZYCZEK-KLASIK

GALERIA
SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ
BWA



Little Warsaw, Little Warsaw is dead, 2008, instalacja



Piotr Bosacki, Rzeczy oczywiste, kadr z filmu animowanego, 2013

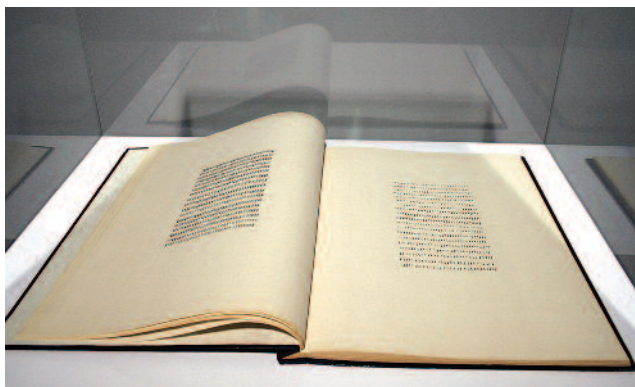
„O powstawaniu i ginięciu”



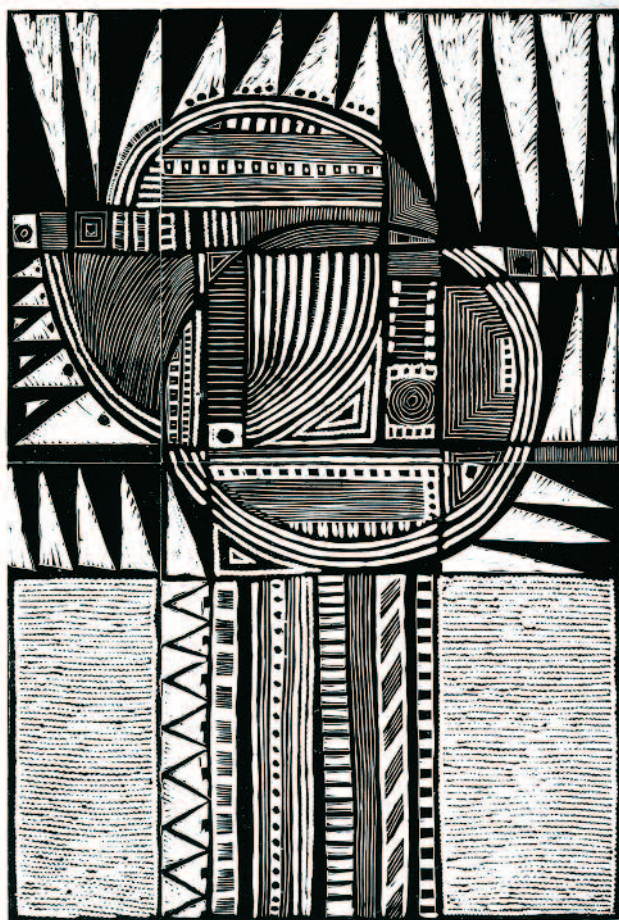
Obraz anonimowy, 1841



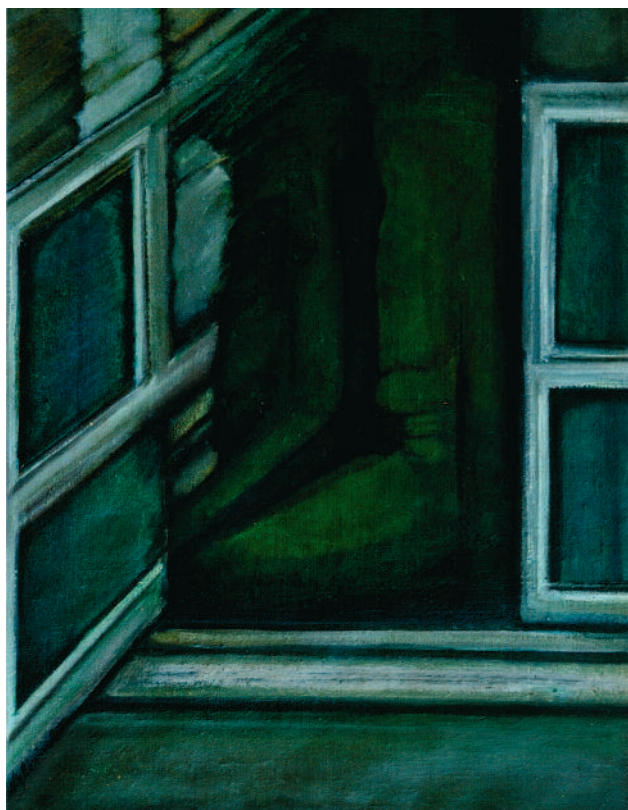
Dorota Buczkowska, Bez tytułu, 2014, obiekt



Andrzej Szewczyk, Soliloquia



Drzewo III, 1964, linoryt, 60 x 40 cm. Własność artysty



Okno, lata 70., olej, płótno, 73,5 x 62,5 cm. Własność artysty

FRANCISZEK WYLEŻUCH

Grafika i malarstwo



Marynarze, 1953, linoryt, 17 x 20,5 cm
Zbiory Muzeum Miejskiego w Tychach



Mozaika na elewacji budynku Tyskiej Spółdzielni Mieszkaniowej Oskard. Projekt i wykonanie Franciszek Wyleżuch, lata 70.

Mozaika i linoryt powróciły do łask. Ta pierwsza zwłaszcza w latach 60, 70. i 80. była sztuką ulicy, obrazem, która wypełniała wnętrza budynków – jak to się zwykło mówić – użyteczności publicznej. Była jak kogut przechadzający się wśród szarych, monottonnych śląskich miast, wśród blokowisk, zatrzymujący się tu i ówdzie, by na wielkich płaszczyznach ścian pozostawić swoje odbicie. Często wykonywane ręką mistrzów – malarzy i grafików. Część z nich przetrwała, ale wiele zniszczono – była przecież mozaika niesłuszną sztuką epoki socjalizmu. Ciekawe, że jak nic dotąd, była – oczywiście nieudolnie – naśladowana w wypaczonej formie, jako ozdoba prywatnych domów. Taka nowomodna sztuka naiwna. Z potłuczonych talerzy i resztek płytek ściennych wyrastały metry kwadratowe bohomaszów. Prawdziwa mozaika doczekała się renesansu – po latach próbuje się ocalić co tylko możliwe. Podobnie rzecz ma się z „muralami” z lat socjalizmu.

A co do mozaiki ma linoryt? Jak pokazują wystawy młodej sztuki, widoczny jest powrót do linorytu adeptów uczelni artystycznych. Jakby mniej grafiki digitalowej, mniej „cyfry”, więcej prawdziwego warsztatu.

Mistrzem obydwu – zarówno mozaiki jak i linorytu był Franciszek Wyleżuch. To, co tworzył znakomicie wpisywało się w krajobraz Tychów, w których mieszka od wielu dziesiątek lat. Tychy – miasto nowoczesnych koncepcji architektonicznych i artystycznych eksperymentów idealnie nadawało się do bycia polem doświadczalnym dla młodej sztuki. Mozaika była wszechobecna. Linoryt z kolei był tą postacią grafiki, przy pomocy której Franciszek Wyleżuch konstruował swoją wizję artystyczną miejsca, w którym żył. Początkowo miękka kreska przerosła się w zdecydowane ostre cięcia dłuta, jednoznaczne gesty, czerń i biel – to był klimat tamtego czasu. I wieżowiec i drzewo na linorytach z początku lat 60. łączy geometria – pion, poziomy, koła, trójkąty, kwadraty. Drzewa mają w sobie coś z kół kopalnianych wież wyciągowych czy trybów gigantycznej maszyny, a wieżowiec to matematyczne konstrukcje. Nawet słońce na jednej z grafik to czarna plama zamknięta w kole. Próżno szukać w tych pracach miękkości czy światłocienia. Ale jest w nich swoiste piękno – poukładane, regularne, zaskakujące.

Mozaika zdaje się być najbliższa właśnie linorytowi. Są jak „pokolorowane” grafiki, a każdy z linorytów mógłby stać się mozaiką. Lata 70. przynoszą zmianę kreski – ztraca się wyrazistość na rzecz form łagodniejszych – kolistych, fali-



Franciszek Wyleżuch

Sztuka w przestrzeni miasta

stych. Tę zmianę widać również w linorycie. Zawsze bliska Franciszkowi Wyleżuchowi była tematyka morza – we wczesnych latach 50. powstały m.in. *Rybacy* i *Marynarze*. Z biegiem lat powraca do swych wczesnych fascynacji. Uwidacznia się to zarówno w mozaice jak i grafikach. Z biegiem lat grafiki stają się coraz bardziej malarskie, coraz więcej w nich anegdoty, opowieści, detalu, pojawia się też kolor. Franciszek Wyleżuch zwraca się ku tematyce ekologicznej, w tym czasie mocno obecnej w sztuce – zwłaszcza grafice i fotografii. Spękana śląska ziemia, zasnuć dymem niebo, niszcząca, umierająca przyroda.

Od owych malarskich w swych wyrazie grafik niedaleko już do malarstwa. Pojawia się pejzaż, którego w grafikach nie było. Sielskie pejzaże (czy zapamiętane z rodzinnego Strumienia?) przetworzone ręką artysty stają się wyraziste, „gęste”, z nawarstwioną farbą kładzioną szerokimi pasmami w różnych kierunkach. Statyczny krajobraz staje się dynamiczny, niespokojny, z ukrytymi gdzieś w jego wnętrzu ludzkimi domostwami. Są jakby zatarty obraz z młodości, obraz zapamiętany przenicowany nową, graficzną, miejską estetyką. „Graficzne” malarstwo ujawnia się szczególnie w niektórych pracach cykli *Okna* i *Drzwi*. Zachowane w tonacji zieleni od rozbielonych po graniczącą z czernią, nieznacznie wprowadzo-

ne odcienie pochodne – niebieskie zwłaszcza w prześwitach okiennych. Mógł Franciszek Wyleżuch w tych obrazach łączyć to, co geometryczne z lat wcześniejszych z miękkością pędzla. Na wpół otwarte okna i drzwi ukazują wnętrza – zrytmizowane i uporządkowane. Jedynie to, co ujrzymy poprzez okno, znów staje się nieuporządkowanym chaosem, przyrodą, która ocalała.

Na twórczość Franciszka Wyleżucha – zarówno mozaiki jak i linoryty można spojrzeć jak na plakaty – bowiem i ta dziedzina sztuki w owych czasach królowała na ulicach polskich miast. Mozaika była i obrazem, i plakatem, znakomicie współgrającym z architekturą i przestrzenią publiczną, w której funkcjonowała. Cenne w tamtym czasie było to, że przestrzenie oddawano w ręce artystów wywodzących się z katowickiego Wydziału Grafiki ASP w Krakowie. Dawało to możliwość istnienia nie tylko w zaciszu pracowni czy elitarnych wnętrzach galerii, ale było sposobnością do wyjścia na zewnątrz, do zaistnienia sztuki w zwyczajnej codzienności. Z dzisiejszej perspektywy można nieco pozazdrościć artystom tamtego czasu, że ich plakaty widoczne były w gablotach instytucji kultury, na każdym słupie ogłoszeniowym. Bez plakatu, który wy-

szedł spod ręki artysty nie obydła się w zasadzie żadna impreza – od artystycznych począwszy na technicznych kończąc, a nawet imprezy propagandowe jak niechlubne pierwszomajowe pochody czy 22-lipca (bo w zasadzie po to ten wydział został powołany do życia, a że opuścił go tak wielu znakomitych artystów, to już zupełnie inna sprawa). Każdy czas – jak widać – ma swoją sztukę ulicy. Dziś nazywamy ją street artem, zachwycają nas murale, które również giną wraz z huszczącymi się murami, bądź potraktowane spychaczem.

Tychy były miastem szczególnym – zaprojektowane, wykoncypowane, znakomicie asymilowały awangardową sztukę tamtego czasu. Franciszek Wyleżuch ma w tym tworzeniu swój wydatny udział.

Prace Franciszka Wyleżucha można oglądać w Muzeum Miejskim w Tychach do końca września tego roku. Ale można też rozejrzeć się po Tychach i jeszcze wielu innych miejscach na Śląsku – a informuje o nich towarzyszący wystawie katalog.

WIESŁAWA KONOPELSKA

Franciszek Wyleżuch. *Grafika i malarstwo*. Wystawa w Muzeum Miejskim w Tychach. Maj – wrzesień 2014.

23 kwietnia zagrali w Sali Koncertowej Polskiego Radia w Katowicach goście Instytucji „Silesia” przybyli z Krakowa: wybitna klawesynistka Elżbieta Stefańska oraz współpracujący z nią młodzi instrumentalisci: grająca również na klawesynie „japońsko-polska” artystka Mariko Kato, skrzypczka Anna Śliwa oraz flecista Tomasz Potaczek. Muzycy grali na instrumentach historycznych (Anna Śliwa zaprezentowała się także w roli altowiolistki).

W programie były dzieła z pogranicza baroku i klasycyzmu, autorstwa Carla Philippa Emanuela Bacha, Wolfganga Amadeusza Mozarta oraz mało znanego czesko-niemieckiego kompozytora Johanna Baptisty Vanhala. Piszę „czesko-niemieckiego”, bo tak kwalifikowano w XVIII – czy XIX-wiecznych Czechach pod względem narodowości twórców urodzonych na ziemiach czeskich, mówiących językiem niemieckim, a działających w kilku ośrodkach Europy Środkowej, należących do Monarchii Habsburskiej lub też do Rzeszy Niemieckiej. Sami Czesi nigdy nie używali w stosunku do swoich artystów określenia „austriacki”; później wprowadzili, jako pozycję „czesko-niemieckiego” określenie „czesko-słowiański” – zarezerwowane jednak dla tych, którzy mówili już (i myśleli) po czesku. Redakcja prestiżowej encyklopedii „Musik in Geschichte und Gegenwart” proponuje, by w ogóle pomijać kwestię narodowego pochodzenia kompozytorów i chyba ma rację.

Wracając do programu – pomyślano go jako kolejną prezentację poszczególnych instrumentów: skrzypiec, altówki, fletu i klawesynu w różnych konfiguracjach obsadowych.

Rozpoczęła go *Sonata g-moll* C.Ph.E. Bacha wykonana w wersji na klawesyn ze skrzypcami. Po niej zabrzmiała w wykonaniu obu klawesynistek młodzieńcza *Sonata D-dur* Mozarta, w oryginale napisana na pianoforte, czyli starszego krewniaka fortepianu. Środkową pozycję programu stanowiło *Duetto G-dur* C.Ph. E. Bacha na flet i skrzypce, następnie grano *Sonatę G-dur* Vanhalla na flet i klawesyn. W finałowych 6 sonatach C.Ph. Bacha usłyszeliśmy popis altówki barokowej, fletu i klawesynu. Był jeszcze bis – *Marsz turecki* Mozarta opracowany przez Elżbietę Stefańską na klawesyn, flet i skrzypce, w której to wersji zabrzmiał niezwykle efektownie – jaskrawo, hucznie, iście po turecku.

Koncert słowiański w NOSPR

Na program koncertu, który odbył się w Sali im. Fitelberga 9 maja złożyły się utwory: polski (*Kołysanka* Andrzeja Panufnika), rosyjski (*Symfonia koncertująca* op. 125 na wiolonczelę i orkiestrę Sergiusza Prokofiewa) i czeski (*VI Symfonia* Antonina Dwořáka). Takie programy niedługo nazywano słowiańskimi – dziś ta na-



zwa wyszła z użycia jako nieco „obciachowa” – kojarzy się bowiem z „braterstwem ludów” obowiązkowo głoszonym w czasach komunizmu. Dziś wydaje się nam wręcz szokujący fakt, że Zygmunt Latoszewski inaugurował działalność Filharmonii Krakowskiej 1 maja 1945 roku właśnie koncertem „słowiańskim” i to „wielkim”. Grano wówczas, poza utworami polskimi, poemat *W stepach Azji Środkowej* Borodina i uwerturę do *Sprzedanej narzeczonej* Smetany. Majstersztyk poprawności politycznej, łącznie z błędnym wyciemieniem eurazjatyckiego kierunku polityki Stalina! Tylko że Latoszewski był autentycznym słowianofilem i podobne programy realizował już przed wojną (w Poznaniu). Jeśli bliżej przyjrzymy się kwestii socrealizmu (nie tylko w muzyce), raz po raz odkrywamy, że „to samo było przed wojną”, a sam socrealizm pojęty jako doktrynalna twierdza ufundowana w czasach stalinowskich jakoś maleje, niemalże się rozplywa w nicności. Chciałoby się powtórzyć za Władysławem Malinowskim: „Socrealizm? Co to właściwie było?” Już wiemy, że w marksistowskim przebraniu żyła sobie zarówno w Polsce, jak i w ZSRR w latach 50. w najlepsze twórczość będąca kontynuacją stylu przedwojennego, doskonale zakorzeniona w artystycznej glebie uprawionej przez kilka pokoleń twórców XIX-wiecznych. Co więcej, owo zakorzenienie zostało przez nową doktrynę uprawomocnione, jako postulowany „realizm” muzyki socjalistycznej. Ów realizm utożsamiono bowiem z tradycjonalizmem, wzmacniając koncept nawiązaniem do romantycznej idei narodowej, tej łączonej z folklorem. Muzyka zachowawcza, jako czynnik postępu – to jedna z wielu aporii, które wniosł realizm socjalistyczny. Jej ilustracją jest dla mnie *Kołysanka* Panufnika (jeszcze się w tym roku nasłuchamy się utworów tego kompozytora, wszak to Rok Panufnika – w stulecie urodzin). Utwór jest zadziwiający: ponad urokliwą grą „faktor chromatycznych”, jak by powiedział kolega Gołąb (chodzi o „migotliwe” faktury z wyeksponowanym czynnikiem brzmieniowym, których ojcem

jest Debussy) rozpięta jest linia smyczków, podająca w dość łopatologiczny sposób swoją melodię ludową. W całości, od początku do końca, i znowu od początku... Szymanowski by się skrzywił. Nie lubił tej wersji neoklasycyzmu, którą realizowali jego „wyznawcy”, do których grona należał Panufnik już jako student warszawskiego konserwatorium. Najbardziej jednak zadziwiające jest w *Kołysance* użycie smyczkowych ćwierćtonów, które „dobawiają” ową warstwę „migotliwą”. Z powodu użycia owych nowatorskich środków Panufnik został okrzyknięty „prorokiem” tak zwanej „polskiej szkoły kompozytorskiej”, której twórcy poświęcili się właśnie (w latach 70. XX wieku) eksperymentom brzmieniowym (w Polsce nazwano to „sonoryzmem”). Ale przecież użycia ćwierćtonów nie musiał Panufnik „prorokować” w owym roku 1948, kiedy powstała *Kołysanka*. Już trzydzieści lat wcześniej rozpropagował ten koncept czeski kompozytor Alois Hába. Prowadził on przed wojną w Pradze klasę kompozycji, której specjalnością było komponowanie z użyciem mikrotonów. Przez tę klasę przewinęło się wielu twórców z Europy Środkowej. Sam Hába pojawiał się w Polsce osobiście między wojnami (bliskie kontakty łączyły go z lwowskim dodekafonistą Józefem Kofflerem), publikował też po polsku swoje teksty programowe. Dla mnie jest *Kołysanka* lekcją odrobioną według Háby, ale w myśl nowych „zasad”. Zresztą solidnie, a nawet błyskotliwie.

Inną lekcję współzycia z socrealizmem, czy też życia obok niego, daje nam Prokofiew. Niedługo się niepokorny „futurysta”, od lat 30. XX wieku pisze utwory na cześć Stalina, a obok tego raził rodaków lirycznymi, ciepłymi baletami-bajkami. Podczas wojny emigruje wewnętrznie, pisząc tragiczne sonaty fortepianowe. Po wojnie znów jest po stronie swego kraju. Powstaje kolejny balet-bajka (*Kopciuszek*), a ponadto szereg utworów instrumentalnych, w których wykorzystuje kompozytor podobne jak w baletach modele muzyczne i podobne „klimaty”. Wśród tych utworów jest kilka z użyciem wiolonczeli – Prokofiew przyjaźni się bowiem wówczas z wybitnym i niepokornym wiolonczelistą Mściśławem Rostropowiczem, który w 1970 roku podpisze list wystosowany przez intelektualistów radzieckich w obronie przesładowanego przez reżim pisarza Aleksandra Solżenicyna... Jak daleko jest od *Kopciuszka* do *Symfonii koncertującej*? Muzycznie – bardzo blisko. A ideowo? Wybitny filozof muzyki Peter Kivy poucza nas, byśmy nie „pytali” utworów muzycznych o postawy ich twórców. Bo „muzyka jest (tylko) o niej samej”.

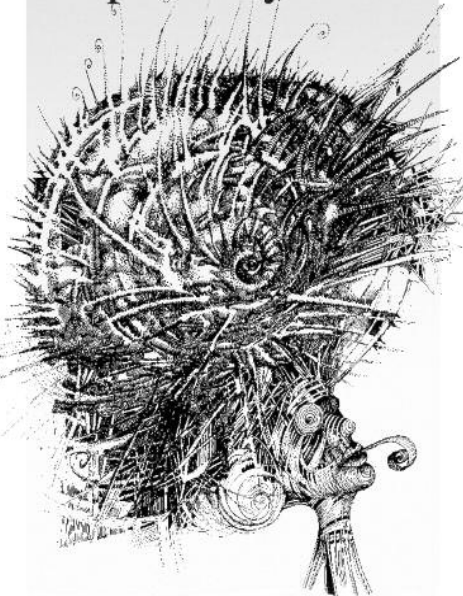
Omawianym koncertem dyrygował Christoph Campestrini, solistką w utworze Prokofiewa była Chiara Enderle – oboje młodzi i bardzo utalentowani. Drugą część koncertu wypełniła *VI Symfonia* Dwořáka, o której ideowości na szczęście nie musimy się już martwić.

Niedaleko Zdieszowic i Góry Świętej Anny leży Żyrowa, a tamtejsza Publiczna Szkoła Podstawowa od wielu lat nosi imię polskiego językoznawcy, wybitnego badacza polszczyzny śląskiej, długoletniego kierownika Katedr Języka Polskiego na Uniwersytecie Wrocławskim i w Wyższej Szkole Pedagogicznej (dziś Uniwersytecie) w Opolu – prof. Stanisława Rosponda (1906-1982). Nauczyciele i młodzież tej szkoły – pod przewodnictwem swej dyrektorki mgr Helgi Bieniუსy – często przyjeżdżają do Wrocławia. Udają się najpierw na cmentarz Grabiszyński, by złożyć kwiaty na grobie swego Patrona. Potem odwiedzają jego rodzinę na Oporowie (jedna z ulic tej dzielnicy nosi imię Stanisława Rosponda), na koniec zaś przyjeżdżają do mnie na plac Nankiera 15, bo jestem nie tylko wychowankiem wielkiego uczonego, ale i urzęduję w jego dawnym gabinecie, w budynku zwanym przez wszystkich „Rospondówką”, z pamiątkową tablicą na elewacji i zdjęciem Profesora w tymże moim pokoju.

W czasie ostatniej wizyty żyrowianie obdarowali mnie niezwykłym prezentem – napisaną gwarą pracą uczennicy Dominiki Posid pt. *Ło Patrónie naszymy szkoły i jego uczniu*, która zachwycała nie tylko jurorów XIX Regionalnego Konkursu *Ze Śląskiem na ty* w Lubnianach, ale i dla mnie stała się swoistym, syntetycznym podręcznikiem opolskiego dialektu śląskiego. Kiedy czytam ten tekst, zdaje mi się, że słyszę swoją pierwszą nianię z wczesnego dzieciństwa, która też spod Góry Świętej Anny pochodziła, albo któregoś z opolskich uczestników corocznego konkursu gwarowego „Po naszymu, czyli po śląsku”.

Na frekwencyjne przodownictwo wybija się typowa dla Opolszczyzny wymowa dawnego długiego „a”, w większości gwar artykułowanego jak „o”, w postaci „oł” – i to w każdej pozycji wyrazowej: *łolt*, *szkolotrze*, *goldka*, *goldać*, *zapollic*, *zocłny*, *nołs*, *znodli*, *takoł*, *zapollyli*, *kołždy*, *miyszkoł*, *ulubiónoł*, *łokazyjoł*, *łokolzało sie*, *stowół*, *wrołcoł*, *kalyndotrze*, *dołwni*, *tak zwanoł*, *wielkoł*, *wtoroł*, *dołwno*, *łod dołwiyń dołwna*, *ślimok*, *nojlepszoł*, *kiepskoł*, *moł* – „łot, szkolorze, godka, godać, zapollic, zocny, nos, znodli, tako, zapollyli, kołždy, miyszko, ulubiono, łokazyjoł, łokolzało sie, stowół, wrołcoł, kalyndorze, downi, tak zwano”,

Śląska ojczyzna polszczyzna



JAN MIODEK

Goście z Żyrowej

wielko, wtoro, downo, łod dowiyń downa, ślimok, nojlepszo, kiepsko, mo”.

Mamy też charakterystyczne na Śląsku Opolskim „a nosowe”, odpowiadające XIV-wiecznemu stanowi polszczyzny, kiedy nie było pierwotnych i obecnie funkcjonujących „e nosowego” i „o nosowego”: *czansto*, *kans*, *bandzie*, *radujam sie* – „często, kęs, będzie, raduję się”.

Po rz – dawnym „miękkim r” – utrzymuje się obecne we wszystkich śląskich gwarach „i”: *przijechałi*, *przijadamy*, *przijyni*, *przijón*, *przi-cióngli* – „przyjechali, przyjadamy, przyjyni, przyjon, przyciągli”.

Nie dziwią także typowo śląskie formacje słowotwórcze: *colki* „cały”,

nojstarsi „najstarsi”, *nojważniejszy* „najważniejszy”, *wielgi* „wielki”, *pedzieć* „powiedzieć”, *wypedzieć* „wypowiedzieć”, *gorki* „gorący”, *wtory który* „piyrywj „najpierw”, *węzła se* „wzięła się”, *lepszi* „lepiej”, *spomnieć* „wspomnieć”, *wiela* „wiele”, *dołwni* „dawniej”, *wilgły* „wilgotny”, *abo* „albo”.

W drugim przypadku liczby pojedynczej deklinacji przymiotnikowej pojawia się w rodzaju żeńskim końcówka *-i*, *-y*: *z naszymy szósty klasy*, *naszy szkoły*, *naszy ślónski goldki*, *w naszymy wyższy szkole*, *łod pobliski góry* – „z naszej szóstej klasy, naszej szkoły, naszej śląskiej godki, w naszej wyższej szkole, od pobliskiej góry”.

Nie mogło zabraknąć w pracy Dominiki Posid śląskich postaci wyrazowych, takich np. jak *trefiół* „wypadło”, *trefiół sie* „zdarzyło się”, *bajtł* „dzieci”, *szkolotrze* „uczniowie”, *porzykać* „pomodlić się”, *kaj* „gdzie”, *cera* „córka”, *wele* „koło, około, blisko”, *sila* „dużo, wiele”, *moc* „wiele”, *niywiasta* „żona”, *bez to* „dlatego, przez to”, *kamrat* „kolega”, *kafej* „kawa”, *wczas* „wcześnie”, *na bezrok* „na przyszły rok”, *maszkyty* „smakołyki, słodczy”, *łobleczoney* „ubrany”, *szwarny* „ładny, przystojny”, *zakłudziol* „zaprowadził”, *drap* „szybko”, *baje* „będzie”, *zajś* „znów, znowu”.

Z leksykalnych wyraźnych germanizmów przywołajmy: *genau* „akurat, dokładnie”, *cug* „pociąg”, *banhof* „dworzec kolejowy”, *fest* „a fest „bardzo, bardzo”, *richtik* „rzeczywiście, naprawdę”, *nudelzupa* „zupa z makaronem”, *hausbak* „domowe ciasto”, *tej* „herbata”, *ancug* „garnitur”, *ślips* „krawat”, *gyszynk* „prezent”, *frojndlich* „przyjazny, przyja-cielski”.

Najbardziej zaś mnie rozculił passus rozwijający etymologię nazwy *Śląsk* od plemienia *Ślężan*, którzy mieszkali nad rzeką *Ślęzą*, kryjącą w sobie stary rdzeń *ślęg/śląg* „wilgotny, mokry, ciekły”. Napisała młoda żyrowianka: „Dowiedzieli my se tyż, że do dzisiej moc ślónskich słów, co majóm tyn trzónek (czyli „rdzeń”), co znaczy „mokri, wilgły, łoślizły”, idzie trefić w naszymy ślónsky goldce. Profesor pedzieli, że jak padało na dworze, to jego mama czansto goldała: *Ale dzisiej ślóngwa* albo *Ale dzisiej ślympi*. A jak chcymy pedzieć, że my zmokli, to godomy, że my *oślyngli*”.



Lasy były z nami od zawsze. Chroniły ludzi, żywiły, leczyły, uczyły mądrości trwania. Obecnie ubywa ich w zastraszającym tempie. Są zagrożone jak nigdy dotąd. Co roku z powierzchni Ziemi znikają kolejne miliony hektarów! Nie są więc lasy dobrem oczywistym, choć najpotrzebniejszym na świecie. Do życia. Dla obecnych i przyszłych pokoleń. Musimy to wiedzieć!

To dlatego w dziesięcioletniej działalności Fundacji Ekologicznej Arka edukacja leśna zajmuje wyjątkowe miejsce. Prowadzona od początku z Lasami Państwowymi, zaangażowała dotąd miliony Polaków. Najwięcej tych najmłodszych. Jednym z jej ostatnich przedsięwzięć była kampania pn. „Las – mamy szczęście”.

Jaki jest związek pomiędzy szczęściem i lasem?

Dla Wojtka Owczarza, założyciela Arki i pomysłodawcy tej kolejnej leśnej kampanii jest on oczywisty. W pędzącym i niepewnym świecie poszukujemy prawdziwego oparcia. Często są nimi niezmienne, pokoleniowe wartości. Taki pomocny punkt odniesienia w chwilach zatracenia, zmęczenia, ciężkiego oddechu w zanieczyszczonych miastach czy zabójczego stresu. Często bywa nim w Polsce otwarty szeroko dla ludzi – las. Z bogatą przyrodą, czystym powietrzem, źródlaną wodą, ciszą i niezwykłym pięknem. I ze wszystkimi jego, często nie do końca uświadamianymi – pożytkami.

Impulsem dla tej kampanii było przypadające w tym roku dziewięćdziesięciolecie Państwowego Gospodarstwa Leśnego – Lasy Państwowe. Zdaniem Adama Wasiaka, dyrektora generalnego PGL – LP, ten jubileusz jest doskonałą okazją, by przypomnieć rodakom – za co kochamy polskie lasy? A najmłodszych z nich, przedszkolaków i uczniów zainteresować na całe życie wielką księgą mądrości i niezwykłych pożytków, płynących z lasu. Wszystkich natomiast zaprosić na łono leśnej natury, na zdrowy wypoczynek. W tym celu Lasy Państwowe przygotowały jubileuszowe, atrakcyjne, wydawnictwa edukacyjne. Za pośrednictwem Fundacji Ekologicznej Arka docierają już one do czterech tysięcy szkół. I służą nauczycielom oraz uczniom jako impuls do przygotowywania happenin-gów, widowisk, pochodów, wystaw i konkursów oraz w porozumieniu z lokalnymi nadleśnictwami – najbardziej oczekiwanych leśnych wycieczek.

Pomysłów miłośnikom lasu w szkołach i przedszkolach nigdy nie brakowało. Zwłaszcza że każda nowa kampania Arki, przyciąga nie tylko atrakcyjnym tematycznym widowiskiem, ale i swoją interaktywnością i nowoczesnymi działaniami edukacyjnymi.

Mamy las, mamy szczęście!



Wojciech Owczarz, prezes Fundacji Ekologicznej Arka prowadzi warsztaty leśne przy ul. Mariackiej w Katowicach.

Tak też było podczas inauguracji kampanii „Las – mamy szczęście” w czterech polskich miastach. W centralnych miejscach Warszawy, Poznania, Torunia i Katowic w drugiej połowie maja br. uczniowie szkół podstawowych stawiali instalacje leśne z ogromnych makiet drzew, najczęściej występujących w polskich lasach. Pośród nich ośmioboki leśne z zespolonych tablic do samodzielnego uzupełniania. To podstawowe narzędzie ulicznych warsztatów uczniowskich, często z udziałem przechodniów, sprzyjało rozmowom o otwartości polskich lasów dla ludzi, coraz popularniejszej turystyce leśnej, jego pożytkach, ale i zagrożeniach. Tych naturalnych jak kłęski żywiołowe, ale i o obawach, związanych z prywatyzacją lasów.

W Katowicach, takie warsztaty odbyły się 21 maja br. przy ulicy Mariackiej, z udziałem m.in. uczniów z katowickiej Szkoły Podstawowej nr 10.

Czego się można było na nich dowiedzieć?

Wbrew globalnym tendencjom, lasów w Polsce przybywa. Po II wojnie światowej leśność w Polsce wynosiła zaledwie 21 procent, obecnie zbliża się do 30 procent. W 2050 roku będą one rosły na jednej trzeciej powierzchni naszego kraju.

To ważne. Lasy mają przecież największy udział w ochronie klimatu. Te polskie zmagazynowały już ponad miliard ton dwutlenku węgla. I pochłaniają go dalej w ogromnej ilości. Tylko jeden hektar lasu jest w stanie wchłonąć w ciągu roku aż 200 ton tego gazu, odpowiedzialnego za podgrzewanie naszej planety. Czyli kilkakrotnie więcej niż inne tereny zielone, jak choćby, rolnicze. Jest tylko jeden warunek. Las musi być w dobrej kondycji!

Lasy Państwowe są od początku powstania gospodarstwem samofinansującym

się i dobrze zarządzanym. To wyjątkowy w Europie model administrowania terenami leśnymi, których nie wspiera budżet państwa. Cała ich działalność, związana z ochroną lasu, jego hodowlą, pielęgnacją, udostępnianiem dla turystyki i edukacji, jest finansowana z pieniędzy za sprzedaż drewna.

Nie znaczy to, że polskie lasy tnie się na potęgę. Tylko zgodnie z planami ich zagospodarowania. Pierwszym celem tej gospodarki jest zachowanie lasu w dobrej kondycji. Dla obecnych i przyszłych pokoleń. Dlatego trzeba go nie tylko pielęgnować, sadzić młody las (każdego roku przybywa w nim pół miliarda sadzonek!), ale przede wszystkim chronić. Przed presją cywilizacji, kłęskami żywiołowymi, szkodnikami, pożarami (w roku 2012 odnotowano ich aż 9 tysięcy w kraju!!!), ale i... podpalaczami, kłusownikami, złodziejami drewna, a nawet tymi, którzy wyrzucają tu śmieci.

W ostatnich dekadach leśnicy kształtują las coraz bliżej scenariuszy samej natury. Pozostawiają w nich więcej samosiejek, ale i martwych drzew, które wzbogacają leśną bioróżnorodność. Inaczej też zagospodarowują skraje lasu. W taki sposób, by w zetknięciu z cywilizacją nie ginęły leśne zwierzęta i jak najmniej cierpiała „graniczna” przyroda.

W dzisiejszych lasach drzewa żyją dłużej. Najwięcej jest tych w przedziale od 40. do 60. lat. Na drugim miejscu tych do lat 80. Zaraz za nimi są pod względem ilości, drzewa stu i ponad stuletnie.

Wśród gatunków leśnych dominują: sosny (ponad 61 proc.), w dalszej kolejności dęby (7,7 proc.), brzozy (6, 8 proc.), świerki (6,2 proc.), buki (5,8 proc.). Mniej niż buków jest olch. Jeszcze mniej dorodnych jodeł, które z pozostałym iglastymi nie przekraczają 4 proc. leśnych drzewostanów.

Las polski ze swoją bogatą różnorodnością jest największą szkołą edukacji ekologicznej. Leśnicy prowadzą tu regularne zajęcia w 50. leśnych ośrodkach edukacji ekologicznej oraz na 935 ścieżkach dydaktycznych. Do dyspozycji zainteresowanych jest też ponad 500 wiat edukacyjnych oraz leśnych izb, w których odbywają się niekonwencjonalne lekcje ekologii.

Imponuje również baza turystyczna. To 22 tys. kilometrów szlaków pieszych, 4 tys. km szlaków rowerowych, 3 tys. parkingów leśnych oraz 500 pól biwakowych.

Najcenniejszą jest oferta samej przyrody (1481 rezerwatów!), nad której ochroną czuwają nie tylko leśnicy, ale i najpotężniejszy jej symbol czyli żubr! Tych majestatycznych zwierząt żyje na świecie tylko trzy tysiące. Z tej liczby w Polsce – 1200 sztuk. To globalny rekord. W dużej mierze polskich leśników.

JOLANTA MATIAKOWSKA

Energia drożeje. Tania jest tylko ta oszczędzona. Można to dokładnie policzyć. Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach czyni to od lat. Konsekwentnie, niemal od początku swojej działalności. W największej skali preferencyjnie dofinansowuje przedsięwzięcia, związane z ochroną atmosfery. Nie bez przyczyny. Powietrze bezustannie zanieczyszczamy i... podgrzewamy. Równocześnie zatruwamy środowisko, niszczymy klimat i własne zdrowie.

Dlatego niezmiennie na czele listy priorytetowych przedsięwzięć do wsparcia przez WFOŚiGW w Katowicach znajdują się zadania, związane z ograniczeniem emisji zanieczyszczeń (także tej niskiej z domowych palenisk). W ostatnich latach dołączyły do nich te skutecznie zwiększające efektywność energetyczną.

Najwięcej energii, wbrew powszechnym opiniom, zużywa nie przemysł, i nie transport, lecz budownictwo. W Unii Europejskiej budynki pochłaniają aż 40 procent całej jej puli. I najwięcej też tracą podczas eksploatacji. Ciepło ucieka przez dachy, ściany stropy, nieszczelne okna, z powodu ich złej izolacji, nieodpowiedniego kształtu czy usytuowania. Powodów jest więcej. Im budynek starszy, tym więcej potrzebuje ciepła.

Zgodnie z unijnym prawem, za sześć lat wszystkie nowo wybudowane budynki muszą spełniać warunki niemal zeroenergetycznych. W Polsce jest to zadanie niewykonalne. Dziś w naszym kraju zużycie energii w budynkach, w przeliczeniu na ich metr kwadratowy, jest pięciokrotnie większe niż w krajach starej Unii Europejskiej. Taryfy ulgowej dla naszego kraju Wspólnota Europejska nie przewiduje. Polska do tych wymagań prawnych musi się w wymagany czas dostosować.

W połowie sierpnia ubiegłego roku zostało opublikowane w tej sprawie rozporządzenie Ministra Transportu, Budownictwa i Gospodarki Morskiej z 5 lipca 2013 r., zmieniające warunki techniczne, jakim powinny odpowiadać budynki i ich usytuowanie. Nowe przepisy zaczynają już częściowo obowiązywać. I będą zaostrzane stopniowo. Od 2017 i 2021 roku.

Zarówno w kontekście tych wymagań, ale i ogromnych zanieczeń w starej substancji mieszkaniowej, zadania przed polskim budownictwem są ogromne. Jeszcze trudniejsze, wobec braku proekologicznej, systemowej polityki energetycznej, będzie opanowanie niskiej emisji zanieczyszczeń, powstających w wyniku spalania najtańszych, a więc i najbrudniejszych paliw węglowych w przestarzałych piecach i kotłach. Nierzadko też śmieci.

W tej dziedzinie pilnie potrzebne są prawnie usankcjonowane rozwiązania systemowe. Szczególnie w kwestii produkcji określonych, czystszych gatunków tych paliw oraz ich cen. Lepsze paliwo węglowe musi być dostępne także dla prze-

To się opłaca!



ciennie zarabiających. Wolny rynek tego problemu nie rozwiąże! Chyba że metodą przecięcia węża gordyjskiego czyli po krakowsku – zaplanowanym, nierealnym w naszych warunkach zakazem korzystania z surowego węgla.

Katowicki Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej na likwidację niskiej emisji przeznaczył od początku swojej działalności największe, wielomilionowe kwoty. Ma swoje sukcesy. Ale do uporania się z tym problemem daleka droga. Nawet jeśli we współpracy z bankami, wybranymi w przetargu, dalej będzie poszerzał i doskonalił swoją ofertę. Nie tylko dla samorządów i przedsiębiorstw, ale i dla osób fizycznych.

Pierwszą linię kredytową WFOŚiGW w Katowicach uruchomił w 1997 roku z przeznaczeniem na rozwiązania energooszczędne, wpływające na poprawę jakości powietrza. Do końca 2013 roku w ramach ekologicznych linii kredytowych jego beneficjentom wypłacono ponad 114 mln złotych. Za te pieniądze, przekazywane na podstawie zawartych umów oraz osiągniętych przez beneficjentów efektów ekologicznych, udało się zmniejszyć emisję zanieczyszczeń do atmosfery, liczoną w tysiącach ton.

Nadal wsparcie dla zadań ochrony powietrza od lat cieszy się największym zainteresowaniem. Obecnie na szczególną uwagę zasługują dwie linie kredytowe, uruchomione w tym celu dla osób fizycznych. Także dla prowadzących działalność gospodarczą oraz wspólnot mieszkaniowych.

Pierwsza linia kredytowa katowickiego Funduszu... pn. „Ograniczenie emisji zanieczyszczeń do atmosfery” obsługiwana jest przez Krakowski Bank Spółdzielczy i Bank Spółdzielczy w Raciborzu. Wysokość dofinansowania kredytowego zadania z tej dziedziny nie może jednak przekroczyć 300 tys. złotych. Preferencyjny kredyt może objąć budowę, modernizację lub wymianę na bardziej efektywne

ekologicznie i energetycznie systemy grzewcze oraz technologie, przeznaczone do ogrzewania pomieszczeń, podgrzewania wody i wytwarzania ciepła. Także budowę systemów z udziałem niekonwencjonalnych źródeł energii oraz rozwiązania techniczne, zmniejszające straty ciepła w obiektach sprzed 1993 roku.

Druga linia pn. „Dom energooszczędny” umożliwi zaciągnięcie kredytu do 200 tys. złotych na zakup i montaż: odnawialnych źródeł energii jak pompy ciepła czy kolektory słoneczne; układów wentylacji mechanicznej z odzyskiem ciepła; systemu wymiennika gruntowego; instalacji ogrzewania czy materiałów izolacyjnych ścian, stropów dachów, posadzek oraz stolarki okiennej i drzwiowej. Obsługuje ją Bank Ochrony Środowiska.

Oszczędzanie energii się opłaca. Wliczono, że średnie roczne koszty ogrzewania przykładowego domu jednorodzinnego mieszczą się w sumie od 5-10 tys. złotych. Gdyby zastosować w nim normy budowlane, obowiązujące od początku 2014 r. opłaty zmalałyby do sumy 1,2-2,5 tysiąca. Koszty za energię w domu energooszczędnym wyniosłyby tylko 600 złotych rocznie.

Podobne propozycje dotyczą strat ciepła, uchodzącego przez okno. W typowym budynku, zasilanym gazem, to roczny koszt 110 złotych, w budynku, spełniającym nowe standardy – to 70 zł. Przez okno energooszczędne ucieka nam ciepła za 40 złotych.

Jeszcze wymowniejszym przykładem jest energia oszczędzona dzięki termoizolacji budynków w ramach linii kredytowych katowickiego WFOŚiGW. To ilość, która mogłaby zaopatrzyć w ciepło 40 tysięcy mieszkań czyli około 650 wielorodzinnych, dziesięciopiętrowych budynków mieszkalnych.

I to jest droga, która musimy podążać, ale... znacznie szybciej niż dotąd.

(mat)



Dofinansowano ze środków
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej w Katowicach

EKOLOGIA

– Zakończyły się XXV Gliwickie Spotkania Teatralne. Zapytam prze-kornie – po co mieszkań-com Śląska taki rodzaj kontaktu z teatrem?

– Myślę, że w województwie śląskim, gdzie mieszka kilka milionów ludzi, można znaleźć bez problemu wiele tysięcy osób zainteresowanych teatrem dramatycznym. Gliwice mają prawie dwieście tysięcy mieszkańców, a nasz teatr odwiedzają widzowie z wielu miast, oczywiście z całego naszego województwa, a poza tym bardzo często z Opolszczyzny i Małopolski.

Gliwickie Spotkania Teatralne są najstarszym festiwałem na Śląsku i jednym z najstarszych w Polsce. Jego siła tkwi chyba w różnorodności, o której mówiła założycielka GST, Ewa Strzelczyk. Od kilkunastu lat organizuję ten festiwal z dyrektorem Gliwickiego Teatru Muzycznego Pawłem Gabarą, pracownikami Impresariatu GTM (Jolan-tą Szymurą, Beatą Sokolowską, Jolan-tą Łabiak, Małgorzatą Zemłą) i kierownikiem technicznym Adamem Prażuchem. To sprawdzona ekipa osób całkowicie oddanych tej idei.

Sprowadzanie raz w roku w maju ciekawych spektakli dramatycznych z różnych miast Polski stanowi dobre uzupełnienie oferty kulturalnej Gliwickiego Teatru Muzycznego, wystawiającego przede wszystkim operetki i musicale. Zainteresowanie naszym festiwałem od wielu lat jest bardzo duże. Co roku przed kasą ustawiają się kolejki jak do sklepu mięsnego w latach 80. Zwykle w ciągu zaledwie kilku godzin znikają najdroższe bilety na spektakle z gwiazdami.

– Gliwicki festiwal to przegląd wyjątkowych przedstawień – wzbudzających emocje, pokazujących nowe trendy; wykorzystujących rzadko spotykane środki ekspresji...

– To prawda, najważniejszym naszym kryterium jest to, aby wybrane przez nas spektakle spełniały pewne oczekiwania co do formy, treści i wykonania. Nie sprowadzamy na festiwal chałtur, robionych naprędce i wystawianych bez dekoracji. Mamy sprawdzone teatry, z którymi lubimy współpracować, takie jak: Ateneum i Polonia z Warszawy, im. Modrze-

Z KRZYSZTOFEM
KORWIN-PIOTROWSKIM,
kierownikiem artystycznym
Gliwickiego Teatru Muzycznego

rozmawia KATARZYNA WALOTEK-ŚCIAŃSKA



Fot. Mirosława Lukaszek

Gliwickie teatralne rendez-vous

jewskiej z Legnicy czy im. Jaracza z Łodzi.

– Co było myślą przewodnią tego-rocznego programu?

– Kilka lat temu bawiliśmy się w myśli przewodnie, staraliśmy się układać program według kryteriów: *Kreacje, Wizje, Inspiracje*. To okazało się jednak nie dobrą drogą. Chodziło nam o kreacje aktorskie, wizje reżyserskie i inspiracje Ruinami Teatru Victoria. Takie klasyfikowanie było jednak często sztuczne, odeszliśmy od tego. Nie ma myśli przewodniej, liczy się różnorodność form. A zatem mieliśmy spektakle oparte na dobrej literaturze: „Nastasję Filipowną” na motywach „Idioty” Dostojewskiego w reżyserii Andrzeja Domalika z Ateneum, „Ich czworo” Zapolskiej w reżyserii Jerzego Stuhra z Teatru Polonia, „Wiśniowy sad” Czechowa w reżyserii Agnieszki Glińskiej z warszawskiego Teatru Studio, „Iwonę, księżniczkę Burgunda” Gombrowicza z Teatru im. Jaracza w Łodzi, „Mistrza i Małgorzatę” według Bułhakowa z krakowskiej Grotoski.

– Zaproponowaliście widzom ciekawe inscenizacyjnie przedstawienie z krakowskiej Łaźni Nowej „Klub miłośników filmu MISJA” w reżyserii Bartosza Szydłowskiego,

ze świetną scenografią Małgorzaty Szydłowskiej i bardzo dobrą rolą Jana Peszka jako bezwzględ- nego kardynała Altami-rano.

– Interesującym eksperymentem było połączenie różnych żywiołów: amatorów z profesjonalnymi aktorami, wykorzystanie zespołu muzycznego, usadzenie części widzów na pufach w przestrzeni gry aktorskiej, wykorzystanie dużych ekranów do transmisji niektórych scen oraz do przypomnienia fragmentów kultowego filmu „Misja”. Ten spektakl świetnie wpasował się w przestrzeń Ruin Teatru Victoria.

– Duże wrażenie zrobiły na mnie także improwizacje młodego tancerza Macieja Trąbki w tajemniczych podziemiach Victorii.

– To był ciekawy eksperyment. Po raz pierwszy włączyliśmy także do festiwalu retransmisję spektakli z National Theatre w Londynie: „Frankensteina” w reżyserii

laureata Oscara Danny’ego Boyle’a i „Audiencję” z rewelacyjną Helen Mirren jako królową Elżbietą II. Te seanse cieszyły się ogromnym zainteresowaniem, a poza tym nauczyły nas pokory. Zwłaszcza „Frankenstein” zachwycał formą przedstawienia, użyciem potężnej techniki teatralnej i rewelacyjnym aktorstwem.

– Trzymał w napięciu jak najlepszy thriller, był znakomicie zrealizowany od strony teatralnej i rejestracji telewizyjnej. Kolejnym waszym nowym, niezwykle ciekawym pomysłem była „Ulica Wyszehradzka”.

– Projekt został zrealizowany dzięki dofinansowaniu z Funduszu Wyszehradzkiego. W jego ramach pokazaliśmy happening Teatru Biuro Podróży „Mistrz głodu” na motywach powieści Hamsuna, koncert cygańskiej orkiestry Rajko z Budapesztu, spektakl plenerowy „U Zdi” w wykonaniu Divadlo Continuo z Pragi oraz rewelacyjne przedstawienie pod tytułem „Prorok Ilja” Teatro Tatro ze Słowacji. Ogromnym zainteresowaniem cieszył się też koncert Jaromira Nohavicy i Artura Andrusa.

– Podczas Gliwickich Spotkań Teatralnych mogliśmy oglądać znakomite spektakle – różnorodne pod względem konwencji i stylistyki,

zaskakujące pomysłami i rozwiązaniami inscenizacyjnymi, które przedstawienie wywarło na panu największe wrażenie?

– Najbardziej lubię oglądać spektakle w Ruinach Teatru Victoria, ponieważ mam ogromny sentyment do tego miejsca. Wielu reżyserów zabiega o to, aby zaprezentować swoje przedstawienia w tej magicznej przestrzeni. Tym razem to my zabiegaliśmy o to, aby „Prorok Ilja” Tadeusza Słobodzianka w reżyserii Ondreja Spišáka był pokazany w Ruinach. Dotąd słowaccy artyści prezentowali go w namiocie cyrkowym.

Zdegradowana przestrzeń Victorii, podpalonej przez rosyjskich żołnierzy w 1945 roku, jest znakomitym miejscem do eksperymentów artystycznych i przedstawień wciągających widza emocjonalnie oraz intelektualnie. „Prorok Ilja” wręcz zahipnotyzował publiczność. Eliasz Klimowicz uważał się za biblijnego proroka Ilję. Zbudował w Wierszalinie koło Białegostoku cerkiew, ogłosił to miejsce centrum świata i miał spore grono wyznawców. Ludzie chcieli go ukrzyżować jako Chrystusa, który po raz drugi pojawił się na Ziemi przed końcem świata i Sądem Ostatecznym.

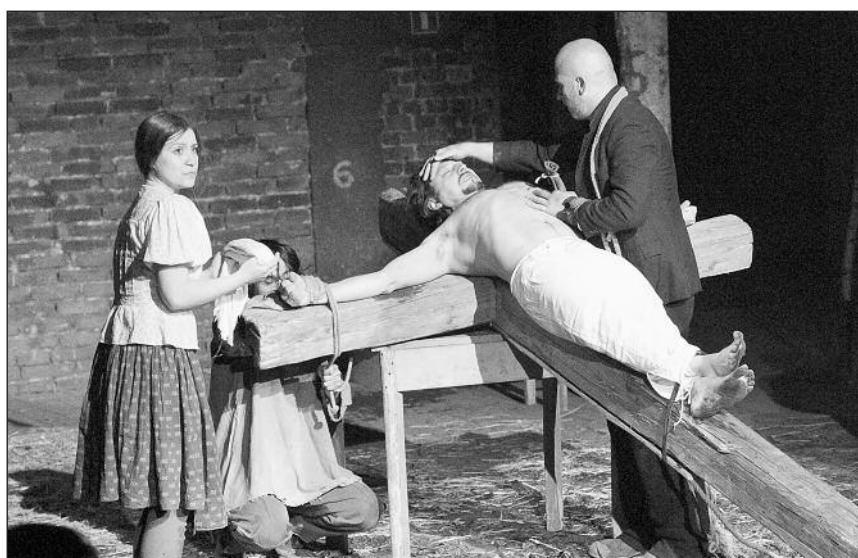
Niesamowite w spektaklu były śpiewy, sceny pielgrzymowania z ogromnym krzyżem, scena poniżającego obnażenia Żyda jako rzekomego diabła, próba wypędzenia szatana z bezbożnej kobiety, czczonej potem przez członków sekty.

W Ruinach widzowie siedzieli naprzeciw siebie, a przestrzeń gry była w środku. Bliski kontakt z artystami, zapach ściółki polewanej wodą, aromat z płonących świeczek, smród wydobywający się z zapalnego kilka razy silnika motocykla – to wszystko wzmacniało specjalny odbiór tego spektaklu.

– Przygotowuje pan nową wersję „Anny Kareniny” w Gliwickim Teatrze Muzycznym. Czym chce pan zaskoczyć widza, co nowego mu opowiedzieć?

– „Anna Karenina” Tolstoja jest powieścią, która fascynuje mnie od młodych lat. Kiedyś żałowałem Kareniny, uważałem jej męża za potwora. Jako osoba w wieku średnim bardziej współczuję Kareninowi. Sądzę, że Anna popełniła wielki błąd, wybierając fascynację młodszym mężczyzną zamiast życie u boku ogólnie szanowanego męża.

Z reżyserem Józefem Opalskim, kompozytorem Andrzejem Żaryckim i autorem tekstów piosenek Michałem Chłudzińskim zrealizowałem w Gli-



Prorok Ilja. Teatr Tatro ze Słowacji. XXV GST.

wickim Teatrze Muzycznym premierę „Anny Kareniny” w 2007 roku. Po siedmiu latach dyrektor GTM Paweł Gabara zaproponował, abyśmy przenieśli przedstawienie do Ruin Teatru Victoria. To sprowokowało mnie, reżysera i scenografa Ryszarda Melliwę do dokonania zmian w spektaklu. Przedstawienie będzie teraz krótsze prawie o godzinę, będzie miało lepsze tempo i mniej postaci, aby akcja była bardziej czytelna także dla tych, którzy nie czytali powieści. Poza tym przesunęliśmy pewne akcenty, wzmocniliśmy postać Karenina, granego świetnie przez Witolda Wronę. Widz w Ruinach będzie bliżej miejsc akcji. Scena zostanie rozszerzona na sporą część Ruin. Wykorzystamy także wnęki między kolumnami na widowni, które zamienią się w coś na wzór mansjonów. Akcja będzie się rozgrywać w różnych miejscach i na dwóch poziomach. Pojawi się nowy Wroński – młody artysta Andrzej

Skorupa. Pozostawiamy sprawdzonych już artystów: elegancką, piękną aktorkę i śpiewaczkę Małgorzatę Długosz jako Kareninę, wspaniałą – nagrodzoną Złotą Maską – Violetę Białk w roli Kitty i wybitnego aktora Michała Musioła jako Konstantego Lewina.

– Co pana fascynuje w literaturze rosyjskiej? Czy może być ona atrakcyjna dla współczesnego odbiorcy?

– Od dzieciństwa interesowałem się kulturą rosyjską, śpiewami cerkiewnymi, muzyką Czajkowskiego i Rimskiego-Korsakowa, poezją Puszkina i Brodskiego, prozą Tolstoja, Dostojewskiego i Bułhakowa, dramataми Czechowa. W literaturze rosyjskiej spotykamy bohaterów wrażliwych, mądrych, cierpiących, zmagających się z Losem, wadzących się z Bogiem, poszukujących prawdziwej miłości...

– Zauważyłam, że Gliwicki Teatr Muzyczny nie jest zamkniętą insty-



Nastasja Filipowna. Teatr Ateneum. XXV GST.

tucją oferującą usługę – spektakl teatralny ale umożliwia także widzom bliski kontakt z dziełem. Na przykład dzieciom proponuje zabawę w teatr, nieco starszym przygotowuje scenografię. Daje to szansę na dotknięcie twórcy, pozwala na aktywny odbiór i współtworzenie dzieła. Czy uważa pan, że takie działania sprzyjają tworzeniu długotrwałych więzi między instytucją a odbiorcami?

– Organizujemy różne wydarzenia dla dzieci. Dyrektor Paweł Gabara wyreżyserował dwa niezwykle popularne spektakle muzyczne: „Skarby Złotej Kaczki” i „Pinokia”. Mamy w repertuarze „Małego Księcia” w nowoczesnej inscenizacji Cezarego Domagały i Małgorzaty Szydłowskiej i „Kota w butach” Michała Rosińskiego, który był niedawno transmitowany w ramach Internetowego Teatru TVP dla Szkół (za pośrednictwem TVP Katowice) do ponad 570 szkół w Polsce, dla 33 tysięcy widzów. Organizujemy Dziecięce Spotkania Teatralne, które odbyły się w tym roku po raz dwudziesty. Beata Sokółowska (organizatorka Dziecięcych Spotkań Teatralnych) zaprosiła do naszego teatru między innymi spektakl „Dzieci z Bullerbyn” z Teatru Polskiego we Wrocławiu. Przed każdym przedstawieniem dzieci miały prawie pół godziny na stworzenie najważniejszego elementu scenografii, musiały pomalować ogromny horyzont. To było wspaniałe doświadczenie.

Poza tym z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru w marcu i Metropolitalnej Nocy Teatrów we wrześniu organizujemy różne warsztaty dla dzieci, takie jak tworzenie masek karnawałowych, wycinanki z papieru itp. Ogromnym powodzeniem cieszą się także warsztaty muzyczne. Dzieci próbują grać na rozmaitych instrumentach, a pod koniec zajęć tworzą na kwadrans kilkudziesięciuosobową orkiestrę z dziecięcym dyrygentem. Doświadczenie wspaniałe, na pewno będziemy je powtarzać. To oczywiście pomaga w tworzeniu wieloletnich więzi widzów z naszą instytucją.

– **Cieszy fakt, że ważny staje się w naszym województwie nie tylko teatr dla dzieci (teatr impresji), ale także teatr dziecięcy (teatr ekspresji), w którym dziecko współtworzy spektakl. Edukacja przez sztukę, różne formy ekspresji twórczej są bez wątpienia szansą na wszechstronny rozwój młodego człowieka.**

Pod patronatem „Śląska”



Fot. Tomasz Zakrzewski/mał. teatru

Kolorowy teatrzyk drogi

TEATR

Oprzygodach krawca Niteczki czytałem dawno, dawno temu, niewiele więc z tej historii pamiętam. Trudno mi zatem ocenić, jak bardzo wierny Kornelowi Makuszyńskiemu pozostał Zbigniew Głowacki, który przygotował na motywach tej baśni spektakl w katowickim Śląskim Teatrze Lalki i Aktora „Ateneum”. Przedstawienie opowiada historię krawca, który pewnego dnia odkrył w sobie talent poetycki, co jednak odbiło się negatywnie na jego pracy zawodowej, przez co wygnano go z rodzinnego miasta (iluż poetów spotkał podobny los – wystarczy przypomnieć Owidiusza, Mickiewicza, Brodskiego). Od tego momentu zaczyna się „teatrzyk drogi” (jeśli Amerykanie stworzyli „kino drogi”, czemu nie ma być podobnie w teatrze lalek?). Niteczka idzie więc przez świat z poznanym po drodze Strachem (na wróble), przeżywa wiele przygód, wreszcie zostaje królem.

Nie byłem na przedstawieniu premierowym. Wtedy jest na widowni wielu dorosłych. Spektakl obejrzałem w „tygodniu”, za to w towarzystwie całej sali przedszkolaków, co pozwoliło mi zauważyć rzeczy, których zapewne nie było na premierowej gali. Teatr (czy teatrzyk) drogi jest zarazem teatrem „akcji”. Dziś dzieci wychowane na wideoklipach, efektach specjalnych itd. właśnie „akcję” preferują. Słowo (jakkolwiek strasznie to brzmi) szybko im się nudzi. I dało się to zaobserwować na widowni. Reżyser, a zarazem autor adaptacji mógł śmiało tekst poskracać. A już naiwnością z jego strony było przypuszczenie, że dzisiejsze przedszkolaki znają takie słowa jak „metafora”, albo wiedzą, kto to jest „muza poezji lirycznej”. Dzieciom bardziej

podobało się latanie w powietrzu, wspinięcie do nieba, zabawna krowa, która wzbudzała tak wielki lęk u Stracha.

Niewątpliwym walorem katowickiej inscenizacji była bardzo kolorowa scenografia Ewy Farkaszowej oraz lalki jej projektu – oryginalne, wyraziste i sympatyczne. Odniosłem jednak wrażenie, że niektóre z pomysłów scenograficznych nie zostały „wygrane” do końca. Np. Niteczka ucieka przed rozwścieczonymi współmieszkańcami na bicyklu. Wpada za kulisy i wraca już bez pojazdu. Tylko jakiś drobny hałas sugeruje, że wydarzyła się jakaś katastrofa. Czy nie dało się jej pokazać na scenie? W pewnym momencie pojawia się składana miara, jaką posługują się np. stolarze. Po rozłożeniu od jednego do drugiego końca sceny robi się z niej jakby droga. Szkoda, że to był taki jednorazowy pomysł, bo droga-miarka bardzo fajnie pokazywałaby jak Niteczka ze Strachem przemierzają ją w przestrzeni.

W spektaklu wystąpili: Jacek Popławski, Ewa Reymann, Marta Popławska, Marek Dindorf, Piotr Janiszewski i Danuta Baska. Aktorzy – stosując język potoczny – „dali radę”. Gdybym miał kogoś wyróżnić, to Jacka Popławskiego i Ewę Reymann, po prostu dlatego, że oni właściwie są na scenie przez cały czas, ponieważ jednak jest w spektaklu wiele scen zbiorowych – gratuluję wszystkim.

Muzyką ozdobił przedstawienie Pavel Helebrand.

Po przerwie spowodowanej zapewne brakiem pieniędzy „Ateneum” znów wydało program teatralny z pełnym tekstem sztuki. Mała rzecz, a cieszy.

BOGDAN WIDERA

Powiało wakacjami... Na pierwszą majówkę Teatr im. Adama Mickiewicza w Częstochowie przygotował premierę muzyczną, potwierdzając w ten sposób obecność w repertuarze silnego nurtu lirycznego, by przypomnieć choćby z ostatnich realizacji *Stachurę*, *Takich dużych chłopców* czy wciąż grany spektakl *Hemar w chmurach*. Tym razem dyrektor artystyczny, Piotr Machalica, zaprosił na scenę oprócz zespołu muzycznego Adama Hutyrę, Macieja Półtoraka oraz Inę Pilchowską.

Najpierw o pomysły przedstawienia. Recepta na sukces miała być dość prosta – muzyka na żywo w dobrym wykonaniu, tanga znane, lubiane, o czym przekonuje wciąż niesłabnąca popularność tego gatunku zarówno do tańczenia, jak i do słuchania. Poszczególne numery łączy radiowiec, osoba, która od lat siedzi przed mikrofonem i uwodzi głosem oraz błyskotliwością kolejne pokolenie. Przynajmniej tak być mogło. Konwencja audycji *Tango FM* określiła dekorację (Grzegorz Policiński) – na scenie widzimy

niemal prawdziwe studio nagraniowe, na przodzie zespół, mikrofony i kable, a przede wszystkim sytuację komunikacyjną. Widownia koncertu została przemieniona w słuchaczy stacji, ale również w publiczność uczestniczącą na żywo w jakimś wydarzeniu-naganiu (jak w Muzycznym Studiu Polskiego Radia im. Agnieszki Osieckiej). Jej zachwyty i pomrukiwania miały być więc słyszalne także dla tych przed odbiornikami. Trudno tu mówić o jakiejś akcji, miał raczej powstać spektakl podobny do kabaretowego ciągu atrakcji, gdy muzyka występuje po kolejnych wejściach redaktora, który czyta listy słuchaczy, prezentuje ciekawostki, by wypełnić sobą czas antenowy... W dodatku powinien dbać, by inni uznali potrzebę jego obecności. Sposobów na prowadzenie mogło być wiele – zabawny, tragiczny, okazało się jednak, że radiowiec jest sfrustrowanym nieudacznikiem, który narzeka na świat, na kobiety, na właścicieli stacji, w dodatku w sposób niezbyt wyszukany. I chyba widownia dość szybko straciła złudzenie, że potrafi on zatrzymać spieszącego gdzieś słuchacza, nawet tego dość niszowego, szukającego ucieczki przed napierającym i budzącym przerażenie światem. Problem polegał na tym, że prowadzący nie stanowił wystarczająco interesującej alternatywy dla krytykowanego społeczeństwa.

Być może, nieporozumienie wynikało z różnych sposobów definiowania wydarzenia, na które publiczność została zaproszona – czy miał to być spektakl parateatralny, polegający na odczytywaniu prawdziwych listów (Piotr Machalica) czy też koncert (Robert Dorosławski) przygotowany przez zawodowców, gdy improwizacja domaga się mistrzostwa? A może ta nieporadność była zamierzona, a duet (Jerzy Bończak – scenarzysta, reżyser, i Piotr Machalica – główny wykonawca) działali zgodnie z planem?



W małej rozgłośni radiowej od kilku lat prowadzi cykliczną audycję *Tango FM* (Piotr Machalica).

Tango na trzy głosy i jedną tancerkę

TEATR

W takim razie to mnie zabrakło przenikliwości i zrozumienia ich intencji, co może także należy wziąć pod uwagę w przygotowywaniu kolejnych audycji...

Mówienie banalnych prawd ma sens wtedy, gdy powiemy to, jeśli nawet nie w błyskotliwej, to przynajmniej w przyzwoitej formie. W przeciwnym razie wypowiedzi przemienią się w bełkot nie do wytrzymania, stając się co najwyżej diagnozą współczesnych mediów, w dodatku pozbawioną ostatecznych wniosków, a to z kolei może sprowadzić pytanie o zasadność udziału w wydarzeniu.

Mocnym punktem przedstawienia był na pewno zespół muzyczny – Michał Rorat (piano), Arek Krupa (skrzypce), Marcin Lamch (kontrabas), Sebastian Ruciński (gitara) – który doskonale grał kolejne numery w aranżacjach Krzysztofa Maciejewskiego. Artyści rozkołysali publiczność. Aktorzy również śpiewali dobrze, chwilami nawet koncertowo. Piotrowi Machaliccy mogłam wówczas wybaczyć nawet niezrozumiały chwilami tekst, ponieważ brzmiało prawdziwie i tryskało emocjami.

Publiczność usłyszała zarówno przeboje międzywojnia: *Nie kochać w taką noc to grzech*, *To ostatnia niedziela*, *Szkoda twoich łez*, jak również *Tango triste* Edwarda Stachury czy *Jeśli zechcesz odejść* Stanisława Staszewskiego. W finale zabrzmiało *Słodkie tango retro* Wojciecha Młynarskiego. I tu pojawia się kolejna sprawa – niejednorodność konwencji i stosunku do prezentowanego tekstu; czy prezentacja miała być aprobatą numeru czy też odbywała się przeciw niemu? Z powagą i szacunkiem czy z przyzwrojeniem oka, a może nawet z lekką dezynwolturą? Postawa prezentowana na scenie była niejednorodna. Chwilami interpretacje wyraźnie parodystyczne brzmiały odświeżająco, ale ostatecznie nie można było jednocześnie „za i przeciw”,

a kobietą, gdy nawet tango mimo że jest to taniec pełen namiętności i gwałtownych uczuć zostaje zastąpiony obojętnością? Czasami boję się zbyt śmiałych wniosków, pamiętając słowa służącej Magdy z *Guwernantek* Henryka Bardijewskiego (tekst tak genderowy, że aż trudno uwierzyć, kiedy powstał):

Poszła Pani za daleko. Z nie swoją myślą. Jak to nie można dzielić się myślami. Wezmą człowiekowi, przeinaczają, wynaturzą, a bywa, że i osmieczą.

Ale nie potrafię się oprzeć sile semiozy. Czyżby postać kobieca miała sugerować, że *Tango FM* to stacja ludzi przegranych, chroniących się przed światem, czyli poszukujących świętego spokoju, uznających anachroniczność za wygodną pozę istnienia w świecie. Moje malkontentstwo świadczyć może, że mimochodem przyjąłem styl redaktora, ale to nieprawda. Jestem bowiem przekonana, że *Tango FM* ma szansę na sukces. Warto jednak pamiętać, że nie tylko piosenka musi posiadać tekst, ponieważ jeszcze ważniejszy okazuje się on w momentach pozbawionych muzyki, gdy nic nie zostanie wytlumione, a słuchacz nie podda się miłemu rytymowi. Słowo wygłaszane w ciszy, zwłaszcza w napięciu nasłuchiwanie, nie może być „jakieś”, ale musi być najlepsze z możliwych bez względu na przyjętą konwencję – może ranić albo krzepić, śmieszyć albo rozczulać. Ale musi być. W przeciwnym razie w bełkotliwym roztworze, nawet tanga mogą nie utrzymać rytmu przedstawienia.

JOANNA WARONSKA

Tango FM. Scenariusz i reżyseria – Jacek Bończak, choreografia i ruch sceniczny – Inga Pilchowska, scenografia – Grzegorz Policiński, kierownictwo muzyczne i aranżacje – Krzysztof Maciejewski. Premiera 3 maja 2014 r. Teatr im. Adama Mickiewicza w Częstochowie.

Krystyna Heska-Kwaśniewicz

Tajemnicze ogrody 3



WYDAWNICTWO
UNIWERSYTETU ŚLĄSKIEGO
KATOWICE 2013

Krystyna Heska-Kwaśniewicz: *Tajemnicze ogrody*. T.3. Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2013, ss. 177.

Powrót do Tajemniczych ogrodów

Krystyna Heska-Kwaśniewicz, znawczyni problematyki śląskoznawczej, ale także literatury dziecięco-młodzieżowej, oddała do rąk czytelników trzeci tom studiów poświęconych lekturom tekstów powstałych z myślą o młodym czytelniku lub zainspirowanych kontaktem z młodzieżą czy będących efektem fascynacji światem dziecięcej wyobraźni. *Tajemnicze ogrody 3* to podróż, jak sama autorka we wstępie napisała, „w przeszłość utrwaloną w słowie”. Książka ta jest również „rezultatem współczesnych peregrynacji czytelnicznych” badaczki. Owe wędrówki w świat literatury obejmują zatem różne przestrzenie, także temporalne, odkrywając przed czytelnikami teksty niejednokrotnie już zapomniane oraz te, które współcześnie, między innymi z powodu braku głośniejszej oprawy medialno-reklamowej, giną wśród obfitej produkcji wydawniczej. *Tajemnicze ogrody* stanowią kontynuację rozważań z poprzednich tomów, o czym świadczą kilka stałych przewijających się przez

wszystkie książki wątków, wyznaczających również pola zainteresowań badawczych profesorki.

Autorka na początku umieściła teksty poświęcone górcom, które od lat ją fascynują. Czytelnik ma okazję zapoznać się z rozważaniami na temat reportażu R. Pollaka z 1919 r. pt. *Wyprawa skautów śląskich przez Orawę i Tatry na Spisz* oraz opisem wypraw górskich wojewody śląskiego M. Grażyńskiego. W artykule o reportażu Pollaka badaczka nie tylko wskazuje na walory poznawcze tekstu, ale przede wszystkim nakreśla różnice w postrzeganiu krajobrazu, rozumieniu celu tego typu przedsięwzięć w przeszłości i dzisiaj. Czytelnika współczesnego może zaskakiwać i zadziwiać pietyzm, z jakim harcerze przygotowywali się do wyprawy w góry, np. szczegółowe zapoznanie się z dostępnymi przewodnikami i innymi książkami o tematyce krajoznawczej. Autorka koncentruje się przede wszystkim na tych fragmentach, które są opisami krajobrazu górskiego. Odczytuje znaczenia, jakie nauczyciel nadawał szczytom, dolinom i innym wyznacznikom przestrzeni górskiej. Udowadnia, że reportaż *Wyprawa skautów śląskich...* zbudowany został nie tylko z narracji o charakterze poznawczo-sprawozdawczym, ale także estetyzującym. Autorka szkicu wskazała metafory, epitety, które posłużyły Pollakowi do nakreślenia obrazu pejzażu górskiego pełnego emocji, nieukrywanego zachwytu i uczucia nadziei, że region ten znajdzie się w granicach odrodzonego państwa polskiego.

Podobnego rodzaju akcenty badaczka odnalazła we wspomnieniach i artykułach M. Grażyńskiego, publikowanych w „Na Tropie”. Wojewoda śląski był wielkim miłośnikiem gór i osobą walczącą o zachowanie nieskażonej przyrody. W Beskidach, Pieninach, Tatrach Grażyński wypoczywał, nabierał sił, „słyszał duszę gór”, zwłaszcza lasu porastającego zbocza. Wojewoda wierzył również w wielką moc krajobrazu górskiego, jego dobroczynny wpływ na charakter ludzi, przede wszystkim młodych. Dlatego w wielu swoich tekstach starał się nakłaniać harcerzy, wychowawców, opiekunów do działań ochraniających przyrodę. Na aspekt ekologii, czy ekofilozofii, Heska-Kwaśniewicz zwróciła także uwagę, analizując książki B. Gawryluka o świstaku Gwizdka. W tym tekście, zamykającym tryptyk górski, szczególną rolę odgrywa „dom” sympatycznego zwierzaka – Tatry. Góry swoją monumentalnością, nieprzystępnością uczą pokory, a jednocześnie ich literacki obraz pozwala autorom propagować takie wartości, jak: odpowiedzialność, szacunek do otaczającej przyrody i innych ludzi.

O pokorze autorka wspomina także w części zatytułowanej *Powroty do książek i tematów*. Dwa artykuły poświęca *Kamieniom na szaniec* A. Kamińskiego, wskazując w tej wyjątkowej książce nurt religijny i opisując kontakt z tą lekturą ks. J. Tischnera. Młodzi harcerze z Szarych Szeregów na kartach opowieści to ludzie

prawdziwie wierzący, z pokorą przyjmujący „zapisane wyroki”, ale też z przeświadczeniem, że wszystko, co ich spotyka, w czym uczestniczą, ma głęboki sens. Kolejny artykuł świadczy o doskonałej znajomości historii powstania samego tekstu *Kamieni na szaniec* oraz jego czytelnicznych losów. Powołując się na różne źródła, autorka udowadnia, że kapłan-filozof wysoko cenił opowieść o Alku, Rudym i Zoście i traktował ją jako „jedną z takich młodzieńczych lektur, które zapadają w pamięć na całe życie, kształtując wyobraźnię i podstawowe zasady moralne”.

Pokorą, rozumianą oczywiście jako szlachetna cecha charakteru, odznaczał się z pewnością J. Korczak. Heska-Kwaśniewicz analizuje literackie świadectwa pamięci o nim, które kreują legendę „starego Doktora”. Badaczka zwraca uwagę zwłaszcza na najnowsze publikacje, powstałe w związku z Rokiem Korczaka (2012), adresowane do młodego odbiorcy.

Tekstom z trzeciej części rozważań patronuje Poznań. Badaczka ze znanostwem i wyjątkową wrażliwością czytelniczą przedstawia poezję zmarłej w 2005 r. E. Waśniowskiej, autorki potrafiącej rozmawiać z dziećmi w wierszach o trudnych sprawach, jak: śmierć, przemijanie, smutek, o tym wszystkim, co razem z radością, uśmiechem i zabawą współtworzy tkankę prawdziwego życia. Wydawnictwo Miła poznańskiej artystki E. Krygowskiej-Butlewskiej powstało, by upamiętnić autorkę *Beskidzkich obrazków*. Oficyna ta wydała prestiżową serię zatytułowaną *Perelki Mili*, o której Heska-Kwaśniewicz pisze, że to doskonały przykład serii przygotowanej wzorcowo pod każdym względem – graficznym i literackim.

Radosną stroną pierwszych lat życia badaczka przedstawia, przypominając, czy nawet na nowo odkrywając przed czytelnikiem, twórczość M. Wańkowicza oraz książki obrazkowe znakomitego rysownika „Przekroju” Z. Lengrena. Autorka szkicu w pełni zgadza się ze swoistego rodzaju pedagogiką, której założenia Wańkowicz subtelnie wplótł we wspomnienia tworzące *Szczenięce lata* i *Ziele na kraterze*. To „lekcja” dobrej zabawy i humoru, bowiem „kto umiał się bawić swobodnie i radośnie w dzieciństwie, ten będzie w sobie miał skarb pogody i poczucia humoru przez całe życie”.

Tajemnicze ogrody zapraszają do wędrówki obejmującej czas i przestrzeń, do peregrynacji ścieżkami słów tworzących piękne teksty literackie. Heska-Kwaśniewicz przypomina je, odkrywa na nowo, wzbogacając wiedzę czytelnika. Wyjątkowość wszystkich tomów *Tajemniczych ogrodów* tkwi jednak przede wszystkim w sposobach prowadzenia narracji, które skłaniają, jakby mimochodem, do podróży w świat własnych wspomnień o przeczytanych książkach oraz do myśli o tych, które nadal czekają na nasze odkrycie.

KATARZYNA TAŁUĆ

Ucieszyłem się, kiedy ta książka do mnie trafiła. Pomyślałem, że ukazała się w samą porę. „Reszta Polski”, która już sam pomysł stworzenia metropolii Silesia, przyjęła niechętnie, bo widziała w tej idei wyłącznie ekonomicznej jakiś przejaw śląskiego separatyzmu, a samo pojęcie „autonomii” kojarzyło się w Warszawie z ukrytą opcją niemiecką i próbą oderwania regionu „od Macierzy”, wreszcie będzie mogła się dowiedzieć na czym przedwojenny status województwa polegał. Z drugiej strony – szeregowi zwolennicy dzisiejszego Ruchu Autonomii Śląska, którzy czasem maszerują, też będą mogli się przekonać, że nie wszystkie ich mniemania odpowiadają rzeczywistości. Rychło jednak uzmysłowiłem sobie, że przedstawiciele żadnej ze stron sporu tej książki po prostu nie przeczytają. Po co, skoro „wiedzą lepiej”? Łudziłem się jakiś czas temu, kiedy ukazał się *Czarny ogród* Małgorzaty Szejnert, że coś z poplątanej historii Śląska dotrze do szerszej opinii publicznej, była to przecież pozycja nagrodzona przez Polskie Radio i kandydująca do „Nike”. Szybko jednak pozbyłem się złudzeń, wystarczyło kilka wypowiedzi polityków, aby się przekonać, iż nadal jesteśmy – cytując Zofię Kossak – nieznanym krajem. Mimo wszystko liczę na to, że książka Jana F. Lewandowskiego dotrze do ludzi jeszcze czytających, dostarczy im nie tylko wiedzy, ale i argumentów do „nocnych Ślązaków rozmów”.

Czas Autonomii jest lekturą pasjonującą. To stwierdzenie może kogoś zdziwić, bo cóż takiego ekscytującego jest w fakcie, że Polska przyznała Śląskowi specjalne prawa? Samorządność i w jakimś stopniu samodzielność województwa śląskiego były swego rodzaju „kielbasą plebiscytową”, wymyśloną po to, aby Górnoślązacy głosowali za przynależnością do Polski. Własny Sejm, własny Skarb, decydowanie na miejscu o wielu sprawach społecznych, czy gospodarczych – to były korzyści dla regionu. Polityka, ekonomia, sprawy ustrojowo-prawne nie są jednak dziedzinami budzącymi powszechne zainteresowanie. Ale już kontekst historyczny sprawia, że nagle pojawiają się kwestie dotyczące ludzkich losów, przemawiające do wyobraźni. Choćby podział regionu, który do pewnego momentu był całością. Wiadomo, że w plebiscycie duże miasta opowiedziały się za Niemcami, obszary wiejskie głosowały za Polską, tylko że między nimi nie przebiegała jakaś wyraźna granica. Nie było tak, że Śląsk wschodni optował za odrodzoną Polską a zachodni chciał do Niemiec. Podziału „niepodzielnego” dokonali dyplomaci, mocno zresztą skłóceni. Jednak konsekwencją wyznaczenia granicy była „wędrówka ludów” w obie strony, rozdzielenie rodzin itd.

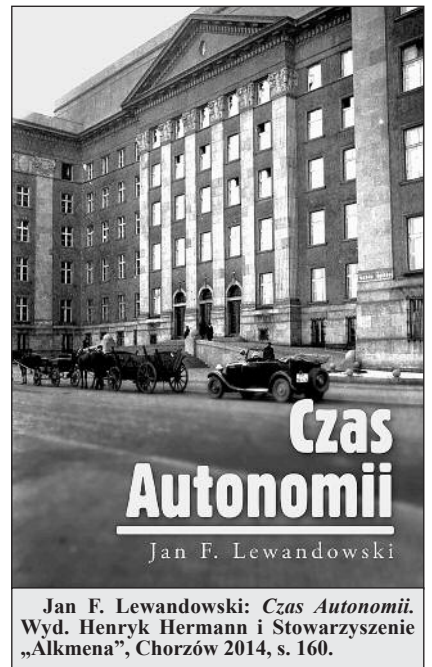
Na pewno zasługuje też na uwagę „awans” Katowic na stolicę województwa. Nie było to miasto największe, istniały starsze ośrodki miejskie, tymczasem dostało wielką szansę

na rozwój. W krótkim czasie stało się wielkim placem budowy, na którym wzniesiono nie tylko budynki administracyjne, ale i mieszkalne, powstała tu specjalnie wybudowana rozgłośnia radiowa, nawet nowoczesne muzeum. Za tymi inwestycjami stał Skarb Śląski. (Tu mała dygresja: czasem organizuje się dzień otwarty gmachu Sejmu Śląskiego, Województwa a dziś także Urzędu Marszałkowskiego. Warto z takiej okazji skorzystać choćby po to, żeby obejrzeć w podziemiach budynku ogromny sejf. Wprawdzie nie ma już w nim skarbów, są jakieś papiery, spalone drzwi się nie domykają, ale ta kasa pancerna pozwala sobie wyobrazić, że kiedyś przechowywano tu realne pieniądze czy też inne walory.) Finanse były ważne. Już w Statucie Organicznym Województwa Śląskiego znalazł się dość nieskomplikowany wzór matematyczny pozwalający wyliczyć, jaką część podatków śląskich można w województwie zostawić, a jaka powinna być przekazana do Warszawy. Jak zwykle sprawy pieniężne były (mimo wzoru) przyczyną konfliktów. Rząd Rzeczypospolitej narzekał, że nie otrzymał wszystkich należności, Śląsk domagał się zwrotu wcale niebagatelnej nadpłaty.

Polska początkowo nie doceniała roli przemysłu w nowoczesnym państwie. Wojciech Korfanty twierdził nawet, że nie była przygotowana do połączenia się ze Śląskiem. Przez długi czas na przykład nie było między regionem a resztą kraju odpowiednich połączeń kolejowych. Dotkliwa była dla Śląska wojna celna z Niemcami prowadząca do kryzysu. Na sytuacji materialnej regionu odbiło się także bardzo negatywnie wprowadzenie w Polsce państwowego monopolu spirytusowego i tytoniowego, co wiązało się oczywiście z wprowadzeniem akcyzy.

Sejm Śląski musiał wykonać ogromną robotę, żeby praktycznie zorganizować całe życie niemal od zera – wprowadzić regulacje prawne do gospodarki, szkolnictwa, administracji terenowej, opieki społecznej, policji, krótko mówiąc – ogarnąć całość. Nie każda z sejmowych ustaw była pomysłem dobrym. Uchwalono na przykład, że nauczycielki powinny żyć w celibacie. Pogląd taki poseł-sprawozdawca uzasadniał tym, że kobiety chorują i biorą urlopy macierzyńskie, co wiele kosztuje. Na skutek tej ustawy odeszło z zawodu kilkaset mężatek i co roku zwalniało się ze szkoły kilkadziesiąt panien mających plany matrymonialne. Nawet *Gość Niedzielny*, pismo katolickie, uznał tę regulację za niezyciową.

Autonomia Śląska budziła w przedwojennej Polsce sporo kontrowersji. Sanacja próbowała ją nawet zlikwidować, to się jednak nie udało, bardzo ostro przeciwko tym zamiarom protestował marszałek Sejmu Śląskiego Konstanty Wolny, który uważał, że byłoby to oszukanie Górnoślązaków, którzy w plebiscycie opowiedzieli się za Polską. Co jest ciekawe – kiedy już obozowi wojewody Grażyńskiego udało się przejąć

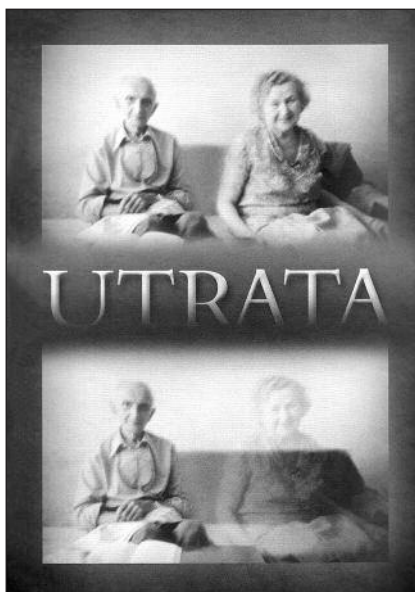


Autonomia bez mitów

władzę (opozycja zbojkotowała wybory do śląskiego parlamentu), sanacyjni politycy radykalnie zmienili swoje stanowisko. Nagle uznali, że Autonomia jest dla nich użyteczna. Oczywiście przestała istnieć po wkroczeniu do Polski wojsk hitlerowskich. Ale tak naprawdę do jej likwidacji doprowadził komunistą, wojewoda śląsko-dąbrowski Aleksander Zawadzki. 6 maja 1945 roku Krajowa Rada Narodowa podjęła odpowiedni dekret podpisany m.in. przez Bolesława Bieruta.

Przyczytałem tych kilka przykładów nie po to, żeby streszczać książkę, chciałem tylko zasygnalizować, jak bardzo skomplikowana i bogata jest tematyka, którą zajął się w swojej pracy Lewandowski. Oto pojawia się jakaś kwestia i zaraz implikuje następne albo wymaga wprowadzenia nowego wątku. Jednak mimo wielu szczegółów (ciekawych, a czasem mało znanych) książka jest skonstruowana bardzo przejrzysto i napisana przystępnym językiem, co sprawia, że dobrze się ją czyta. Dodatkowym walorem publikacji są liczne zdjęcia archiwalne pochodzące z instytucji polskich i niemieckich.

BOGDAN WIDERA



Utrata. Wobec braku i ubywania. Praca zbiorowa pod red. Jacka Kurka i Krzysztofa Maliszewskiego. Chorzów 2013, ss. 222.

Wobec ubywania i braku

Od dziewięciu lat każdą sesję „Medium Mundi” – dzieło J. Kurka i K. Maliszewskiego – wieńczy zbiór szkiców i esejów. Tak było i tym razem. Temat sesji: *Wobec ubywania i braku* stał się pretekstem do wygłoszenia niezwyklej spostrzeżeń i refleksji. Brak i utrata jest tym, z czym mamy do czynienia niemal na co dzień. Trzeba jednak to zjawisko zauważyć, umieć nazwać i zinterpretować. Niezrównani w tym przedsięwzięciu byli autorzy sesji i ich goście.

Kurek i Maliszewski już we wstępie zauważyli: „Nasza codzienność jest zanurzona w braku (...), a ubytki i rozłuki znaczą dni podksiężycowej wędrówki”. Dalej dodali zaś: „Myślenie o utracie to praktyka niewygodna i raczej dziś rzadka (...). Nie jest trudno ponarzekać na rozmaite zewnętrzne deficyty (...), lecz od namysłu nad „drugim brakiem”, nad tym, czego nie staje w „duszy”, najciekawszej uciekamy”. I właściwie temu, co „nie staje w duszy”, poświęcone są szkice w recenzowanym tomie. Autorzy sesji stawiają szereg pytań: o bycie bardziej i bycie mniej, o uwalnianie zamrozo-

nych emocji, ale też o zagubienie śladów Boga, melancholię, edukację, żal, śmierć i nadzieję. Są to fascynujące pytania i równie ekscytujące odpowiedzi, albo raczej próby dotknięcia problemu.

Na ile sposobów można pisać o zjawiskach niedających się określić, a często o osobistych odczuciach z pogranicza psychologii, religii, etyki? Na wiele, co pokazują Kurek i Maliszewski tak dobierając teksty, by dawały ogląd trzech zasadniczych grup tematycznych: *O paradoksach utraty*, *O lustrze śmierci i O braku różnych*. Kim są autorzy? Filologami, filozofami, teologami, nauczycielami, pedagogami, jest też w gronie lekarz – specjalista medycyny paliatywnej, kulturoznawca, są naukowcy różnych dyscyplin humanistycznych.

Spojrzenie na tytułowe zagadnienie jest wszechstronne. Utrata bowiem jawi się nie tylko jako ubywanie, ale też zjawisko, dzięki któremu zyskujemy. Pojawiają się wówczas inne wartości, które zaczynamy dostrzegać. Już w samych tytułach artykułów jest wiele metafor, próby dotknięcia niedotykalnego. Najbardziej zafascynowały mnie szkice A. Kunce *To, co puste*, K. Maliszewskiego *Wszystkie komety świata. Szkice o topografii i pedagogii utraty* oraz opowieść J. Kurka o sztuce rzeźbiarskiej T. Wenklara.

Kunce wywodzi swoje rozważania od ludów pustyni, którzy pozornie nie posiadają niczego na stałe, a jednak mają wszystko, co do życia im niezbędne. Nie ma u nich nadmiaru, dlatego inaczej postrzegają utratę. Ich życie determinuje inny etos, odmienne jest podejście do wartości społecznych, posiadania oraz odczuwania tego, co nazywamy domem. Autorka przeprowadza czytelnika przez przestrzenie wędrowców, pustynie rzeczywiste i zadane sobie samemu. W zakończeniu szkicu obok Beduinów i Tuaregów stawia także Toskańczyków i... Ślązaków z ich „doświadczeniem pustynności”. Skąd to zestawienie? Kunce pisze: „To elementarny niepokój, kruchość i niestałość, którymi jest podszyta tożsamość tzw. silnych regionów. To troska o nie-własne miejsce jako miejsce zadane. Kiedy „pustynia” staje się fundamentem naszego myślenia, jesteśmy (...) w stanie podjąć troskę o zarysowane miejsce, które staje się dla nas ziemią obiecaną”.

Esaj Maliszewskiego to niebywale ważny tekst dla współczesnej edukacji, o której tak wiele się mówi. Autor proponuje inny jej ogląd – jako części kultury, kształtowania człowieka, jego potrzeb, wrażliwości. I właśnie w utracie dostrzega on to, co pozytywne, co jest motorem zmian, co powoduje poszukiwanie innego. Wyraża to następu-

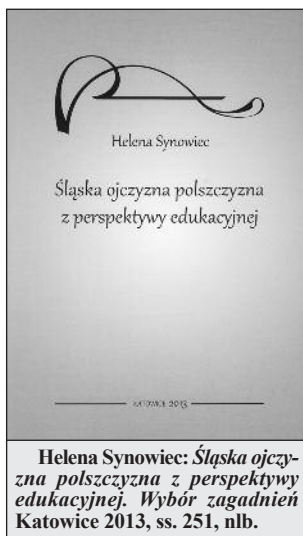
jąco: „Na utracie polega funkcjonowanie kultury”. I dalej: „Edukacja (...) jest przestrzenią strat, braków, zniknięć, przemilczeń”. Według Maliszewskiego: „Utrata – choć wolelibyśmy inaczej – jest ważnym mechanizmem rozwojowym (...). Brak jest zatem częścią gospodarowania życiem”. I trudno nie zgodzić się z autorem tezy, gdy zastanowimy się nad posiadaną władzą, wytyczaniem coraz to mniej osiągalnych celów finansowych i materialnych, nadmiarem ambicji i przerostem zamierzeń nad możliwościami.

Maliszewski przytacza też za L. Witkowskim kategorię autorytetu „strażnika braku”, „czyli tego, kto pomagałby uczniom rozpoznawać deficyty, pułapki i zagrożenia posiadanego potencjału oraz przywracać kontakt z utraconym poczuciem braku”. Zaraz dodaje jednak dość pesymistycznie: „Kłopot polega (...) na tym, że straty duchowe (intelektualne, emocjonalne, moralne) niejednokrotnie zacierają za sobą ślady. Współczesny narcyz, anomijny konsument nie odczuwa zazwyczaj pustki (...), którą jest dotknięty”. Tekst Maliszewskiego powinien być zatem lekturą obowiązkową dla nas wszystkich, bo jak pisze w podsumowaniu autor: „Utrata (...) może zniszczyć życie. Jednocześnie stanowi jeden z najważniejszych mechanizmów rozwojowych”. Warto i trzeba o tym paradoksie pomyśleć.

Czy piękno może wyrastać z żalu i tęsknoty? Na to pytanie odpowiada Kurek w szkicu o twórczości Wenklara, młodego artysty rzeźbiarza z Tychów. Obu połączyła jakiś czas temu miłość do muzyki, radość słuchania dobrego rocka i bluesa tworzonego przez największych. Wenklar nieustannie rzeźbi „swojego” Riedla, Hendrixa – dosłownie i w przenośni.

Rzeźbiarz to specyficzne zajęcie – rękoma lepi w glinie nowe życie z własnej wyobraźni. Nieważne, czy to postać jego babci czy pomniki Wejchertów – budowniczych Tychów, czy ukochanego Witkacego przy Muzeum Historii Katowic. „Utrata ostatecznie nie jest końcem” – to zdanie stało się mottem życiowym Wenklara. Sztuka daje nieśmiertelność – wobec utraty zdanie to ma swój wyjątkowy sens. Sztuka bowiem pozwala na obecność tych, których już nie ma. I w takim samym lub podobnym odczuwaniu utraty są blisko siebie Wenklar i Kurek. Idąc tym tropem, wchodzimy w sferę transcendencji, w którą często chcemy wierzyć, że kiedyś po śmierci spotkamy tych wszystkich bliskich, których utraciliśmy. Czy jednak na pewno utraciliśmy, skoro ciągle są z nami?

WIESŁAWA KONOPELSKA



Śląska ojczyzna polszczyzna w domu i w szkole

Najnowsza książka profesor Heleny Synowiec o gwarze śląskiej z perspektywy edukacyjnej wyrasta z dwóch źródeł: domowego i naukowego. Znakomite zakorzenienie w sprawach śląskich mieszkanki Chełmu Śląskiego, tradycje rodzinne i miejscowe środowisko, w którego życiu badaczka uczestniczyła, pozwalają słuchać na co dzień żywego dialektu śląskiego. Ten fakt nie przeszkadza w równie energicznym udziale w życiu Uniwersytetu Śląskiego, jak i naukowym w całej Polsce.

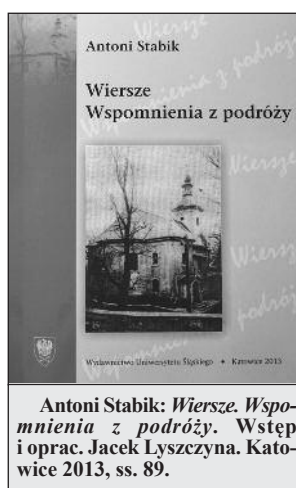
Książka *Śląska ojczyzna polszczyzna z perspektywy edukacyjnej* powstawała przez wiele lat i jest efektem pasji uczzonej, mierzliwie docierającej do świadectw i materiałów na temat życia szkoły i form edukacji regionalnej na Śląsku. Helena Synowiec miała to szczęście, że w Uniwersytecie Śląskim poznała jeszcze to pokolenie polonistów, które w dwudziestolecu przywędrowało do Katowic z Małopolski w poczuciu misji patriotycznej, ale też z nadzieją na dobre warunki życia w nowo powstałym wo-

jewództwie. Najwybitniejszą przedstawicielką tej generacji była Mieczysława Mitera-Dobrowolska, która zdecydowała o dalszym losie młodej polonistki, pozostawiając ją w swojej katedrze i wprowadzając w krąg własnych pasji. Idąc drogą wytyczoną przez starsze pokolenie badaczy, Helena Synowiec zainteresowała się m. in. gazetkami szkolnymi, ukazującymi się w różnych placówkach oświatowych przedwojennego województwa śląskiego, a stanowiącymi bogate źródło wiedzy o dawnych uczniach, którzy sami prowadzili badania nad gwarami i robili to, zdaniem uczzonej, całkiem profesjonalnie. Z publikacji dowiadujemy się też o programach i podręcznikach, które wcale nie tępiły gwary, ale traktowały ją jako punkt odniesienia dla polszczyzny ogólnej. Wreszcie padają nazwiska: Tadeusza Lehra-Splawińskiego, Zenona Klemensiewicza, Kazimierza Nitscha, Stanisława Bąka – naukowców badających gwary śląskie i poświadczających ich wartość swoim autorytetem. Dobrze, że przytoczono także opinie ks. Emila Szramka i Gustawa Morcinka, bo dodają one książce niezwyklej barwy i poszerzają kontekst badawczy o życie religijne i literaturę piękną.

Kiedyś nauczyciele dysponowali czytankami śląskimi, dzięki którym sami mogli się dokształcić w zakresie kultury śląskiej, a następnie pokazać uczniom dobre teksty literackie i folklorystyczne, wskazać tradycję i wzbudzić poczucie dumy z ziemi najbliższej. Dzięki tym podręcznikom szkoła zbliżała się do domu, a gwara zyskiwała nobilitację. Dzisiaj takich książek brak i głos uczzonej jest ważnym uświadomieniem tej sytuacji. Nigdy nie tepiono tu urzędowo gwar śląskich, nigdy nie były zakazane, i Helena Synowiec przekonująco pokazuje całą nieprawdę tzw. „krzywdy śląskiej”, która nie wiadomo czemu ma służyć. Mocno i żywo brzmią słowa Ireny Bajerowej, przywołane w *Śląskiej ojczyźnie-polszczyźnie*: „Nie wstyďte się swej rodzimnej gwary, nie wyśmiewajcie się z mowy wiejskiej, lecz przysłuchujcie się jej z zainteresowaniem i szacunkiem”.

Książka Heleny Synowiec jest ważnym apelem o miejsce gwar i kształcenia regionalnego w życiu współczesnej szkoły, o szacunek i powagę w podejściu, o uwolnienie tych spraw od doraźnych celów politycznych. Nie tylko na Śląsku, ale w każdym regionie, gdyż uczona stworzyła model rozumienia wartości regionalnych w szkolnej edukacji w całej Polsce i wytyczyła perspektywy badawcze na wiele kolejnych lat.

KRYSTYNA
HESKA-KWAŚNIEWICZ



Antoni Stabik: *Wiersze. Wspomnienia z podróży. Wstęp i oprac. Jacek Lyszczyna. Katowice 2013, ss. 89.*

Stabik – poeta i podróżnik

Wiersze. *Wspomnienia z podróży* A. Stabika w opracowaniu i ze wstępem J. Lyszczyny to pozycja godna uwagi. Autor opracowania – badacz epoki romantyzmu, profesor w Zakładzie Historii Literatury Oświecenia i Romantyzmu Uniwersytetu Śląskiego – wybrał do zbioru poezje Stabika z tomu *Żarty niezarty, czyli Wierszoklectwa wesółych i poważnych marzeń* (Rybnik, 1848) oraz fragmenty z publikacji *Wspomnienia z podróży do Włoch Górnych i Dolnych* (Wrocław, 1867) oraz *Żywe wyobrażenie Męki Pańskiej w Oberammergau z własnego widzenia* (Piekary Śl., 1870).

Lyszczyna wyselekcjonował dla współczesnego czytelnika najbardziej udane, a zarazem różnorodne w tematyce i stylistyce wiersze, potwierdzające obecność w twórczości Stabika wielu różnych tradycji. Romantyczne cechy dostrzec można w tłumaczeniach utworów F. Schillera, L. Kosegartena i M. Opitza, a także wyraźnych aluzjach do tomu poezji A. Mickiewicza z 1822 roku, zawierającego cykl *Balad i romansów*. Nawiązania do Oświecenia uwidaczniają się w głoszeniu takich ideałów, jak kult wiedzy czy nakaz użyteczności społecznej, a tak-

że w stosowaniu elementów satyry. Inspiracje poezją renesansową znajdziemy w „horacjańskich i anacreontycznych afirmacjach radości życia i uroków wesolej biesiady”, będących echem pieśni i frazsek J. Kochanowskiego. W wierszach Stabika można także wskazać związki z nurtem dworskim poezji barokowej, przepojonym konceptyzmem gry, zabawy, przeznaczonej głównie dla kręgu przyjaciół. Lyszczyna stwierdził, że dziewiętnastowiecznej poezji śląskiej przyswoił on jednak przede wszystkim wzory renesansowe i oświeceniowe.

Poezję Stabika wysoko oceniali J. Kudera – kapłan, pisarz oraz badacz historii kultury, oraz W. Ogrodziński – nauczyciel, tłumacz oraz badacz dawnego piśmiennictwa polskiego na Śląsku. Lyszczyna we wprowadzeniu potwierdza, iż jako poeta był on jednym z pierwszych piszących po polsku i niemającym „sobie wówczas na Śląsku równych aż do czasu należących już do następnego pokolenia innych księży poetów” (N. Bonczyka i K. Damrota).

Druga część książki zawiera fragmenty z podróży do Włoch Górnych i Dolnych w latach 1864-1865 oraz opis misterium Męki Pańskiej, wystawianego w bawarskim Oberammergau od XVII wieku. Pierwsze notatki zostały tak wybrane, że zawierają jedynie osobiste uwagi Stabika na temat odwiedzonych miast, obejrzanych zabytków, zaobserwowanych problemów społecznych oraz wrażeń z audencji u papieża Piusa IX. Lyszczyna świadomie zrezygnował z publikacji obszernych passusów, które kapłan przepisał z innych opracowań, chcąc zebrać dla polskiego czytelnika wszystkie najważniejsze informacje na temat współczesnych mu Włoch. Dzięki takiej selekcji materiału odbiorca może poznać nie tylko ówczesną Italię, ale nade wszystko autora opisów, żywo przeżywającego swoją peregrynację. Z kolei fragmenty z podróży do Oberammergau są przykładem praktycznych informacji dla pielgrzymów.

Z recenzowanego zbioru wylania się osobowość nie dająca się ująć w jeden schemat. Był bowiem Stabik kapłanem, działaczem społecznym i oświatowym, poetą, podróżnikiem, ale i duszą towarzysztwa.

KATARZYNA BERETA

Słownik pisarzy śląskich. Tom 4. [Jacek Lyszczyna, Dariusz Rott]. Wyd. Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2013, s. 136.

To już czwarty tom słownika wydawanego w systemie holenderskim, czyli obok siebie drukowane są biogramy pisarzy z różnych epok, ułożone zawsze w powtarzającym się w poszczególnych książkach porządku alfabetycznym. Lubię je przeglądać, bo pokazują wielką różnorodność śląskiej literatury, czy może raczej piśmiennictwa. Niemcy sąsiadują tu z Polakami, katolicy z ewangelikami, rodowici Ślązacy z twórcami, którzy związali się z regionem tylko chwilowo. Wśród tych dawniejszych pisarzy (co nie jest żadnym zaskoczeniem) dominują duchowni. W tym tomie znajdziemy m.in. księży Ficka, Szramka, Kosyrzyka, Kuderę, jest i lekarz, Juliusz Roger, zbieracz polskich pieśni ludu śląskiego, możemy też spotkać Pawła Hulkę-Laskowskiego – tłumacza Jarosława Haszka. Oczywiście najważniejsze są dokonania literackie uwzględnionych w tomie autorów, ale interesujące są też ich biografie, które znakomicie ilustrują różnorodne śląskie losy. Rzecz nie tylko dla polonistów.

Vademecum Śląsk: badania śląskoznawcze. [Red. Joanna Podgórska-Rykała, Katarzyna Stelmach, Jarosław Wichura]. Wyd. Towarzystwo Inicjatywy Naukowych Wydział Nauk Społecznych UŚ, Katowice 2013, s. 332.

To książka dla tych, którzy lubią studiować liczne tabele i wykresy, w ten sposób bowiem przedstawiono wiele wyników badań. Ankiety przeprowadzono na terenie całej Polski oraz w regionie, dotyczyły bardzo różnych dziedzin życia (zarobki, religijność, sąd na temat autonomii itd.) Trzeba powiedzieć, że wyniki tych badań świadczą o tym, że w Polsce stereotypy na temat Ślązaków mają się całkiem dobrze. W centralnym regionie naszego kraju aż 23% respondentów uważa, że na Śląsku mieszkają głównie Niemcy. W regionie wschodnim tego zdania jest 31%. Z drugiej strony uważają nas za pracowitych i uczciwych. Ale – jak wykazuje kolejne badanie – nie cieszymy się bynajmniej sympatią. Sygnalizuję w skrócie tylko niektóre z zawartych w książce tematów. Mam jednak nadzieję, że publikacja zainteresuje czytelników ciekawych, jaki też jest wizerunek Śląska w naszym pięknym kraju.

Krystyna Pieronkiewicz-Pieczko, Małgorzata Paul: *Lale, misie, koniki... Zabawki w zbiorach Muzeum Śląskiego w Katowicach. Dolls, Teddies, Horses... Toys in the Collection of the Silesian Museum in Katowice.* Wyd. Muzeum Śląskie w Katowicach, Katowice 2013, s. 248.

Zachwycająca księga. Księga, bo imponujących wymiarów. Tytuł właściwie mówi wszystko – to album prezentujący zabawki ze zbiorów Muzeum Śląskiego. Pogrupowane w działy. Zaczyna się od zabawek wykonanych przez dzieci. Proste – obręcz z beczki, którą się „poganiało” patykiem albo zagiętym metalowym prętem, proca, puszka z karbidem (strzelało się w dzieciństwie). Potem drewniane ptaszki, koniki, karety i wozy na kółkach, które zostały wystrugane gdzieś na wsi i przywiezione do miasta na odpustowy, czy jarmarczny stragan. I dawne lalki z domkami, mebelkami, miniaturowymi naczyniami, misie, zabawki militarne – np. żołnierzyki, jeszcze samochody, pacynki, gry. Album zamykają stare, czy – to chyba brzmi lepiej – archiwalne zdjęcia dzieci z zabawkami. Dawnych wspomnień czar o ileż ciekawszy od komputerowych gier.

Maryla Sitkowska, Ewa Liszka: *Władysław Skoczylas – mistrz Pawła Stellera.* Wyd. Muzeum Historii Katowic, Katowice 2014, s. 68.

Publikacja towarzyszyła wystawie prac tych dwóch artystów zorganizowanej przez Oddział Muzeum Historii Katowic Dział Grafiki im. Pawła Stellera. Coraz częściej odnotowuję w swojej rubryce publikacje muzealne, przy czym z przyjemnością dostrzegam ich walory merytoryczne, ale również poligraficzne. To są po prostu ładne wydawnictwa. I jest to dla mnie zaskakujące, powiem więcej – niepojęte. Rozmawiam na co dzień z muzealnikami i wiem, że ich placówkom brakuje pieniędzy np. na tusz do drukarek (nie mówię już o jakichś remontach), zaś oni sami – mówiąc eufemistycznie – zarabiają średnio. A mimo to wydają coraz piękniejsze książki, organizują coraz ciekawsze imprezy. Skoczylasa ani Stellera przedstawiać (taką przynajmniej mam nadzieję) nikomu nie trzeba. Warto jednak mieć pod ręką albumik z reprodukcjami ich prac, po to, żeby od czasu do czasu sobie tę sztukę pooglądać. I poczytać o ich życiu oraz twórczości. Polecam, zwłaszcza miłośnikom grafiki.

Franciszek Wyleżuch: *Grafika i malarstwo.* Wyd. Muzeum Miejskie w Tychach, Tychy 2014, s. 44.

Dużą część poprzedniej noty mógłbym w tym miejscu spokojnie powtórzyć, bo od miesięcy odnotowuję w swojej rubryce starannie wydane publikacje Muzeum Miejskiego w Tychach. Mógłbym również polecić tę książeczkę wszystkim, którzy interesują się grafiką. Ale to coś więcej niż tylko album dzieł prezentowanych na wystawie. Zarówno Maria Lipok-Bierwiaczonek jak i autor scenariusza ekspozycji Patryk Oczko swoje teksty poświęcili w znacznym stopniu temu, czego nie ma w muzeum, jest za to na co dzień do oglądania w Tychach. W tym mieście bowiem wiele budynków zdobią mozaiki Franciszka Wyleżucha. Zobaczyć je można w kościołach, szkołach, na elewacjach rozmaitych gmachów. Zatem przestrzeń miasta stała się w naturalny sposób przedłużeniem tej konkretnej muzealnej wystawy. Zdjęcia mozaik także zamieszczono w publikacji, poza tym jednak znalazły się w niej także fotografie archiwalne, w tym bardzo cenna – dyplomantów ASP z roku 1957 z profesorem i mistrzem Leonem Dołyckim.

Jola Kubik: *Moje Piekary.* Wyd. Jotka Usługi Wydawnicze, Piekary Śląskie 2013, s. 240.

Jola Kubik napisała na okładce: Piekary Śląskie to moje miejsce na ziemi, mój osobisty raj. I tym razem chce się podzielić z czytelnikami. Jak? Poprzez reportaże ułożone w działy: „Miejsca”, „Ludzie”, „Wydarzenia”. Są przedzielone „Ciekawostkami” – takie rzeczy też należą do pracy dziennikarskiej. Jeżeli ktoś jest z Piekar w książce musi się oczywiście znaleźć wiele tekstów związanych z życiem religijnym, czego przykładem mogą być reportaże poświęcone Kalwarii na Cerekwicy. Ale, co absolutnie mięci się w pojęciu „patriotyzm lokalny” są i inne miejsca magiczne – Kopiec Wyzwolenia, z nowszych – Radio Piekary. W tekstach poświęconych ludziom autorka pisze zarówno o postaciach historycznych (Wawrzyniec Hajda) jak i o współczesnych. Uderzyło mnie, że sporo miejsca poświęciła na rozmowy z poetkami, zacząłem nawet podejrzewać, iż sama pisze wiersze. Kardynał Hlond powiedział kiedyś, że kto chce poznać śląski lud, musi odwiedzić Piekary. Zatem jeśli chcecie nas poznać – czytajcie.

Anekdoty

HENRYK BZDOK

Zawsze podziwiałem misternie ułożone przez brukarzy kamienie na drogach.

W znacznych zakątkach miast historycznych i w nowych dzielnicach podmiejskich.

Te w centrach przetrwały wiele lat i tkwią niewzruszone, te na przedmieściach to bogate kompozycje brukowe mające przynieść podziw dla gospodarzy przed ich rezydencjami.

Jest bezsprzecznie sztuką umiejętność układania kamiennych kostek według ustalonego wzoru jak i takie ich kładzenie, by wzajemnie się wspierając, nie rozspadały się i nie dały się ruszyć. Wiedzą to budowniczo barykad co w protestach usiłują je wyrwać z jezdni...



Układano przed paru laty kostkę granitową na Bulwarach Rawy, na jezdni o szerokości około 4 metrów, brukarzy też było czterech, plus jeden rezerwowy, brygadzysta czy bliższy impresjonizmowi niż brukarstwu. Jak to możliwe, że drogi rzymskie zbudowane ponad dwa tysiące lat temu trwają a ta po paru latach nie.

Wszyscy palili, ręce były w ciągłym wolnym ruchu pomiędzy kostką a papierosem, sprawiali wrażenie jakby obojętnych, zadumanych a zarazem bardzo zafrapowanych kostką granitową.

Brali ją w ręce jak kostkę Rubika, było widać, że mają problem jak ją odwrócić...

Pracując tak budowali nową drogę z szybkością jednego metra (sic.) na roboczościówkę. Podziwu godna praca, połączona z równoczesnym opalaniem się w letnim słońcu.

Jeden metr bieżący drogi, codziennie jeden metr w czterech.

Po paru miesiącach droga została ukończona, nic to, że była jakby trochę wyboista, a układ kamienia był bliższy impresjonizmowi niż brukarstwu. Jak to możliwe, że drogi rzymskie zbudowane ponad dwa tysiące lat temu trwają a ta po paru latach nie.

Kostka wypada z lica jezdni, droga zamieniła się w ślalom dla pojazdów, widać ktoś to z naczelstwa zauważył, bo zaczęli naprawę...

Idąc kiedyś remontowaną ulicą Chopina, wśród brukarzy zoczyłem swego młodszego kolegę artystę plastyka Łukasika, porozmawialiśmy chwilę a potem wrócił do swej pracy, do układania kostek, które pozwalają mu przetrwać. Trzeba z czegoś żyć – powiedział na odchodnym.

To, co on ułożył do dzisiaj nie drgnęło, widać wiedział, że by jakoś żyć trzeba i jakoś pracować. Kontynuowaliśmy rozmowę przy ponownym spotkaniu, wyrażałem podziw dla tej trudnej, monotonnej i mało kreatywnej pracy.

– Powiedz – zapytałem, czy można znaleźć w tej pracy jakąś odrobinę satysfakcji, coś co by ją umilało i dawało odrobinę twórczego zadowolenia?

– Ależ tak – odrzekł – wystarczy pomyśleć, że kamienie są kolorowe...

Bywają takie chwile, że zasnąć trudno po przerwaniu snu. By nie leżeć i dać się porwać nostalgii za mijającą nieubłaganie młodością, mam w zapasie linki do pomysłów i wyliczanek...

No to sobie wybrałem temat – Graficy: imię nazwisko, praca.

W kolejności przypadkowej. Janina Biała, żona Ferdka, linoryty – ptaki, kwiaty, słońca, ... Marian Malina, postacie we własnej technice – celiografii.



Nasuwa mi się wspomnienie z lat siedemdziesiątych, kiedy to Malina z wyboru Jury otrzymał pierwszą nagrodę w konkursie „Grafika Roku”, po otwarciu kopert jednakże okazało się, że to nie On był autorem nagrodzonej pracy lecz mniej znany grafik Bronisław Jarczok, który chyba jedynie przez tę doskonałą podróbkę, pozostał mi w pamięci.

Roman Starak, proste, bardzo proste, doskonale... pejzaże linoryty.

Jest i ten, no ten, co to jego deski drzeworytnicze, podmalowane wiesz w Wydziale Kultury Urzędu Marszałkowskiego... no, Stefan – od tematyki wiejskiej – Suberlak, z Katowic do Ujsoł uciekł, ale nie z tego powodu Żywiecczynę do Śląskiego potem podłączono.

Jan Nowak – fajny starszy kolega, wcześniej asystent u Raka – litoGRAFIA, orkiestry, clowni, cyrk i muzyka... jeszcze nie śpię, więc i dalej wyszukuję w pamięci – Ryszard Osadczy, ten wybył do Częstochowy, tematów nie pamiętam, snują mi się jakieś kuliste formy, w technice mieszanej.

Zygmunt Acedański – szef Oddziału Gliwickiego ZPAP i teść Jurka Sajdaka... linoryty o tematyce historycznej, Joanna Bogusławska i ostre wejście ze swoimi linorytami.

Tadeusz Siara – listy w akwafortie.

Steller Paweł, od niego winieniem zacząć, drzeworyty sztorcowe, portrety, pejzaże.

Kazimierz Moździerz, drzeworyty, ekslibrisy, pogodny bytomski kolega, było że jechaliśmy na Walny Zjazd do Lublina, przed Kazimierzem Dolnym zatrzymał samochód i prosił by go na tle szyldu miasta sfotografować, by być blisko napisu trzeba go było podnosić, bo był jak Napoleon.

Kazimierz Kandfer – trochę kapral dla młodszych kolegów, ale życzyliwy linoryty...

Rak Aleksander, „ojciec” całej tej rzeszy, właściwie to pod jego surową ręką wyrosła cała rzesza katowickich grafików, poważny profesor, którego udało mi się rozśmieszyć swoim projektem linorytu o picassowskiej tematyce corridy, „chłopie, ten byk u Was taki mały...” jako emeryt mieszkał niedaleko mego nowego miejsca pobytu, co skłoniło mnie do odwiedzenia go z okazji imienin.

Profesor okazał się bardzo przyjaznym, ten który nas ganił kiedy byliśmy „po piwie”, teraz poczęstował kieliszką nalewki, a potem „no to Panowie na drugą nogę”...

Wyliczam dalej – Jadwiga Smykowska, dobre drzeworyty, Kazimierz Szoltysek z Zabrze, miedzioryty, i jeszcze ktoś na „S” Szypuła Ferdka – mistrz nie lada, miał początki w linorycie, aktualnie tworzy w technice cyfrowej.

Jeszcze jeden, mam go na końcu języka, zaczyna się na „Sz”, próbuję Szi... Sze... Szo... Szu... Szu... i nic, mam jego twarz pod powieką, no taki niewysoki z białą czupryną włosów, tworzy w metalu... małe cudowne grafiki... dalej nic.

Zaczynam się bać, że to pierwsze objawy...

Pustka, dlaczego nie pamiętam... więc wyliczam dalej – Jan Walałach – drzeworytnik, Franciszek Wyleżuch – linoryt, Stanisław Gawron – akwaforta, i jeszcze jeden w akwafortie – Tadeusz Czober, a tego na „SZ” dalej nie mogę sobie przypomnieć... mija bezsensowna godzina, gdy naraz, bez fanfar wyświeśla mi się nazwisko Szmatloch, Jan Szmatloch.

O, dzięki Bogu to nie Teresina.

Pytacie co to Teresina? Tak mówią moi włoscy Przyjaciele – to samo co Alzheimer, tyle że brzmi znacznie lepiej...

Historia bibliotek jest nierozwalnie związana z dziejami społeczności, którym służą. Nie inaczej układały się losy książnicy w Siemianowicach Śląskich. Miejska Biblioteka Publiczna w Siemianowicach Śląskich to największa – i jedna z najstarszych – instytucja upowszechniania kultury w mieście. Jest spadkobierczynią tradycji oświatowych, krzewionych m.in. przez Towarzystwo Czytelní Ludowych, którego początki sięgają połowy XIX w. Pierwszą bibliotekę prowadził Związek Chrześcijańsko-Ludowy, działający w Siemianowicach Śląskich od 1881 r. Nad księgozbiorem, liczącym 157 książek, pieczę sprawował Piotr Kołodziej. Powojenne dzieje biblioteki rozpoczęły się 21 stycznia 1948 r., gdy uchwałą Miejskiej Rady Narodowej utworzono w Siemianowicach Śląskich Miejską Bibliotekę Publiczną.

Biblioteka jest ważnym punktem na mapie kulturalnej miasta. To miejsce, które mieszkańcy odwiedzają coraz częściej i chętniej – nie tylko, by wypożyczyć książkę czy przeczytać świeżą prasę, ale także, by wziąć udział w imprezach organizowanych przez książnicę. Siemianowicką sieć biblioteczną tworzą Biblioteka Centralna, mieszcząca się w centrum miasta, a także dziewięć filii, umiejscowionych w każdej dzielnicy. Placówka filialna znajduje się również w szpitalu, gdzie służy pacjentom oraz personelowi.

Do biblioteki można przyjść, by obejrzeć ciekawą wystawę malarstwa, fotografii czy ekslibrisu, spotkać się z pisarzem, wziąć udział w warsztatach komputerowych, wysłuchać wykładu Uniwersytetu Trzeciego Wieku, jak również, by podzielić się swoją opinią na temat przeczytanych książek podczas spotkań Dyskusyjnego Klubu Książki. Nasza oferta skierowana jest do szerokiego grona odbiorców – dzieci w wieku przedszkolnym i seniorów, jak również do osób niepełnosprawnych, i – co ważne – jest nieodpłatna.

Idąc z duchem czasu, staramy się być aktywni w Internecie. Można się z nami kontaktować nie tylko tradycyjnie, ale też za pomocą komunikatorów. Mamy swój profil na Facebooku, na którym informujemy o wydarzeniach z życia biblioteki i o ciekawostkach okołoliterackich.

Sporą grupę naszych użytkowników stanowią emeryci, którzy nie tylko korzystają z księgozbioru, ale również są słuchaczami Siemianowickiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku, prowadzonego w bibliotece we współpracy ze Stowarzyszeniem Siemianowickiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Seniorzy uczęszczają



„Sztuka zabawy, zabawa sztuką” – warsztaty rękodzieła

MBP w Siemianowicach Śląskich

U nas ciągle coś się dzieje

na zajęcia komputerowe, chętnie biorą udział w organizowanych przez nas imprezach: wystawach, spotkaniach literackich i podróźniczych czy w zebraniach Dyskusyjnego Klubu Książki, który działa w naszej książnicy od 2007 r.

Biblioteka dysponuje księgozbiorem liczącym 245 857 woluminów, posiada zbiory audiowizualne (1620 jednostek) i elektroniczne (157 jednostek). W 2013 r. w Bibliotece Centralnej oraz w dziewięciu placówkach filialnych odnotowaliśmy 11 000 czytelników, którzy wypożyczyli 264 000 książek. O popularności biblioteki w środowisku lokalnym świadczy liczba odwiedzin, których zarejestrowaliśmy 118 000. Od grudnia 2013 r. nasi czytelnicy mają dostęp do serwisu Ibuk Libra, dzięki któremu mogą korzystać on-line z około 140 publikacji popularnonaukowych z zakresu humanistyki, nauk społecznych, ekonomicznych, matematyczno-przyrodniczych, prawnych, medycyny i informatyki. We wszystkich naszych placówkach oferujemy bezpłatny

prezentując ich prace w Galerii Otwartej, w której co miesiąc można podziwiać nową wystawę. Dużym zainteresowaniem cieszą się spotkania Dyskusyjnego Klubu Książki oraz wizyty autorów. Ostatnio w naszych progach gościliśmy Tadeusza Rossa, Marcina Mellerę i Katarzynę Enerlich. Od jakiegoś czasu obserwujemy renesans rękodzieła, stąd nasza nowa propozycja – warsztaty z cyklu Spotkania z Wyobraźnią. Uczestnicy, wykorzystując rozmaite techniki (m.in.: filcowanie, sutasz, decoupage), tworzą biżuterię i ozdoby. Z kolei z myślą o osobach kochających dalekie podróże organizowane są spotkania z cyklu Wędrówki dalekie i bliskie. Zaproszeni goście dzielą się swoimi wrażeniami z wojaży, opowiadają o przygodach, które przeżyli w odległych krajach, prezentują zdjęcia i pamiątki.

To tylko część naszej propozycji, co w doskonały sposób obrazuje przemiany zachodzące w funkcjonowaniu bibliotek. Działania animacyjne i edukacyjne na stałe wpisały się w ofertę biblioteczną. Książnica jest miejscem, które tętni życiem. „U was ciągle coś się dzieje” – często słyszymy od czytelników i trudno się z tym nie zgodzić, bo nie ma dnia, w którym nie byłaby zaplanowana impreza, warsztat, wykład czy wystawa.

Pochlebne komentarze czytelników świadczą o tym, że jesteśmy zauważani, doceniani, że to, co robimy, ma sens i jest potrzebne.

PATRYCJA SKOREK
WIESŁAWA SZLACHTA



Wernisaż w Galerii Otwartej

Zdjęcia z arch. MBP w Siemianowicach Śl.



Przewodniczący Sejmiku Andrzej Gościński odznacza chórmiestrza i szefa zespołu – Jarosława Wolanina.



Marszałek Miroslaw Sekula odznaczył kilkudziesięciu zasłużonych chórzystów.

Zdjęcia: Zbigniew Sawicz

40 lat Chóru Filharmonii Śląskiej

Odą *Blest Pair of Sirens* i *Mszą c-moll Wielką* Wolfganga Amadeusza Mozarta uczcili śląscy filharmonicy jubileusz 40-lecia działalności Chóru Filharmonii Śląskiej. Galowy koncert odbył się 16 maja w oddanej z końcem marca zmodernizowanej siedzibie, tak więc chórzyci mogli świętować „u siebie”.

Historia Chóru Filharmonii Śląskiej ma swój początek w chorze „Ogniwo”, jednym z najświetniejszych zespołów amatorskiego ruchu muzycznego. Zespół ten towarzyszył śląskim filharmonikom przez 30 sezonów. W 1974 roku profesjonalny chór założył z inicjatywy prof. Karola Stryji, prof. Jan Wojtacha, który prowadził zespół przez 30 lat.

Od czasu koncertowego debiutu w czerwcu 1975 roku chór uczestniczył w prestiżowych festiwalach (jak m.in. Międzynarodowy Festiwal Oratoryjno-Kantatowy *Wratislavia Cantans*), w swoim dorobku artystycznym posiada wiele prawykonań i nagrań płytowych. Są wśród nich m.in. pierwsza w Polsce prezentacja *Snu Geroncjusza* E. Elgara czy pierwsze w kontekście liturgicznym wykonanie *Missa pro pace* Wojciecha Kilara.

Zespół występował w najważniejszych ośrodkach muzycznych w kraju a także za granicą.

Następcą prof. Jana Wojtacha był w latach 2004-2009 Waldemar Stryk, a w sezonie 2009/2014 kierownictwo chóru objął Jarosław Wolanin. Za jego dyrekcji chór poszerzył swoje muzyczne emploty o utwory a apella, chorał gregoriański, utwory od muzyki dawnej po współczesną. Jarosław Wolanin podejmuje się prawykonań muzyki nieznannej jak i promuje muzykę najnowszą, nie będącą w powszechnym koncertowym obiegu, jak np. *Z pieśni kościelnych* Henryka Mikołaja Góreckiego czy Eugeniusza Knapika *Radiated in Eternity* czy Wojciecha Kilara *Hymn paschalny*.

Podczas koncertu galowego, w części oficjalnej były podziękowania, gratulacje i odznaczenia, które zasłużonym chórzystom wręczał przewodniczący Sejmiku Samorządowego Województwa Śląskiego Andrzej Gościński sprawujący patronat honorowy nad jubileuszem i marszałek województwa śląskiego Miroslaw Sekula. Gratulacje przesłał także prezydent Katowic Piotr Uszok. Na widowni wśród gości honorowych zasiadli także prof. Jan Wojtacha, byli członkowie chóru Filharmonii Śląskiej, przyjaciele i melomani. Koncert wieńczący uroczystość poprowadził Jarosław Wolanin, a drugą część wieczoru prof. Miroslaw Jacek Błaszczyk. (wk)



List gratulacyjny od prezydenta Katowic przekazała dyrektorowi Miroslawowi J. Błaszczykowi wiceprezydent Krystyna Siejna.



Prof. Jan Wojtacha – założyciel chóru i jego wieloletni dyrektor (z lewej), marszałek Miroslaw Sekula i przewodniczący Andrzej Gościński.



Chór – jubilat świętował „u siebie”.

Zdjęcia: Tomasz Żak/BP Urzędu Marszałkowskiego



„Rękopis znaleziony w Saragossie” Jana Potockiego w reż. Pawła Świątka opolskiego teatru wyróżniony nagrodą zespołową



XXXIX OPOLSKIE KONFRONTACJE TEATRALNE „KLASYKA POLSKA”



Spektakl „Wesele” Stanisława Wyspiańskiego w reż. Marcina Libera z Teatru Polskiego z Bydgoszczy

W dniach 18 – 26 maja 2014 r. odbyły się w Opolu XXXIX Opolskie Konfrontacje Teatralne „Klasyka Polska”, pod patronatem Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Marszałka Województwa Opolskiego oraz Prezydenta Miasta Opola, podczas których publiczność obejrzała 13 spektakli, w tym 7 konkursowych, zaprezentowanych przez następujące sceny: Teatr Syrena (Warszawa), Teatr Polski (Bydgoszcz), Teatr im. J. Kochanowskiego (Opole), Teatr Nowy (Poznań), Teatr Polski (Wrocław), Och-Teatr (Warszawa), Teatr im. A. Fredry (Gniezno). Opolskim Konfrontacjom towarzyszyły także liczne wydarzenia z różnych dziedzin sztuki, nadając festiwalowi charakter interdyscyplinarnego, skierowanego do szerokiego grona odbiorców.

Jury XXXIX Opolskich Konfrontacji Teatralnych „Klasyka Polska 2014” w składzie: Izabella Cywińska, Maciej Nowak, Paweł Sala przyznało Grand Prix XXXIX Opolskich Konfrontacji Teatralnych „Klasyka Polska 2014” dla spektaklu „Dziady” Adama Mickiewicza w reż. Radosława Rychcika z Teatru Nowego w Poznaniu, Nagrodę zespołową dla Teatru im. Kochanowskiego w Opolu za spektakl „Rękopis znaleziony w Saragossie” Jana Potockiego w reż. Pawła Świątka, Wielką Nagrodę Aktorską dla Bartosza Porczyka za rolę Gustawa w „Dziadach” Adama Mickiewicza w reż. Michała Zadary w Teatrze Polskim we Wrocławiu oraz Nagrodę aktorską dla Justyny Wasilewskiej za rolę Balladyny w spektaklu Teatru Polskiego z Poznania w reż. Krzysztofa Garbaczewskiego.



Chór niewolników ze spektaklu „Dziady” w reż. Radosława Rychcika z Teatru Nowego z Poznania – zdobywcy Grand Prix XXXIX Opolskich Konfrontacji Teatralnych

Czerwone maki

Na sali koncertowej wokół symbolicznej góry ułożonej z wojskowych mundurów licealiści rozpoczynają spotkanie, ale nie jest to szkolna akademicka, na którą nauczyciele spędzają znużonych uczniów. Dziewczyny zaczynają śpiewać a cappella „Czerwone maki na Monte Cassino”. Publiczność wstaje z miejsc: kombatanci, Sybiracy, kresowianie, na przemian z młodzieżą II Liceum im. Zbigniewa Herberta (wcześniej prowadzący uroczystość przypominał, że niegdyś tej pieśni słuchano na stojąco). Jeszcze kilka recytacji wierszy Lechonia, Herberta, Hemara i w niejednym oku zakręciła się Iza... wśród obecnych na sali są świadkowie historii pamiętający losy zesłańców i polskich żołnierzy wprowadzonych z nieludzkiej ziemi. Spotkanie pokoleń z okazji 70. rocznicy bitwy o Monte Cassino w brzeskim Muzeum Piastów Śląskich było okazją do przypomnienia wydarzeń związanych z największym zwycięstwem II Korpusu Polskiego pod dowództwem gen. Władysława Andersa. Po części artystycznej profesor Andrzej Kunert, sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa wygłosił wykład „Tulacza Armia Krajowa na 70. rocznicę Monte Cassino”. Atmosfera spotkania na Śląskim Wawelu była podniosła, młodzież słuchała opowieści w skupieniu, starsi zaś przywoływali rodzinne wspomnienia o losach żołnierzy idących do Ojczyzny przez Persję, Tobruk i wzgórze Italii. Wielu z nich po zakończeniu wojny nie miało dokąd wracać, bliscy zginęli, pozmienniali się granice, dlatego zostali na obczyźnie. Inni wracali pierwszym statkiem do powojennej Polski, do ocalałych z pożogi rodzin w poczuciu odpowiedzialności za losy rodziców, żon i dzieci, choć jeszcze przez wiele lat ubecy obrzydzały im życie. Profesor Kunert nie ukrywał wzruszenia po występie licealistów i zaprosił siedmioosobową grupę młodzieży w skład delegacji Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa na uroczyste obchody 70. rocznicy Bitwy o Monte Cassino na Polskim Cmentarzu Wojennym Monte Cassino we Włoszech. Zaskoczeni licealiści przyjęli zaproszenie z wielką radością. Wjazd do Włoch był dla nich niezwykłym przeżyciem i kontynuacją lekcji historii z brzeskiego Zamku. W trakcie uroczystości zdążyli poznać grupę ostatnich weteranów bitwy i byli pod wrażeniem Apelu Poległych z udziałem Kompanii Honorowej Wojska Polskiego. Wszyscy znajomi widzieli brzeskich licealistów na ekranach telewizorów podczas transmisji z Monte Cassino. Jaki będzie plon rocznicowych obchodów i wspomnianej podróży? Może sięgną po „Bitwę o Monte Cassino” Melchiora Wańkowicza, ale czy młode pokolenie ocali legendę „Czerwonych maków...”? Przeglądając zdjęcia z rodzinnego albumu widzę chłopców z polskich kresów: uśmiechnięci na ile piramid, bazyliki św. Piotra, w okopach na pustyni i wśród Beduinów... białe krzyże. I ta pieśń, która wciąż powraca i wrzeszcza jak naszywka „Poland” odnaleziona w szufladzie, przywołując wspomnienia kiedy na cmentarzu w odległym Monachium, składalem kwiaty na grobie polskiego kompozytora Alfreda Schüta, który obudzony w środku nocy na kilka godzin przed zdobyciem klasztoru skomponował muzykę do tekstu Feliksa Konarskiego. Czerwone maki na Monte Cassino...

JANUSZ WÓJCIK

OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

Radosne Święto Wolności

Już od południa na placu Wolności w stolicy województwa rozpoczęło się radosne, śpiewające, świętowanie 4 czerwca (bez nadmiaru oficjalnych wystąpień i ceremoniału). Obchody zainaugurował festyn z udziałem uczniów polskich szkół i mieszkańców miasta, dla których przygotowano gry, zabawy, konkursy, okolicznościowe gadżety. Na plenerowej estradzie wystąpili laureaci przeglądu zespołów artystycznych „Opolskie szmaragdy”. Wieczorem w Filharmonii Opolskiej Wiesław Pierogorółka poprowadził koncert „Wolność nasza” z udziałem opolskich filharmoników. Gwiazdą wieczoru była Ewa Bem, ale zaśpiewali również wykonawcy związani z Opolem: Jarosław Wasik, Barbara Kurdej-Szatan, Anna Świąteczak i Opole Gospel Choir. Zanim na scenę weszli artyści, uhonorowano przedstawicieli środowisk zaangażowanych w 1989 r. w działalność Opolskiego Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” oraz kampanię wyborczą. Odznaki Honorowe „Za Zasługi dla Województwa Opolskiego” otrzymali: Kazimierz Kobiałko, były przewodniczący OKO „Solidarność” (pośmiertnie, odebrała żona Danuta), Henryk Gałkowski, Iwona Niedojadło, Magdalena Sygnatowicz, Lidia Leszczyńska, Marian Buchowski, Czesław Chmielewski, Piotr Łojko, Ryszard Kowalczyk, Ireneusz Sołek, a także wybitny artysta plastyk – Bolesław Polnar (pośmiertnie, odebrała żona Iwona). Marszałek województwa opolskiego Andrzej Buła po wręczeniu odznak powiedział: *dziękuję wszystkim, którzy w tym przełomowym czasie oddali się całkowicie sprawie najważniejszej – służbie dla odzyskania wolnej ojczyzny.*

Wspominali powstańców śląskich i kadetów

Po raz kolejny pod Pomnikiem Bojowników o Polskość Śląska Opolskiego w Opolu uczczono pamięć Kadetów Lwowskich, którzy uczestniczyli w III Powstaniu Śląskim. Podczas uroczystości z udziałem młodzieży i pocztów sztandarowych opolskich szkół przypomniano, że korpus kade-

tów skupiał kwiat polskiej młodzieży, wychowanej w duchu patriotyzmu, gotowej do najwyższych poświęceń dla ojczyzny. – *Dziś wyrażamy wdzięczność tym odważnym i wspaniałym młodym wychowankom Lwowskiego Korpusu, pełnym patriotyzmu i zapału do walki, którzy walczyli 21 maja na Górze św. Anny i oddali swoje życie dla odradzającej się ojczyzny* – mówił wicemarszałek województwa Tomasz Kosuś. Irena Kalita prezes opolskiego oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich wręczyła prof. Franciszkowi Markowi i prezydentowi Opola okolicznościowe medale. Po złożeniu wiązanek kwiatów pod tablicą upamiętniającą kadetów uroczystości zakończył koncert pieśni patriotycznych i kresowych w klubie muzycznym Filharmonii Opolskiej. W rocznicę walk o Górę św. Anny odbyły się obchody 93. rocznicy III Powstania Śląskiego z udziałem władz województwa opolskiego i śląskiego pod Pomnikiem Czynu Powstańczego na Górze św. Anny. Na uroczystość przybyli kombatanci, młodzież harcerska, przedstawiciele samorządów, instytucji kultury, wojskowi, policjanci i strażacy. *Dziś spotykamy się na uroczystej lekcji historii w przekonaniu, że rozpoczynanie przeszłości jest kluczem do przyszłości... Potrzebujemy prawdy o powstaniach, żeby na niej budować naszą wspólną przyszłość, przyszłość Śląska* – mówił marszałek województwa opolskiego Andrzej Buła.

Opolski ekspres dęty

„Kolej na orkiestrę czyli Opolski ekspres dęty” po raz piąty wyruszył na szlaki kolejowo-turystyczne regionu. Jego pomysłodawca Przemysław Ślusarczyk, dyrygent i kompozytor, postanowił niegdyś wyruszyć w podróż z orkiestrą dętą, aby koncertować na peronach i dworcach odwiedzanych stacji. Muzyczny eksperyment stał się cyklicznym przedsięwzięciem kulturalnym, w ramach którego pociąg z orkiestrą przejechał 650 km i dał ponad 30 koncertów na dworcach i przystankach kolejowych, dzięki współpracy z wieloma instytucjami na czele z Politechniką Opolską, samorządem województwa i spółką Przewozy Regionalne. Partnerstwo zaowocowało promocją uczelni, kolei regionalnych, kultury studenckiej a także oferty turystycznej regionu. Opolski Ekspres Dęty wyruszył na malowniczą trasę Opole – Wólczyn – Opole ze stacji Opole Główne przez Bory Stobrawskie, zatrzymując się w Osowcu, Bukowie, Kluczborku. Oryginalne przedsięwzięcie zostało wyróżnione w konkursie „Najlepszy Produkt Turystyczny Województwa Opolskiego”.

Jednym zdaniem

■ W ramach Dni Muzyki i Kultury Żydowskiej w Filharmonii Opolskiej im. Józefa Elsnera filharmonicy koncertowali pod batutą Mirosława Jacka Blaszczyka z solistą Bartoszem Koziakiem (wiolonczela), którzy wykonali *Uwerturę Candide* Leonarda Bernsteina, *Schelomo na wiolonczelę i orkiestrę* Ernesta Blocha i *IV Symfonia e-moll op. 98* Johanna Brahmsa.

■ W czytelni Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Opolu podczas V Forum Środowiska Literackiego Opolszczyzny odbyła się sesja popularno-naukowa „Dzie-

dzie śląskości” z okazji 80. urodzin Jana Goczoła, w której wzięli udział naukowcy oraz dziennikarze zajmujący się twórczością opolskiego poety.

■ Blisko dwustu gawędziarzy wystąpiło podczas finału XXI edycji Wojewódzkiego Konkursu Gawędziarskiego „Śląskie Beranie”, który odbył się w Publicznej Szkole Podstawowej im. F. Myśliwca w Izbicu pod honorowym patronatem Marszałka Województwa Opolskiego, Opolskiego Kuratora Oświaty, Starosty Strzeleckiego i Wójta Izbicka.

Benefis Marii Słomak-Sojki czyli rzecz o bezmiarze serdeczności

Nieczęsto się zdarza, by benefis organizowany był bez oficjalnej rocznicy czy jubileuszu. A to zdarzyło się w Pszczynie, gdzie spotkaniem przyjaciół, wieczorem autorskim i wspomnieniowym uhonorowano pszczyńską poetkę Marię Słomak-Sojkę. To osoba nietuzinkowa, mająca dar szczególny – każdemu potrafi zaszczyścić miłością do poezji, do książki, do teatru, do pięknego słowa.

Benefis wymyślili i zorganizowali swojej pani Marii... podopieczni, czyli uczniowie Gimnazjum nr 1 w Pszczynie w podziękowaniu za to, co dla nich zrobiła, za czas, który im przez lata poświęcała, ogrom serca i bezmiar serdeczności. Teraz oni odwiedzili się jak ich sama nauczyła – poezją, muzyką, fragmentami sztuk teatralnych, w których byli aktorami. Przyświecał im wiersz z jednego z wierszy Marii Słomak-Sojki: „Spotkania z ludźmi są pomostem pomiędzy Tam moją nieobecnością a chwila Tu teraz wplecioną w czyjąś drogę...”

W Pszczynie Maria Słomak-Sojka ma swoje rodzinne korzenie, ale wyjechała stąd na wiele lat – rodzina, praca..., by powrócić do swego dawnego gniazda. Tu czuje się najlepiej, chociaż jej późny debiut poetycki przypadł na lata, kiedy pracowała w szkolnej bibliotece w Czeladzi. Najpierw była więc lokalna samorządowa gazeta, która jako pierwsza opublikowała jej wiersze, a potem posypały się tomiki wierszy. O Marii Słomak-Sojce zaczęło być głośno także w Radiu Katowice, na wieczorkach poetyckich, aż w końcu jej poezja trafiła na łamy miesięcznika „Śląsk”. Poezja to jej największy żywioł, ale zajęcie bardzo intymne. Drugim żywiołem jest teatr – dnie i noce spędzone na przygotowywaniu spektakli – od wypowiedzianego słowa po scenografię, kostium a nawet udział własny w przedstawieniach. Nie liczył się wiek – dzieci, młodzież, dorośli, całe rodziny – wszyscy grali w spektaklach pani Marii. Stworzyła niezwykły teatr ze zwykłych ludzi. Pszczyńskie Centrum Kultury, gdzie znalazła wielu sprzymierzeńców próby do późnych godzin wieczornych pamięta i radość premier.

Benefis Marii Słomak-Sojki, dla mnie po prostu Marysi był pelen wzruszeń i niedowierzeń, bo kiedy ta drobna kobieta to wszystko potrafiła zorganizować, a do tego jeszcze wydać kilka tomików wierszy. I młodzież – a także dorośli – pod wodzą dwójga młodych ludzi – Lucyny Grygier i Jakuba Pieczki – postanowiła nie być gorsza. W tajemnicy przygotowała wybór wierszy z kilku tomików pani Marii zatytułowany „Życie M.” (znajdując sponsorów)! Zadbali też o znakomitych gości z Pszczyny i Czeladzi, którzy wspominali lata pracy i przyjaźni z Marią Słomak-Sojką. Pojawił się nawet prosto z Łopusznej, goszczący w Londynie Kazimierz Tischner, brat ks. prof. Józefa Tischnera, którego poznała uczestnicząc w spotkaniach Towarzystwa Tischnerowskiego, zafascynowana jego filozofią i twórczością.

Piękna to młodzież, która potrafi tak uhonorować i w jakiś sposób oddać tyle dobra, ile sama otrzymała. Taka szkoła nie idzie na marne. I to chyba też jest przyczyną do naukowych rozważań nad dzisiejszą młodzieżą i tzw. „nowoczesnym kształtem i modelem edukacji”. W „modelu” pszczyńskim zostało zawarte wszystko. A najwięcej serca i serdeczności.

WIESŁAWA KONOPELSKA

KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

Pod patronatem „Śląska”

Twórczość Edwarda Hantulika w Muzeum Miejskim w Tychach

Edward Hantulik. Malarstwo i rzeźba to kolejna wystawa sztuki, którą można oglądać w Muzeum Miejskim w Tychach. Ekspozycja prezentowana jest w sali ekspozycyjnej przy ulicy Katowickiej 9. Okazją do przypomniała twórczości tyskiego artysty jest przypadająca w czerwcu 20. rocznica śmierci Edwarda Hantulika.

Na wystawie prezentowany jest dorobek artysty z zakresu malarstwa i rzeźby, powstały na przestrzeni kilkunastu lat jego pracy twórczej. To ponad 30 płócien malowanych techniką olejną, spośród których duża część to kompozycje wielkoformatowe, łączące się dodatkowo w cykle tematyczne i polptyki. Rzeźbiarską odśloną twórczości artysty reprezentuje kilka wykonanych z gipsu popiersi.

Edward Hantulik (1949-1994) urodził się i wychował w Tychach. W latach 1977-1982 studiował na Wydziale Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie pod kierunkiem profesorów Juliusza Joniaka i Jerzego Nowosielskiego. Po uzyskaniu dyplomu powrócił do rodzinnego miasta. W latach 1987-1994 pełnił funkcję asystenta w pracowni rzeźby Stanisława Hachuła



Fot. MM w Tychach

Edward Hantulik, „Portret dziewczynki”, 1983, olej, płótno, 73 x 62 cm

w katowickim Wydziale Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie.

Wczesna twórczość malarska Edwarda Hantulika utrzymana jest w konwencji realizmu, z wpływami impresjonizmu i postimpresjonizmu.

Edward Hantulik czerpał inspirację z bogactwa i różnorodności kultury europejskiej. Posługiwał się szerokim wachlarzem konwencji – od realizmu, poprzez ekspresjonizm i figurację z wpływami kubizmu, aż po abstrakcję. Artystę niezwykle inspirował Pablo Picasso z całą różnorodnością jego twórczości.

Wystawę można oglądać do września 2014 roku.

Jednym zdaniem

■ „Portret mówiony – uzupełniony” Andrzeja Koniakowskiego, znakomitego fotografa, na który złożyły się tak znane cykle jak „Halidy – lata 70”, „Specyfika śląskiego pejzażu” i „Stalowe anioły” pokazany został w Bibliotece Śląskiej podczas spotkania z autorem.

■ Fragmenty „Orfeusza i Euridyki” Ch.W. Glucka wykonane zostały podczas koncertu w ramach „Szkice do opery”, który odbył się w Bibliotece Śląskiej, a solistami byli Anna Borucka (mezzosopran), Anna Nowoczyńska (sopran) i Beata Witkowska-Glik (sopran).

■ Znakomity kontrabasista, koncertujący również na violi da gamba, artysta związany z Akademią Muzycznymi w Katowicach i Łodzi i współpracujący m. in. z Kwartetem Śląskim, zespołem muzyki dawnej Concerto Polacco,

O literaturze dla dzieci i młodzieży

19 maja br. w Centrum Informacji Naukowej i Bibliotece Akademickiej w Katowicach odbyło się spotkanie promujące książkę prof. zw. dr hab. K. Heskij-Kwaśniewicz pt. *Tajemnicze ogrody. Rozprawy i szkice z literatury dla dzieci i młodzieży*. Spotkanie poprowadziła dr hab. K. Tałuć, która podczas rozmowy z autorką skupiła się na kilku wybranych tematach poruszonych w publikacji. Przede wszystkim autorka uzasadniła tytuł całej serii, której trzeci tom trafił obecnie do rąk czytelników. „Tajemnicze ogrody” – powiedziała – pozwalają objąć metaforycznie i dosłownie tajemnicę dojrzewającego życia. Profesor opowiedziała także o swojej miłości do *Kamieni na szaniec*, prowadzonych od lat badań nad tą powieścią oraz o swoim odbiorze filmu w reżyserii R. Glińskiego. Rozmowa toczyła się także wokół poznańskiego Wydawnictwa Mili, publikującego serię „Perelki Mili”, która powstała, by utrwalić twórczość poetki E. Waśniowskiej. Poruszony został również temat powieści detektywistycznej dla dzieci autorstwa Z. Lengrena. Dyskusja, jaka wywiązała się wśród uczestników spotkania, dotyczyła głównie niskiego poziomu czytelnictwa Polaków, zwłaszcza młodego pokolenia, oraz stanu nauczania w szkolnictwie niższym, które w ogóle nie przygotowuje młodzieży do studiowania, nie wypracowuje nawyku czytania oraz nie uczy odbioru tekstów kultury. Na promocję przybyli m. in.: prof. B. Niesporek-Szamburska, prof. A. Ratuszna, prof. S. Kalus, E. Żurawska, dr H. Andrzejczak, dr M. Nadolna-Fluczykont, dr S. Gajownik, dr B. Gdak.

O kulturze i życiu Żydów nie tylko odświętnie

Na wystawę fotografii Arkadiusza Ławrywianca pt. „Bliśko nas” zapraszał Związek Polskich Artystów Fotografików Okręg Śląski. Złożyły się na nią tradycyjne czarno-białe fotografie umieszczone na ścianach galerii oraz pokaz multimedialny około 300 zdjęć. „Bliśko nas” to dokumentalna opowieść o życiu codziennym społeczności żydowskiej skupionej wokół Gminy Wyznaniowej Żydowskiej w Katowicach. Osią narracyjną był rabin Jehoshua Ellis. Fotografie powstawały od 2010 roku w trakcie przygotowań oraz samych świąt żydowskich takich jak sukot, chanuka, purim, ale również podczas obrzędu obrzezania, wykupienia pierwородnego syna czy też spotkania emerytów i rencistów. – *Wielka*



Fot. A. Gola

Autor wystawy Arkadiusz Ławrywianiec (drugi z prawej) oraz jego goście: rabin Jehoshua Ellis, Elżbieta Fajerman kierująca Towarzystwem Społeczno-Kulturalnym Żydów w Katowicach i kurator wystawy Antoni Kreis.

Extempore, także z polskim klawesynistą i organistą Markiem Toporowskim i zespołem {oh!} Orkiestra Historyczna, wystąpił z recitalem w Muzeum Archidiecezjalnym.

■ W ramach Dni Polsko-Czeskich Instytucja Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia” przygotowała dwa koncerty w Muzeum Archidiecezjalnym, podczas których młodzi artyści wykonywali utwory A. Dvořáka, a wykonawcami byli: Paweł Konik (bas-baryton), Ewa Danielewska i Michał Biel (fortepian) oraz Wojciech Fudala (wielonoczeła) i Marcin Mogiła (fortepian).

■ Pamiątki z pontyfikatu Ojca Świętego Jana Pawła II pokazano podczas wystawy upamiętniającej kanonizację tego wielkiego Polaka – papieża, zorganizowanej w Domu Parafialnym parafii św. Bartłomieja Apostoła w Bieruniu Sta-

przyjemnością była dla mnie możliwość odwiedzania w domu i fotografowania kilku osób, a wśród nich niestety nieżyjącego już Jana Zidzera z Bytomia. Gdy umawialiśmy się na wizytę zastrzegaliśmy, że nic typowo żydowskiego u niego nie zobaczymy, ale podczas jednej z wizyt zauważyłem na stole otwartą księgę Tory. Zidzera przeczytał parę wersów, a następnie z wielkim szacunkiem ucałował księgę. Nic bardziej żydowskiego nie było mi potrzebne w tym domu – opowiadał autor. Prezentowany cykl zdjęć jest rozwinięciem tematu żydowskiego przedstawionego w projekcie pod tytułem „Chasydzi w Lelowie”.

Arkadiusz Ławrywianiec jest absolwentem Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu. Fotografiją zajmuje od 1986 roku. Od 1994 jest fotoreporterem Dziennika Zachodniego. Od 2009 uczy młodzież fotografowania w Policealnej Szkole Fotograficznej w Katowicach.



A. Ławrywianiec, „Blisko nas”, fotografia

Miłość i Medycyna. Antologia

Muzeum Śląskie w Katowicach od 10 maja do 29 czerwca prezentowało wystawę surrealistycznej wizji Bellmerowskiej cielesności i seksualności, która posłużyła jako punkt wyjścia do projektu o różnorodnym znakowaniu ciała. Ekspozycja powstała w ramach programu *Projekt Metropolis*, organizowanego wspólnie przez Fundację Imago Mundi i CSW Kronika w Bytomiu.

Projekt Metropolis to międzynarodowy program badawczy używający sztuk wizualnych jako narzędzia poznawczego w celu zmierzenia się ze stereotypowym wizerunkiem Górnego Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego w momencie aktualnych przemian oraz stworzenia współczesnego portretu, nowej ikonografii regionu. Program opiera się na serii rezydencji artystycznych dla twórców sztuk wizualnych oraz na współpracy artystów z mieszkańcami regionu. W sumie, w ramach podsumowań poszczególnych rezydencji, powstaje kilkadziesiąt wystaw, filmów, instalacji, książek artystycznych. Podsumowanie *Projektu Metropolis* będzie stanowiło największą dotychczas wystawę o regionie Górnego Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego, która zostanie otwarta pod koniec 2014 roku. Kuratorem projektu jest Stanisław Ruksza.

przez Stowarzyszenie Miłośników 600-letniego Bierunia.

■ „Szkice do szkiców Hioba” – wystawę rysunków i malarstwa Piotra Czadankiewicza pod takim tytułem pokazało Muzeum Archidiecezjalne w Katowicach.

■ W cyklu „Górny Śląsk – świat najmniejszy” Teatr Rozrywki zapraszał na spotkanie pt. „Czas autonomii”, podczas którego odbyła się promocja najnowszej książki Jana F. Lewandowskiego pod takim tytułem, a uczestnikami debaty byli historyk dr Maciej Fic, konserwator zabytków dr inż. Henryk Merck i politolog dr Małgorzata Myśliwiec.

■ *Tychy w latach międzywojennych. Ludzie, miejsca, zdarzenia* to tytuł wystawy plenerowej przygotowanej przez Muzeum Miejskie w Tychach z okazji 80. rocznicy przyznania Tychom praw miejskich, a którą moż-



Centralna Stacja Ratownictwa Górniczego w Bytomiu

W programie *Projekt Metropolis* udział biorą m.in.: Anna Baumgart, Bogna Burska, Kuba Dąbrowski, Mikołaj Długosz, Magda Fabiańczyk, Marek Glinkowski, Nicolas Grosppierre, Erla S. Haraldsdottir, Paul Philipp Heinze, Lars Holdhus, Rafał Jakubowicz, Grzegorz Kłaman, Barbara Klimowa, Paweł Kulczyński, Darri Lorenzen, Bartek Materka, Krzysztof Miękus, Rafał Milach, Tomasz Mzyk, Wojciech Nowicki, Patrycja Orzechowska, Konrad Pustola, Natalia Romik, Maciej Salomon, Łukasz Skąpski, Krystian Skylstad, Łukasz Surowiec, Matteo Terzaghi & Marco Zurcher, Magda Tothova, Łukasz Trzciniński, Frederic Vaerslev, Matej Vakula, Aleksandra Wasilkowska.

Różne rzeczy Piotra Kossakowskiego

W galerii Śląskiego Teatru Lalki i Aktora Ateum gościła wystawa Piotra Kossakowskiego, zatytułowana *Malarstwo. Różne rzeczy*.

Piotr Kossakowski (ur. w 1976 r. w Sosnowcu) jest absolwentem katowickiej Akademii Sztuk Pięknych. Dyplom z wyróżnieniem otrzymał w 2005 r. w Pracowni Malarstwa prof. Zbigniewa Blukacza, dyplom dodatkowy – w Pracowni Projektowania Plakatu prof. Romana Kalarusa. W 2009 r. uzyskał tytuł doktora sztuki. Pracuje na Wydziale Artystycznym macierzystej uczelni jako asystent w Pracowni Malarstwa prof. Irenusza Wąlcza oraz w Pracowni Rysunku prof. Janusza Karbownicza. W swoim dorobku ma kilkanaście wystaw indywidualnych i ponad sto zbiorowych, w Polsce i zagranicą.

Stypendysta Fundacji im. H. Kołłątaja (2003), Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego (2004) oraz Marszałka Województwa Śląskiego (2008). Laureat nagród i wyróżnień, m.in. w konkursie Samsung Art Master (Fabryka Trzciny,



P. Kossakowski, „Coś w mojej głowie”, olej, 170x160, 2013

na było oglądać na Rynku przed kościołem pw. św. Marii Magdaleny.

■ Z okazji 95. rocznicy wybuchu I powstania śląskiego, 93. rocznicy wybuchu III powstania śląskiego oraz Narodowego Święta Konstytucji 3 Maja Muzeum Miejskie w Tychach zorganizowało wystawę „Puść mnie, matko, do powstania... Powstania śląskie na terenie Paprocana, Urbanowic i Tychów”.

■ Galeria Pusta w Jawornic i Związek Polskich Artystów Fotografików Okręg Śląski zapraszali na wystawę Anki Ratajczak pt. „Ukryte”.

■ Muzeum w Chorzowie zapraszało na wykład „Józef Majnert – zdolny medalier, najsłynniejszy polski fałszerz pierwszej połowy XIX wieku”, który poprowadziła Anna Bochnak pracownik Gabinetu Numizmatycznego Muzeum Narodowego w Krakowie oraz

Warszawa, 2004), na Festiwalu Plakatu w Krakowie (Pałac Sztuki, Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych), na 39. Biennale Malarstwa *Bielska Jesień* (2009) czy na Międzynarodowym Triennale Plakatu w Trnawie (Słowacja 2012). Uprawia malarstwo, rysunek i projektowanie.

O obrazach Kossakowskiego Maciej Lintner pisał, że „są pocztówkami z rejonów bliskich autorowi, są migawką i fragmentem istnienia w miejskim, codziennym korowodzie zdarzeń. To spojrzenie na dzisiejszą ulicę, na oblicze współczesnego miasta, które stanowi wizytówkę naszego czasu i świata”.

Laureaci Nagrody im. Juliusza Ligonia

Śląską Nagrodę im. Juliusza Ligonia, której fundatorem od 41 lat jest Katolickie Stowarzyszenie „Civitas Christiana”, Kapituła nagrody pod przewodnictwem ks. dr hab. Arkadiusza Wuwera przyznała w 2014 roku: ks. prof. Józefowi Paterowi – za konsekwentne poszukiwanie prawdy o dziejach Kościoła na Śląsku, Zygmuntovi Brachmańskiemu – za świadectwo oraz służbę chrześcijańskim i patriotycznym wartościom wyrażanym przez sztukę oraz Muzeum Drukarstwa w Cieszynie – za godną uznania postawę wdzięczności i szacunku dla kultury słowa drukowanego na Ziemi Cieszyńskiej.

Uroczystość wręczenia Nagrody odbyła się 7 maja na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.

Malarstwo i muzyka duszy



Malarstwo i muzyka czyli Władysław (z lewej) i Lech Kołodziejczykowie

W galerii ArtNova2 ZPAP w Katowicach miało miejsce niecodzienne zdarzenie artystyczne, nazwane przez jego autora – Lecha Kołodziejczyka – performancem malarstwa i muzyki duszy. Złożyły się na nie wystawa jego najnowszych prac malarskich – cykl zatytułowany „Utracona pamięć” oraz gitarowe, bluesowe improwizacje muzyczne, których wykonawcami byli sam autor i jego syn, utalentowany muzyk i kompozytor Władysław Kołodziejczyk. Wspomagał ich w tym zdarzeniu gitarzysta klasyczny prof. Tomasz Spaliński z Instytutu Sztuki Uniwersytetu Śląskiego.

„Utracona pamięć” to swoista kontynuacja tego, co dotąd tworzył Lech Kołodziejczyk. W prezentowanych, wielkoformatowych obrazach, przesiąkniętych niebywałą energią koloru i zdecydowanego gestu zawarł osobistą determinację i konsekwencję swego wewnętrznego programu artystycznego, osobistego „ja”.

na wykład z cyklu „Tajemnica i poznanie...” zatytułowany „Swobody ołtarze... Tatyry w kulturze polskiej przełomu XIX i XX wieku” przygotowany przez dra Jacka Kurka.

■ Widowisko taneczne do muzyki dwóch legendarnych zespołów The Beatles i Queen przedstawiła Opera Śląska w Bytomiu.

■ Miasta Katowice i Lublin podpisały list intencyjny o współpracy, której kulminacją będą okrągłe rocznice urodzin miast: 150-lecia Katowic i 700-lecia Lublina przypadająca na 2017 rok.

■ Muzeum Miejskie „Sztynka” wraz ze Związkiem Polskich Artystów Fotografików Okręg Śląski zapraszało na wystawę Arkadiusza Ławrywianca „Portrety twórców – tajemnicie pracowni” oraz Krzysztofa Millera i Marka Wesolowskiego „Twórcy kultury śląskiej”.

Prekursor

Coraz częściej można usłyszeć tu i ówdzie przepowiednię zmierechu gazet i książek w wydaniu papierowym. Według kasandrycznych przepowiedni ich miejsce zajmą wersje internetowe czy e-booki. Wszystkiemu ponoć winni są młodzi, którzy chętniej ślęczą przed ekranami komputerów, niż sięgają do prasy, księgarń czy bibliotek. Wszechobecny Internet zawładnąc ma sferą duchową przyszyłych pokoleń, którym w trosce o zachowanie lasów, wszystko, co z papierem się wiąże ma być obce. A tymczasem w Sosnowcu powstało nowe czasopismo „Prekursor”.

Huczna była jego promocja. W Sosnowieckim Centrum Sztuki-Zamku Sieleckim, w świetle fleszy aparatów fotograficznych i kamer telewizyjnych młodzi twórcy snuli swoje plany na przyszłość. Są uczniami Centrum Kształcenia Zawodowego i Ustawicznego w Sosnowcu, które to Centrum pozostaje wydawcą pisma. Młodzieżowo-kulturalny miesięcznik poświęcony jest – jak informują pomysłodawcy – krzewieniu i promowaniu kultury na terenie Zagłębia. Patronat medialny nad przedsięwzięciem objął Wydział Informacji, Promocji i Turystyki Urzędu Miasta.

Przyjrzyjmy się więc propozycji. W majowym, trzecim (już!) numerze koledzy kolegom proponują ciekawe regionalne imprezy kulturalne (m.in. Street Art. Festiwal, Jan Kiepara Superstar, festiwal filmowy, jam session...), zachęcając do zagospodarowania majowych popołudni i wieczorów, znalazło się miejsce dla laureata IV Regionalnego Konkursu na Wiersz Miłosny „Powiedz mi jak mnie kochasz”, można także przeczytać interesujące opowiadanie, koleżeńskie gratulacje za wyróżnienie w kolejnym konkursie „Twoje miasto – Twój region” organizowanym przez Polonijny Magazyn Publicystyczno-Kulturalny „Twoje Miasto” z siedzibą w Darmstadt, relację z trzeciej edycji oficjalnego JamSession/OpenMic organizowanego w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Dąbrowie Górniczej, z wernisaży, wystaw itp. W intrygująco zatytułowanym tekście „Kliki, klik i mamy bloga...” Natalii Niedbalki, o dziwo miast oczekiwane go nie ma na temat najpopularniejszego komunikatora XXI wieku znajdujemy totalną krytykę wielu cieszących się (niestety!) popularnością blogów, które – jak pisze autorka – zakładają znudzeni życiem blagierzy, myśląc, że młodym łatwo jest zrobić wodę z mózgu. Tymczasem młodzi, jak się okazuje, chlami nie czytają. Swoje refleksje autorka kończy apelem: „Ludzie kochani, blogerzy i inni... Nie piszcie bzdur, nie piszcie kłamstw...”. Miło się czyta.

Gratulujemy pomysłu, życzymy wytrwałości, szczególnie redaktorowi naczelnemu, Damianowi Żakowi (uczeń Technikum nr 6 Grafiki, Logistyki i Srodowiska) i zapewniamy – będziemy Was czytać (uważnie!).

MARIA SZTUKA

ZAGŁĘBIE NOTATNIK KULTURALNY

Najstarsze kościoły Sosnowca

W sosnowieckim muzeum można oglądać najstarsze obiekty sakralne, zarówno te istniejące, jak i zachowane jedynie na fotografiach. Jednym z najstarszych istniejących zabytków jest kościół św. Jochima w Zagórzcu, który powstał w 1848 roku, ponadto można zapoznać się z historią XIX-wiecznych obiektów: kościoła Jana Chrzciciela w Niwce, kościoła Najświętszego Serca Pana Jezusa, zwanego kościółkiem kolejowym, a także obeerzecz wnętrza cerkwi prawosławnej wybudowanej w latach 1888-1889. Dwudziestowieczne zabytki reprezentują m.in.: pogoński kościół św. Tomasza Apostoła i kościół ewangelicko-augsburski, zespół zabudowy kościoła katedralnego powstały na przełomie XIX i XX wieku, zespół zabudowań Parafii Rzymsko-Katolickiej pw. Niepokalanego Poczęcia NMP. Wystawę otwiera obszerna historia głównego kościoła miasta – pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, świątyni, której budowę według projektu Karola Kozłowskiego zapoczątkowano w 1893 r. Na zgromadzonych planszach można zobaczyć neoromańskie wnętrza i neobarokowe ołtarze a także młodopolską polichromię wykonaną przez krakowskich artystów Włodzimierza Tetmajera i Henryka Uziębło. W 1992 r. kościół został podniesiony do godności katedry, a w 1999 r. otrzymał tytuł bazyliki mniejszej. Wśród prezentowanych zabytków znalazło się także mauzoleum rodziny Dietlów, które znajduje się na cmentarzu ewangelickim, części sosnowieckiej nekropolii czterech wyznań. Zabrakło natomiast judaistycznych obiektów kultu religijnego, po których w Sosnowcu nie pozostał żaden ślad.

Podczas Nocy Muzeów odbyło się uroczyste otwarcie wystawy „Legiony polskie w Zagłębiu Dąbrowskim”.

INTERMUZA Sosnowiec 2014

Koncertem finałowym (24 maja) w Miejskim Klubie im. Jana Kiepury zakończył się XI Europejski Integracyjny Festiwal Piosenki Dziecięcej INTERMUZA Sosnowiec 2014. Od 11 lat dyrektorem artystycznym i przewodniczącym jury jest Jacek Cygan. W tegorocznym spotkaniu

Jednym zdaniem

■ 9 maja na placu Stulecia w Sosnowcu (znanego bardziej pod nazwą „Patelnia”) w ramach X Sosnowieckich Dni Literatury odbył się poetycki Hyde Park „Poezjo na ulicę”, w którym wzięli udział m.in. aktorzy Teatru Zagłębia: Michał Balaga, Aleksander Blitek, Przemysław Kania, Krzysztof Korzeniowski, Tomasz Muszyński.

■ W Muzeum Zagłębia w Będzinie w Pałacu Mieroszewskich można oglądać wystawę pn. „Henryk Sławik – zapomniany bohater trzech narodów”.

wzięło udział 170 uczestników z całej Polski, wśród nich znalazło się 16 mieszkańców Sosnowca. Impreza cieszy się coraz większą popularnością. W tegorocznym konkursie jury przyznało Grand Prix Annie Cieśli z Niepołomic, za piosenkę z repertuaru Grażyny Łobaszewskiej „Czas nas uczy pogody” do słów Jacka Cygana (przykład?). W kategorii 7–10 lat zwyciężyła Ula Zubek z Warszawy, kolejne miejsca zajęły Emilia Paul z Gliwice i Aurelia Duraj z Bielawy. W kategorii 11–13 lat pierwsze miejsce przypadło Oliwii Lach z Bielska-Białej, drugie – Piotrowi Wdowczykowi z Jastrzębia-Zdroju, trzecie – Alicji Gajdzie z Sosnowca. Surowo jurorzy ocenili nadesłane teksty piosenek, nie przyznając w tym roku żadnej nagrody. Warto przypomnieć, że przed jedenastu laty laureatką konkursu została Ewa Farna. Jak mówią organizatorzy – zadaniem festiwalu jest *obudzić w dzieciach wolność i radość śpiewania*. Uczestnicy zaś podsumowują: *to wielka frajda i wspaniała zabawa*.

Arte Creatura Jarosława Wewiory

30 maja w Teatrze Dzieci Zagłębia prawdziwą ucztę mieli miłośnicy dobrej operetki i wielkiego Johanna Straussa II. Arte Creatura Teatr Muzyczny zaprosił widzów na kolejny spektakl, tym razem na nieśmiertelną „Zemstę nietoperza”. Znakomity tenor Jarosław Wewióra wystąpił w potrójnej roli: producenta, scenografa i *Gabriela von Eisensteina*. W powołanej przez Jarosława Wewiórę Operze Kameralnej, w ramach działalności Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych z siedzibą w Sosnowcu, wystawionych zostało już blisko dziesięć dzieł scenicznych w tym: „Rita” i „Don Pasquale” Donizettiego, „Okazja czyni złodzieja” Rossiniego (2011), „Dyrektor Teatru” W. A. Mozarta (2012), „Dwaj ślepcy” i „Nr J. Offenbacha (2012) oraz spektakl dla dzieci „Zabłąkane piosenki” stworzony na podstawie pieśni W. Lutosławskiego (2013). W maju 2013 Opera Kameralna przygotowała premiery „Krainy uśmiechu” F. Lehara oraz „Weksła małżeńskie” G. Rossiniego. „Zemstę nietoperza” wyreżyserowała Barbara Bielaczyc, autorką projektów kostiumów jest Dorota Wewióra. W spektaklu wystąpili: Urszula Cichočka (*Rosalinda*), Jarosław Wewióra (*Eisenstein*), Jan Żądło (*Falke*), Joanna Szynkowska vel Sęk (*Adela*), Paweł Brożek (*Alfred*), Aleksandra Pokrywczyńska (*księżę Orłofsky*), Mariusz Hanulak (*Frank*), Łukasz Stawowczyk (*dr Blind i Frosch*), Beata Witkowska-Glik jako (*Idalia*), Justyna Brożek (*Ida*), Bartosz Surówka (*Ivan*) oraz Chór Czechowickiego Teatru Muzycznego MOVIMENTO. Śpiewakom towarzyszyła Orkiestra Teatru Muzycznego Arte Creatura pod dyrekcją Wojciecha Gwiszcza.

■ W „Sztysgarce” Muzeum Miejskim w Dąbrowie Górniczej gości wystawa ukazująca śląskich artystów. Są to „Portrety twórców. Tajemnice pracowni”, czyli fotografie Arkadiusza Lawrywianca oraz zdjęcia z cyklu „Twórcy kultury śląskiej” Krzysztofa Millera i Marka Wesolowskiego.

■ Muzeum Saturn w Czeladzi zaprasza do zwiedzania wystawy pt. „Legends polskie”, przygotowanej przy współpracy z Muzeum Lalek w Pilźnie.

Cuda

To nie do wiary. Miejski konserwator zabytków w Bielsku-Białej Piotr Kubańda na łamach jednego z portali internetowych dał miłośnikom architektury nadzieję na remont najpiękniejszej bielskiej willi. Uznawana już przez wielu za romantyczną ruinę – przeniesioną wprost z Arkadii pod Nieborowem – willa Hugona Nitscha przy Krzywym Mostku od kilkunastu lat przypomina budowlę celowo wzniesioną w sentymentalnym ogrodzie. Budynek wygląda tak, że nie wiadomo, jakim cudem jeszcze stoi, a nie spłynął z wiosennymi ulewami po skarpie. Internauci opisują go z sarkazmem: – Pasuje do horroru i baśni. Mógłby posłużyć do filmu „I am Legend”. Światło i mądre to miasto, które kulturuje takie dowody entropii.

Konserwator twierdzi, że niewiele może działać, bo to willa prywatna. Powiada jednak, że ostatnio uregulowano już kwestie własnościowe i właściciel przygotowuje dokumentację potrzebną do prac remontowych. – Jeśli dokumentacja zostanie zatwierdzona, właściciel powinien przystąpić do remontu – uważa Piotr Kubańda.

Już dawno przestałem wierzyć w cuda. Historia willi H. Nitscha dowodzi, że jednak powinienem. Cud pierwszy – willa jeszcze stoi. Cud drugi – zostanie wyremontowana!

W Bielsku-Białej niszczeje jeszcze wiele innych zabytkowych budowli. Jedną z nich jest wzorowana na renesansie włoskim willa fabrykanta Carla Johanna Bartelmussa, położona w pięknym ogrodzie przy ulicy Zdrojowej. Tu już władze miasta nie mogą zasłaniać się prywatnym właścicielem, bo to one są właścicielami. Budynek jest przykładem wczesnej fazy historyzmu, powstał przed 1872 r., a jego architektem był prawdopodobnie Emanuel Rost senior. We wnętrzu willi znajdują się bardzo ciekawe stiuki. Niestety, podobnie jak reszta budynku – są w fatalnym stanie.

Zdewastowany obiekt nie wygląda dziś ładnie, ale łatwo poddaje się poetyckiemu opisowi: – Na osi głównych elewacji znajduje się ryzalit z balkonami, zwieńczony trójkątnym szczytem, zaś na parterze mieści się taras wsparty na tokańskich kolumnach. Okna pierwszego piętra ozdobione są płaskimi lizenami i półkolistymi arkadami, modelowanymi w dwubarwnym tynku o odcieniu jasnoszarym z tłem w kolorze pompejańskiej czerwieni.

Miasto od lat szuka nabywcy, ale chętnych nie ma. Kogóż dziś mogą skusić tarasy wsparte na tokańskich kolumnach czy pompejańska czerwień arkad? W czasach narastającej pogardy dla antycznych i renesansowych tradycji? W czasach zapomnienia o tak przyjemnie brzmiących terminach jak *sectio aurea, divina proportio*... Kto dziś kupi taką willę? Jeśli znajdzie się chętny, będzie to jeszcze jeden cud...

JAN PICHETA

BIELSKO NOTATNIK KULTURALNY

Rock ratuje świat

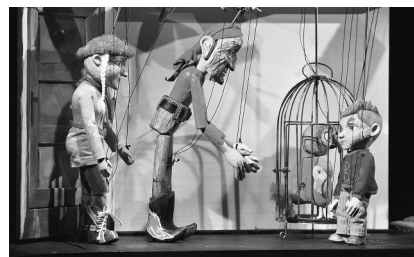
Od 22 do 25 maja w Bielsku-Białej rządziły lalki. W tych dniach odbył się XXVI Międzynarodowy Festiwal Sztuki Lalkarskiej – 24 przedstawienia i imprezy towarzyszące. W Galerii Bielskiej BWA podziwiano wystawę lalek, kostiumów i dekoracji ze spektakli Teatru Lalek Banialuka. Grand Prix przyznano spektaklowi „Stół” w reż. Marka Downa i wykonaniu Blind Summit Theatre z Londynu. Anglijcy otrzymali statuetkę dłuta Bronisława Krzysztofa i 10 tys. zł. Zgarnęli również nagrodę POLUNIMA i nagrodę aktorską ZASP (tysiąc zł dla Anglików!). Było to przedstawienie tylko dla osób znających dobrze język angielski. W spektaklu londyńczyków trzech artystów animowało parującą po stole lalkę, która występuje przed publicznością w konwencji komediowego monologu stand-up. Marionetka gra rolę artysty, który boryka się z wewnętrznymi problemami, wyjaśnia naturę lalek, wciela się w rozmawiającą z sobą postacią Boga i Mojżesza.



„Londyńczycy” Grand Prix bielskiego festiwalu

Zbiorowa kreacja artystów z Pforzheim: Alicji Teresy Gottchalk, Rafaela Mürlego i Franka Soehnlego pt. „Wunderkammer / Gabinet osobliwości” to zbiór mistrzowskich etud ilustrowanych żywą muzyką. Trio artystów otrzymało nagrodę specjalną. Podobnie nagrodzono portugalską „Krajinę Czarów” Teatro de Marionetas z Porto – swego rodzaju Alicję dla dorosłych, spektakl ujmujący perfekcyjną animacją i plastyką. Za najlepsze widowisko dla dzieci uznano „Budulinka” Naivnego Divadla z Liberca. Milusińscy świetnie się bawili, obcując z prostymi lalkami i żywą muzyką. Ciekawe było także przesłanie spektaklu, wedle którego muzyka rockowa ratuje świat...

Podobał się spektakl „Ramajana” Indonezyjczyków o egzotycznych nazwiskach Ki Seno Nugroho i Warga Laras z najsłynniejszego jawańskiego miasta Yogyakarta (świątynie Borobudur i Prambanan). Pokazali oni jawajski teatr cieni wayang kulit. Imponowali precyzją ruchów oraz bajecznie malowanych ażurów i wie-



„Budulinek”

łością egzotycznych instrumentów. Atrakcją dla widzów było to, że mogli podziwiać sprawność aktorów za ekranem. Tradycją festiwalu jest pojawianie się na nim niemal wyłącznie spektakli znakomitych. Na tym tle nieco odstawały produkcje ukraińska i izraelska. Lwowski Akademicki Teatr Woskresinnia epatował efektami tylko dla efektów w jednym widowisku plenerym. Wstytu nie było, ale wbrew szumnym zapowiedziom – spektakl Shmuel Shohat Theater Company w koprodukcji z Habimah-National Theater of Izrael „Dybuk pomiędzy dwoma światami” nie imponował także magią.

Ligoni dla cieszyńiaków

7 maja w Katowicach XLI Śląską Nagrodę im. Juliusza Ligonia Stowarzyszenia „Civitas Christiana” przyznano historykowi Kościoła z Wrocławia ks. prof. Józefowi Paterowi, rzeźbiarzowi Zygmuntovi Brachmańskiemu oraz Muzeum Drukarni w Cieszynie. Statuetkę odebrał prezes zarządu muzeum Karol Franek. Kapituła uhonorowała „Ligoniów Laurem” cieszyńską placówkę za „godną uznania postawę wdzięczności i szacunku dla kultury słowa drukowanego na ziemi cieszyńskiej”. Nb. Juliusz Ligoni pierwszy swój wiersz opublikował w „Gwiazdce Cieszyńskiej” w 1858 r. Z okazji przyznania nagrody ukazało się bibliofilskie wydanie jednego z wierszy Juliusza Ligonia, wydrukowane techniką typograficzną na papierze czerpanym w Muzeum Drukarni w Cieszynie.

Radykalni klasycy

Od 17 maja do 8 czerwca w Galerii Bielskiej BWA można oglądać wystawę obiektów, fotografii, druków, rękopisów i dokumentacji łączącej fotografię z autorskimi tekstami polskich klasyków performansu. Nosi ona tytuł „Polscy radykalni performerzy 1967–1989”. – Trzonym wystawy są prace zakupione do Kolekcji Sztuki Galerii Bielskiej BWA w 2013 r. dzięki dofinansowaniu MKiDN – twierdzi dyr. galerii Agata Smalcerz. Są to dokumenty rzeczowe „Mszy Romantycznej” Jerzego Beresia z 1978 r., dzieła zaginionego w stanie wojennym i zrekonstruowanego przez autora, 24 plansze z fotografiami i tekstami dokumentującymi performanse Zbigniewa Warpechowskiego z lat 1967–1984 i zestaw 30 fotografii ukazujących najważniejsze performanse Krzysztofa Zarębskiego z lat 1968–1979. Wystawa prezentuje unikatowe fotografie i slajdy z performansami Zbyszka Trzeciakowskiego z lat 1983–1986 oraz plakaty, druki, rękopisy, fotografie i realizacje wideo Jacka Rydeckiego i Jerzego Truszkowskiego z lat 1978–1989.

Jednym zdaniem

- „Krajobrazy Azji” to tytuł wystawy fotografii Szymona Zielińskiego z Bestwiny, którą można było oglądać w pierwszej dekadzie maja w Książnicy Beskidzkiej w Bielsku-Białej.
- 8 maja w Książnicy Beskidzkiej swoją książkę „Skrzeczywistość” promował Juliusz Wątroba.
- 10 maja w Domu Muzyki w Bielsku-Białej odbył się koncert z okazji 95. rocznicy chóru „Echo”.
- 15 maja na budynku przy ul. Stojalowskiej 19 odsłonięto mural poświęcony Irenie Senderowej autorstwa Małgorzaty Rozenau i formacji 3fala. art. pl.
- W drugiej połowie maja w Galerii Bielskiej BWA trwała wystawa Jacka Prosyka „Ślady bielskich Żydów w Izraelu”.

- 17 maja w Muzeum Historycznym w Bielsku-Białej oraz Starej Fabryce odbyła się Noc Muzeów 2014.
- Od 14 do 16 maja w Bielsku-Białej odbył się Silesia Art & Science Festival.
- 18 maja dr Jacek Prosyk oprowadzał mieszkańców Bielska-Białej po bielskim kirkucie.
- 22 maja w Katowicach zmarł prof. Józef Świder (ur. 19 VIII 1930 r. w Czechowcach-Dziedzicach) wybitny kompozytor i pedagog, który w latach – 1985-1999 kierował Instytutem Pedagogiki Muzycznej Filii UŚ w Cieszynie.
- 26 maja w Bielsku-Białej rozpoczął się „Tydzień z architekturą” zorganizowany przez animatorów ze Stowarzyszenia Architektów Polskich.

Od Bacha do Moździerza

Siedemnaście koncertów 24. Festiwalu *Gaude Mater* odbywało się od 30 kwietnia do 10 maja w Częstochowie, Belchatowie, Bydgoszczy, Gdańsku, Katowicach, Radomsku i Zabrzu, a także po raz pierwszy za granicą. Mimo zwiększenia liczby miast, to jednak pod Jasną Górą miała miejsce uroczysta inauguracja oraz finał spotkania. Arcybiskupstwo w Kolonii włączyło się w przygotowanie Międzynarodowego Konkursu Kompozytorskiego „Musica Sacra”; wyniki ogłoszono w opactwie benedyktyńskim w Braunweiler, a zwycięskie utwory (Michała Ziółkowskiego, Jana Krutula oraz Szymona Godziemby) zaprezentował Polski Chór Kameralny Schola Cantorum pod dyktando Jana Łukaszewskiego. Od przyszłego roku zmodyfikowana zostanie formuła konkursu – oprócz chóralnych pieśni do tekstu łacińskiego pojawi się także kategoria: utwór organowy.

W Częstochowie przygotowano dziewięć koncertów, prezentujących muzykę sakralną różnych kultur. Gościliśmy wykonawców z Niemiec (*Die Kölner Akademie*), chóry z Bułgarii (*Le mystere des Voix Bulgares*), Gruzji (*Anchiskhati*), Wielkiej Brytanii (*ACM Gospel Choir*), z Mongolii i Iranu oraz USA – kantor Izrael Rand wystąpił z towarzyszeniem chóru Synagogi pod Białym Bocianem. Poza tym zaprezentował się również Polski Chór Kameralny Schola Cantorum *Gedanensi* czy Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk” w programie *Santo subito!*, będącym muzyczną opowieścią o pontyfikacie Jana Pawła II.

Festiwal odbywał się w znanych przestrzeniach położonych w centrum miasta: na Jasnej Górze, w filharmonii oraz w kościołach różnych wyznań. Po raz pierwszy jednym z centralnych miejsc okazał się odnowiony zespół poklasztorny przy kościele św. Zygmunta, gdzie od kwietnia 2014 mieści się siedziba Stowarzyszenia Przyjaciół *Gaude Mater* – tu odbywał się koncert „Mongolia i jej sacrum” oraz dzień mongolski.

Jak zwykle przy okazji festiwalu nie sposób wymienić wszystkich wydarzeń oraz towarzyszącym im wrażeń. Trudno również zaproponować hierarchię ważności. Każdy z koncertów miał swoją publiczność oraz przesłanie. W czasie inauguracji liturgicznej festiwalu odbyło się prawykonywanie „*Missa Corpus Christi*” Łukasza Farcinkiewicza. Na odnotowanie zasługuje również na pewno „*Pasja wg św. Jana*”, dzieło Jana Sebastiana Bacha w wykonaniu muzyków *Die Kölner Akademie* z udziałem barytona Christiana Hilza, pod dyktando Michaela Willensa. Na finał przygotowano koncert *Leszka Moździerza*, muzyków jazzowych (*Zohar Fresco* – instrumenty perkusyjne, Adam Pieroczek – saksofon, Olo Walicki – kontrabas) oraz Zespołu Śpiewaków Miasta Katowice *Camerata Silesia*. całością kierowała Anna Szostak, dyrektor *Cameraty Silesia*.

Muzyczne wydarzenia uzupełniała prezentacja dzieł ze zbiorów jasnogórskich oraz organizowane po raz kolejny *Etno Gaude Mater*. W tym roku poznawaliśmy obyczaje i kulturę Bułgarii oraz Mongolii (w ROK-u oraz w zespole poklasztornym parafii św. Zygmunta).

Patronat nad festiwalem objęło Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Marszałek Województwa Śląskiego oraz Metropolita Częstochowski.

JOANNA KOTKOWSKA

CZĘSTOCHOWA NOTATNIK KULTURALNY

Jubileusze pejzażystów

Kwiecień i maj był to czas świętowania dla częstochowskiego środowiska plastyków. W Pawilonie Wystawowym w parku im. S. Staszica przygotowano wystawę *Pejzaż polski – malarstwo Stefana Chabrowskiego*, z okazji jubileuszu 50-lecia pracy artystycznej artysty, a w Sali Śląskiej Miejskiej Galerii Sztuki 45-lecie pracy obchodziła Cecylia Szerszeń.

Głównym tematem prac jubilatów jest pejzaż oraz problem światła i koloru. Na obrazach można było rozpoznać znane miejsca, ale również poszczególnie elementy pejzażu, które nabierały znaczeń symbolicznych, między innymi tak ważne w polskiej kulturze sosny i brzozy.

Stefan Chabrowski (ur. 1937) uczył się pod kierunkiem profesorów Jana Swiderskiego oraz Mieczysława Wejmiana w krakowskiej ASP. Był m.in. kilkakrotnie stypendystą Ministerstwa Kultury. Biografię przypominano w małej salce na pierwszym piętrze. Zgromadzono tu foldery wystawowe, certyfikat rzeczoznawcy grafiki wystawowej, certyfikat dla Artysty Wielkiego Serca oraz wybrane artykuły na temat jego twórczości, wskazujące również inne poza pejzażem obszary artystycznej aktywności – kompozycje abstrakcyjne, grafikę warsztatową czy użytkową.

Cecylia Szerszeń jest absolwentką ASP w Poznaniu (pracownia Hipolita Polańskiego i Tadeusza Brzozowskiego), w jej twórczości dominują pastele, akwarele oraz obrazy olejne. Od 1980 r. mieszka w Blachowni. Chętnie uczestniczy w plenerach, w 2006 r. zorganizowała Plener Malarzy im. Jerzego Pogorzelskiego; była komisarzem wielu wystaw.

Wokół kanonizacji Jana Pawła II

Z okazji ogłoszenia świętości papieża Polaka różne instytucje postanowiły przypomnieć o jego związkach z Częstochową.

Po pierwsze – Jasna Góra. W Sali Rycerskiej można oglądać przedmioty osobiste, przedmioty kultu, pamiątki z różnych krajów (np. meksykańskie sombrero), medale bite z okazji kolejnych rocznic pontyfikatu oraz dzieła sztuki (np. gobeliny). Ojciec święty przekazał je paulinom albo pozostawił jako wota na ołtarzu Matki Boskiej. Na co dzień w kaplicy Cudownego Obrazu można oglądać też pas sutanny papieża przestrzelony 13 maja 1981 roku. Po drugie – Częstochowa była pierwszym miastem, którego Honorowym Obywatelem został Jan Paweł II, odbyło się to w czasie VI Światowych Dni Młodzieży w 1991 roku.

Muzeum Częstochowskie przygotowało wystawę zdjęć, filmów i pamiątek, posiłkując się zbiorami i wspomnieniami mieszkańców. Tym samym historia miasta po raz kolejny okazała się sumą wspomnień i przeżyć jej mieszkańców.

Jednym zdaniem

■ Zagrali: Teatr from Poland – Fabryka Kości, El-Dupa; Plaż Gópih Zabaf: Kasia Kowalska, Kombii, Jamal, Vavamuffin, Bracia Figo Fagot; OPK – Janusz Yanina Iwański z zespołem; MDK – Kalokagathos Marzeny Lanch-Loniewskiej.
■ Na Jasnej Górze 80. urodziny świętował Jan Kobuszewski;
■ W MGS-ie wystawa malarstwa Mariusza Szymańskiego, instalacja graficzna *Początek świat (I)* a Aleksandry Jakubczak; w CPM-ie *Ostatnia wystawa o macierzyństwie. Część pierwsza* Urszuli Kluz-Knopek;

Spotkanie odbyło się 25 kwietnia w Ratuszu, w Sali ozdobionej 27 portretami gdańszczanina Jerzego Rymara *W poszukiwaniu nadziei – portrety Jana Pawła II*, cykl artysta ofiarował Jasnej Górze.

W dniu uroczystości przed Muzeum Monet i Medali Jana Pawła II wystąpił Krzysztof Niedźwiecki oraz Arka Noego. 7 maja odbyła się promocja bogato ilustrowanej książki Ryszarda Stefaniaka, historyka i obecnego wiceprezidenta miasta – *Jan Paweł II Honorowy Obywatel Miasta Częstochowy*, a 18 maja z okazji urodzin Karola Wojtyły Filharmonia Częstochowska przygotowała koncert *Credo*, prowadzony przez kompozytora Henriego Serokę. Wzięli w nim udział również Zespół Muzyczny „La musica corale”, Chór Instytutu Muzyki Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie, Chór Męski „Pochodnia” oraz Chór Archikatedry Częstochowskiej „Basilica Cantans”.

Przemiany fotografii cyfrowej

Częstochowski Międzynarodowy Konkurs Cyfrowej Fotografii CYBERFOTO wypracował już własny ceremonial – stałe miejsce (ROK Częstochowa), jury (Krzysztof Jurecki, Jolanta Rycerska, Katarzyna Łata-Wrona, Krystyna Małgorzata Dołowska, Sławomir Jodłowski), a nawet skład uczestników. To jednak wcale nie oznacza zastoju, co potwierdza m.in. zmiana tytułu w 2012, gdy „Fotokreacja” zastąpiła „Fotografię”, eksponując przede wszystkim aktywność podmiotu.

W tym roku wpłynęło 325 prac 63 autorów, spośród których wyróżniono: Martę Brzozowską z Raciborza za *Szablony* (I miejsce), Halinę Mardułę z Wrocławia za *Świeckie relikwie* (II miejsce), Annę Andrzejewską z Będzina za *Mieszczanina w kadrze i poza nim* (III miejsce) oraz Martę Wapiennik z Zabierzowa, Katerinę Mistal ze Sztokholmu i Agnieszkę Tomiczek z Bielska-Białej (wyróżnienia).

Nagrodzone prace wraz z innymi zakwalifikowanymi na wystawę (33 autorów) można oglądać w Galerii Art-Foto do 10 czerwca. Częstochowę reprezentują Małgorzata Arciszewska, Małgorzata Kozakowska oraz Janusz Pacuda.

Wyrazistość rzeczy

Sala Gobelinowa MGS-u gościła kolejną odsłonę konkursu im. Mariana Michalika. Piąte spotkanie stało się okazją do pierwszych podsumowań. Konkurs w Częstochowie istnieje od 2001 r. cieszy się popularnością wśród młodych profesjonalnych artystów, choć jak deklarują organizatorzy, jego celem nie jest nieustanne sprawdzanie granic czy redefiniowanie malarstwa. Liczy się przede wszystkim warsztat. W tym roku konkurs zatytułowano *Wyrazistość rzeczy*.

Pośród 116 prac zakwalifikowanych na wystawę, jury w składzie: prof. Janusz Karbowiczek (przewodniczący), prof. Antoni Kowalski, dr hab. Jacek Szuka, Czesław Tarczyński oraz dr Barbara Major, przyznało nagrody: Markowi Hałubie (Nagroda Prezydenta Miasta Częstochowy), Aleksandrze Prusinowskiej (Nagroda Dyrektora Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie), Martynie Borowieckiej, Szymonowi Wojtanowskiemu, Pawłowi Słocie, Katarzynie Adamiak-Jaśnikowskiej oraz Agacie Nowak (wyróżnienia honorowe).

Jabłonków pamięta ks. Adameckiego

Jabłonkowie zaskoczyli w pierwszą sobotę maja widok polskich żołnierzy. To przyjechała Kompania Reprezentacyjna Wojska Polskiego, wystawiona przez 6. Dywizję Powietrzno-Desantową z Krakowa. Trzydziestka żołnierzy w galowych mundurach wmaszerowała o godz. 10.00 do kościoła parafialnego pw. Bożego Ciała, by swoim udziałem w mszy świętej uczcić pamięć ks. Józefa Adameckiego, duszpasterza i żołnierza ruchu oporu.

– „Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, lecz duszy zabić nie mogą” – te słowa z Ewangelii wg św. Mateusza zabrzmiały w sobotę podczas mszy świętej w kościele parafialnym pw. Bożego Ciała w Jabłonkowie. Odbyła się ona w intencji ks. Józefa Adameckiego, wikarego jabłonkowskiej parafii. Pamięć duszpasterza i kapelana Związku Walki Zbrojnej – Armii Krajowej przypomina odsłonięta w tym dniu tablica w jednej z kaplic świątyni. 26 maja minęło 70 lat od dnia, w którym ks. Adamecki zginął w obozie zagłady Auschwitz.

Proboszcz ks. Janusz Kiwak przywitał licznych gości, wśród nich konsula generalną Rzeczypospolitej Polskiej w Ostrawie, Annę Olszewską, prezesów Kongresu Polaków i Zarządu Głównego Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego: Józefa Szymeczka i Jana Rylkę, oraz członków rodziny ks. Adameckiego.

W swojej homilii ks. Kiwak przypomniał, że ks. Adamecki jako wikary jabłonkowskiej parafii w marcu 1942 roku związał się z konspiracyjną siatką wywiadowczą „August”, a od października tego roku należał do ZWZ – AK na terenie Cieszyna i Zaolzia. Był kapłanem podinspektoratu, a jego mieszkanie na jabłonkowskiej plebanii służyło jako punkt kontaktowy dla członków wywiadu. W marcu 1943 roku został aresztowany przez gestapo, a w maju 1944 roku, osądzony przez sąd doraźny katowickiego gestapo, rozstrzelany pod „ścianą śmierci” w KL Auschwitz.

Konsul Anna Olszewska w swoim przemówieniu przypomniała słowa św. Jana Pawła II: „Naród, który nie pamięta swojej historii, nie ma także swojej przyszłości”. To konsul Olszewska, wspólnie z bratankiem bohaterskiego wikarego, Bronisławem Adameckim, odsłoniła tablicę. – Mój ojciec, Zygmunt, był najmłodszym bratem ks. Józefa. Jestem niezmiernie zbudowany tą uroczystością. Cieszę się też, że mogłem przy okazji poznać niektórych swoich krewnych, z którymi się jeszcze nigdy nie spotkałem – powiedział nam pan Bronisław.

Z kolei Władysław Niedoba, inicjator wmurowania tablicy ks. Adameckiego w mur jabłonkowskiej świątyni, zwierzył się, że to był jego obywatelski obowiązek. – Mam 83 lata, pamiętam więc jeszcze ks. Adameckiego. Znałem go z kościoła, z plebanii, chodził też do naszego sklepu. Jako chłopak nie wiedziałem, że on i mój ojciec są żołnierzami ZWZ – AK. Ks. Adamecki tym, że nie zdradził podczas przesłuchania swoich towarzyszy broni, którzy wobec niego składali żołnierską przysięgę, uratował życie moim rodzicom – powiedział mi po uroczystości.

Kiedy ks. Józef Adamecki stanął przed plutonem egzekucyjnym pod „ścianą śmierci” w obozie Auschwitz miał zaledwie 32 lata. Jabłonkowie nie zapomnieli o nim nigdy. Jabłonków pamięta...

JACEK SIKORA

ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

Zaolziak ze Srebrnym Krzyżem Zasługi

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Bronisław Komorowski, podczas spotkania w Pałacu Prezydenckim z okazji Dnia Polonii i Polaków za Granicą, wręczył 2 maja odznaczenia państwowe zasłużonym działaczom polonijnym. Wśród uhonorowanych znalazł się Tomasz Pustówka, wiceprezes Kongresu Polaków w RC.

– To ważna chwila, gdy można podziękować, w imieniu Ojczyzny, rodakom rozsiądanym po całym świecie, nie tylko za utrzymywanie polskości własnej, ale też za działania na rzecz polskości, kultury polskiej, promocji Polski na świecie – powiedział prezydent podczas uroczystości.

Bronisław Komorowski wyraził przekonanie, że z sumy osiągnięć każdego z odznaczonych powstaje dobry obraz Polski w oczach świata. Zdaniem prezydenta nowe pokolenie, które w ostatnich latach zyskuje coraz większy wpływ w środowiskach polonijnych, jest już nie tylko przywiązane do pielęgnowania tradycji i kontaktów z krajem. Młodzi ludzie sukcesu bezinteresownie promują obraz Polski nowoczesnej, nie bojącej się wyzwań. Angażując się w organizację koncertów, czy wystaw popularyzującą polską kulturę w krajach, w których mieszkają.

W Dniu Polonii i Polaków za Granicą prezydent wręczył państwowe odznaczenia 21 osobom. Tomasz Pustówka otrzymał Srebrny Krzyż Zasługi.

Polskie książki w Pradze

W stolicy Republiki Czeskiej rozpoczęły się w czwartek 15 maja targi książki i festiwal literatury Świat Książki 2014. To była już 20. edycja tej międzynarodowej imprezy i także w tym roku nie zabrakło w hołszowickim Pałacu Targowym literatury polskiej.

W stoisku Instytutu Polskiego w Pradze polskie książki, także te wydane na Zaolziu, oferował gościom targów aż do niedzieli, tradycyjnie już, czeskojęzyński Klub Polskiej Książki i Prasy Danuty i Zenona Wirthów.

– Polską książkę promujemy podczas tej prestiżowej międzynarodowej imprezy księgarskiej już po raz ósmy. W tym roku pokazujemy oko-

ło 150 najbardziej ciekawych i najważniejszych tytułów, które ukazały się na rynku wydawniczym w Polsce w roku 2013 i w pierwszej połowie bieżącego roku. Wśród nich będą, na przykład: najnowsza książka z serii o Wiedźminie Andrzeja Sapkowskiego, sporo książek Olgi Tokarczuk, Jerzego Pilcha... To wszystko autorzy bardzo popularni w Czechach – powiedział w rozmowie z „Głosem Ludu” Zenon Wirth.

Dodał, że tym razem Polskę reprezentowali na praskich targach: dwie pisarki – Sylwia Chutnik i Justyna Bargielska oraz legenda polskiego punku i undergroundu, Robert Brylewski, współzałożyciel zespołów Kryzys, Izrael, Brygada Kryzys i Armia. Ten ostatni będzie promował wydaną wspólnie z Rafałem Księżykiem książkę „Kryzys w Babilonie”. Był też ściślej zaolziański akcent – swoje książki, w tym tę najnowszą: „Ambasadorowie wzajemnego zrozumienia. Niedocenieni twórcy pomostów między polską i czeską kulturą (XIX-XXI w.)”, podpisywał na targach pochodzący z Karwiny historyk, Roman Baron.

Prof. Jan Miodek wśród gimnazjalistów

Aula Polskiego Gimnazjum w Czeskim Cieszynie zapamięła się 19 maja do ostatniego miejsca podczas spotkania z prof. Janem Miodkiem. Gimnazjaliści przywitani wybitnego polskiego językoznawcę gromkimi brawami.

Prof. Miodek przyjechał do Czeskiego Cieszyna na zaproszenie Centrum Pedagogicznego dla Polskiego Szkolnictwa Narodowościowego w RC. – Powiem krótko to nasz chłop. Śluzak z Tarnowskich Gór. W moim przekonaniu jest najbardziej rozpoznawalnym polskim językoznawcą przede wszystkim za sprawą Telewizji Polskiej. Prowadził m.in. słynny cykl „Ojczyzna polszczyzna”, a dziś nauczca Polaków współczesnej polszczyzny od Ameryki po Władywostok, ponieważ wszędzie tam dociera Telewizja Polonia. Dziś jednak prof. Miodek dotarł do nas – mówił prof. Daniel Kadłubiec, witając gościa.

Prof. Miodek przypomniał, że po raz pierwszy przyjechał do Czeskiego Cieszyna przed 25 laty. Zdradził też, że bardzo zazdrości Zaolziakom. – Wy nie wiecie, jaka to przyjemność, kiedy człowiek może przejść na regionalny wariant polszczyzny. Ale moja ciepła zazdrość wobec was wynika też z faktu, że na co dzień operujecie trzema stylistycznymi wariantami. Mówicie językiem serca, czyli cieszyńską gwara będącą regionalną odmianą polszczyzny ogólnej. W szkole waszym obowiązkiem dydaktycznym jest zdobywanie umiejętności posługiwania się idealną polszczyzną literacką i oczywiście wszyscy mówicie perfekcyjnie po czesku, bo jesteście obywatelami Republiki Czeskiej. Jesteście więc wielkimi szczęściarzami – stwierdził prof. Miodek.

Jednym zdaniem

■ Karel Schwarzenberg odznaczony został 15 maja Krzyżem Wielkim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej. Przewodniczącemu Komisji Spraw Zagranicznych Izby Poselskiej i byłemu ministrowi spraw zagranicznych Republiki Czeskiej odznaczenie wręczył w Warszawie szef polskiego MSZ-tu, Radosław Sikorski.

■ Chór Męski „Gorol” zaśpiewa podczas wakacji w Senacie RC. Zespół działający przy jabłonkowskim Miejscowym Kole PZKO pod kierownictwem Katarzyny Siwiec-Kantor wystąpi w Pradze w ramach tradycyjnego cyklu imprez „Lato kulturalne w Senacie”.

■ Premierę „Ich czworo”, tragedii ludzi głupich – jak sama nazwała tę sztukę autorka, Gabriela Zapolska, wystawiła w sobotę 10 maja Scena Polska Teatru Cieszyńskiego.

■ 12 maja Książnica Cieszyńska oficjalnie zaprezentowała odkryte niedawno w zbiorach biblioteki pochodzące z września 1522 r., najstarsze wydanie Nowego Testamentu w przekładzie Marcina Lutera. Wydarzenie to przybliżyło do Książnicy tłum zainteresowanych.

■ Ani deszcz, ani błoto nie przeszkodziły 16 maja w realizacji tradycyjnego Bystrzyckiego Złotu. Jego gwiazdami były czeski Olympic z legendarnym Petrem Jandą oraz polska formacja Mech, która, jak przypomniał jej frontman Ma-

ciej Januszko, gościła już na Zlocie przed trzydziestu laty.

■ Grono nauczycielskie, dzieci i rodzice szkoły i przedszkola w Sibicy świętowali w sobotę 17 maja jubileusz 140 lat szkoły i 95 lat przedszkola. Rocznicowe uroczystości, których gościem była m.in. Anna Olszewska, konsul generalna RP w Ostrawie, zorganizowano pod dachem ośrodka kultury w Kocobędzu.

■ Największa zaolziańska impreza filmowa, festiwal Babie Lato Filmowe, będzie od tegorocznej 22. edycji (odbędzie się w dniach 8-12 października br.) organizowane przez sztab festiwalowy przy współpracy z Instytutem Polskim w Pradze.

■ W Nieborach wspomniano 24 maja Pawła Oszeldę. Celem „Oszeldówki”, która odbyła się w ogrodzie koło miejscowego Domu PZKO, było uczczenie 150. rocznicy śmierci tego rewolucjonisty i bohatera Wiosny Ludów oraz wspólna integrująca pokolenia, narodowości i wyznania festynowa zabawa.

■ Uroczystym rozstrzygnięciem konkursu literackiego dla dzieci „Zostań pisarzem z...” zainaugurowano w sobotę 24 maja Międzynarodowy Festiwal Czytania nad Olzą. Imprezę promującą czytelnictwo po raz siódmy zorganizowały biblioteki miejskie w Czeskim Cieszynie i Cieszynie.

25 października 2013 r. został udo-
stępiony dla zwiedzających
wyjątkowej urody zabytek – odre-
staurowany kompleks Stajni Książę-
cych w Pszczynie. Odnowione wnętrza
prezentują się na tyle atrakcyjnie, że
warto je obejrzeć, jeśli dodam wspa-
niałe wystawy jakie w nich przygoto-
wano przyjechać do Pszczyny trzeba
koniecznie!

9 maja 2014 r., w pszczyńskich
Stajniach miało miejsce otwarcie
trzech wystaw czasowych: „Od Kleo-
patry do Nelsona. Jubileuszowy bal
kostiumowy królowej Wiktorii”, „Le-
on Dołżycki. Pszczyńskie lata. Malar-
stwo i rysunek” oraz „Malarstwo Eliny
Marjaany Hämeen-Anttila”. To
było wielkie święto muzealników.
Na kulturalnej mapie Polski pojawiło
się miejsce wystawowe światowego
formatu. Ekspozycje można oglądać
do 30 listopada. Niby długo, ale czas
tak szybko leci, a tych wydarzeń prze-
gapić nie wolno.

*Na historyczny bal u księżnej Devon-
shire w zeszłym tygodniu zamówiono
studio fotograficzne, obiektyw zaś
był, jak się okazuje ze wszech miar nie-
zbędny, aby uwiecznić niezwykle wier-
nie odtworzone kostiumy, w jakich po-
jawili się goście. (...) Dzięki fotografii
bez wątplenia udało się uwiecznić za-
równo bal, jak i jego uczestników,
a w przyszłości, kiedy wydarzenia te-
go wspaniałego roku ktoś spokojnie
opowie łagodną prozą, wartość owe-
go fotograficznego zapisu będzie nie-
zwykła – donosił „Photographic
News” 9 lipca 1897 r. O tym, że au-
tor artykułu sprzed ponad stu lat nie
mylił się możemy się przekonać
na wystawie „Od Kleopatry do Nelsona.
Jubileuszowy bal kostiumowy
królowej Wiktorii”. Oprócz doskona-
łych fotografii zaprezentowano m.in.
cztery historyczne kostiumy, zrekon-
struowane na podstawie zdjęć z Archi-
wum Lafayette’a. Ich twórczyniami są
absolwentki Wimbledon College of
Art w Londynie. Zwiedzający, przy
pomocy scenograficznego tła oraz
rekwizytów, mogą się także wcielić
w postacie z czasów królowej Wikto-
rii i wykonać pamiątkowe zdjęcie
w zaaranżowanym atelier fotogra-
ficznym.*

„Malarstwo Eliny Marjaany Häme-
en-Anttila” – zaprezentowane w rów-
nie pięknie odrestaurowanym, przyle-
gającym do stajni, starym młynie
– także warte jest uwagi. Fascynacja
surrealizmem, kubizmem, ekspresjo-
nizmem i starymi holenderskimi mi-
strzami daje mieszankę piorunującą.
Niezwykle ciekawie stosuje artystka
w wielu obrazach kolaż. Bardzo szla-
chetne i piękne malarstwo. Szkoda, że
to już zamknięta karta. Hämeen-Ant-
tila urodziła się w Finlandii, mieszka-

Bal królowej Wiktorii,
Hämeen-Anttila
i wielki Dołżycki

Uczta duchowa

ła i tworzyła w Belgii, zmarła przed-
wcześnie w 1992 r. mając zaled-
wie 38 lat. Warto wspomnieć, że ob-
razy pochodzą z pszczyńskiej kolekcji
prywatnej.

Na wielką prezentację mistrza pol-
skiego malarstwa Leona Dołżyckiego
również złożyły się dzieła pochodzą-
ce z pszczyńskiej kolekcji prywatnej.
Mimo ogromnej roli jaką odegrał,
nie tylko jako malarz, ale i pedagog
(współtwórca katowickiej ASP), jest
artystą, o którym przy okazji organi-
zowania wielkich wystaw retrospek-
tywnych niesłusznie się zapomina.
W Stajniach Książęcych najliczniej
prezentowane są realistyczne „sceny
sportowe”. Powiadają, że nawiązują
one do obowiązujących wówczas za-
sad socrealizmu, mnie to określenie
zdecydowanie źle się kojarzy, więc je
odrzucaam, poza tym w rozedrganych,
zatrzymujących w kadrze ruch, dosko-
nałych kompozycyjnie pracach żadnej
ideologii nie widzę, bo jej tam nie
ma – są to wspaniałe dzieła sztuki
o nieprzemijającej sile oddziaływania
na widza i czas najwyższy, aby zaję-
ły godne miejsce w historii polskiej
sztuki. Jedynie dwa męskie portrety,
„Portret kobiety w kuchni” i „Naukę
pisania” można podciągnąć pod nie-
sławne miano socrealizmu z tym, że
są to po prostu świetne płótna... To
zrozumiałe, że silniejsze wrażenie
robią dzieła noszące cechy awangar-
dowego formizmu – czerpiące z fran-
cuskiego kubizmu i fowizmu oraz
włoskiego futuryzmu – porywają
śmiałością i nowoczesnością. Jak pi-
sał Mistrz w 1923 r. na łamach
„Zwrotnicy”: *Jedyną prawdą obo-
wiążującą artystę jest prawda formy.
Forma każdego dzieła... musi się
podporządkować wyobraźni twórczej.
Przez formowanie daje twórca wyzna-
nie o swej rzeczywistości.*

Proponuję krótką wędrowkę po wy-
stawie. Na początek pełen ekspresji
obraz „Skok w dal” – dwóch zadzi-
wionych kibiców i skoczek, „Kola-
rze 1” – doskonała klasyczna trójką-
na kompozycja, „Dyskobol 1”
– śmiałe, wręcz rewolucyjne jak
na tamte lata pociągnięcia pędzlem
a „Dyskobol 2” to już czysty malar-

ski geniusz. Sporo jest „Skoków
o tyczce” – niby zakomponowane
tak samo a każdy inny. Mistrz szukał
doskonałości... Warto podziwiać,
wracać, porównywać. „Bieg przez
płatki 1” – śmiałe operowanie kolo-
rem i ten ruch uchwycony bezbłędnie.
Wreszcie mój ukochany obraz „Bie-
gacz 2” – trochę kubistyczny, postać
na tle czerwieni, żółci z brązami,
niebieskości i granatu – to ikona ma-
larstwa tamtych lat, po prostu arcy-
dzieło. Na dłużej przykuwa uwagę
„Portret młodego mężczyzny” – to
malarstwo psychologiczne, o duszy
modela można rozprawić bez końca.
Zachwył budzą „Indyki”, „Kogut”, za-
bawny i zarazem smutny „Akt”.
Na końcu ekspozycji zasępiony i bar-
dzo wobec siebie krytyczny „Autopor-
tret”. Dlaczego? Tyle piękna nam
po sobie artysta zostawił, czyżby
uznał, że za mało?

Alicja Stróżna-Miciak z wielkim
sentymentem wspomina swojego
pierwszego nauczyciela malarstwa
w katowickiej ASP: *Uczył nas na
pierwszym roku, zostawił po sobie
najlepsze wspomnienia, jego korekty
były konstruktywne i pamiętam je do
dzisiaj, chłoniliśmy jego uwagi. To był
przemily pan i znakomity nauczyciel.
Zaprosił nas do Pszczyny – to był nie-
zapomniany wypad. Miał tam piękną
pracownię, oddaną opiekunkę. Był
w Pszczynie szczęśliwy...*

W 1928 r. L. Dołżycki wziął udział
w Olimpijskim Konkursie Sztuki prze-
prowadzonym z okazji Letnich Igrzysk
Olimpijskich w Amsterdamie. Polski
Komitet Olimpijski zgłosił do konkur-
su jego obraz „Na starcie”, chociaż nie
został on uhonorowany nagrodą – już
samo uczestnictwo w tym konkursie
było dużym wyróżnieniem. I jeszcze
ciekawostka. Do wielu obrazów pre-
zentowanych na wystawie artyście
pozowali dwaj pszczyńianie: Józef
Kopocz – późniejsza legendarna postać
TV, jeden z pierwszych obok Krysty-
ny Loski telewizyjnych spikerów oraz
syn pierwszego dyrektora Muzeum
w Pszczynie – Władysław Kluss. Obaj
młodzieńcy osiągnęli wówczas zna-
czące sukcesy sportowe.

Leon Dołżycki mieszkał w Pszczy-
nie, w oficynie zamkowej od 1949 r.
do 1962 r. Ten wybitny lwowiak zako-
twił tutaj i pokochał miasto piękną
księżną Daisy von Pless całą
wrażliwą duszą artysty. Zmarł w Kra-
kowie w 1965 roku. Obrazy pokaza-
ne w pszczyńskiej galerii pochodzą
głównie z wczesnych lat pięćdziesią-
tych. Stajnie Książęce wystartowały
znakomicie, poprzeczka została posta-
wiona wysoko, niełatwo będzie ją
przeskoczyć.

WITOLD KOCIŃSKI



Wystawa „Od Kleopatry do Nelsona”.
Jubileuszowy bal kostiumowy królowej Wiktorii”



Odrestaurowany kompleks Stajni Książęcych



Wystawa „Leon Dołżycki. Pszczyńskie lata. Malarstwo i rysunek”



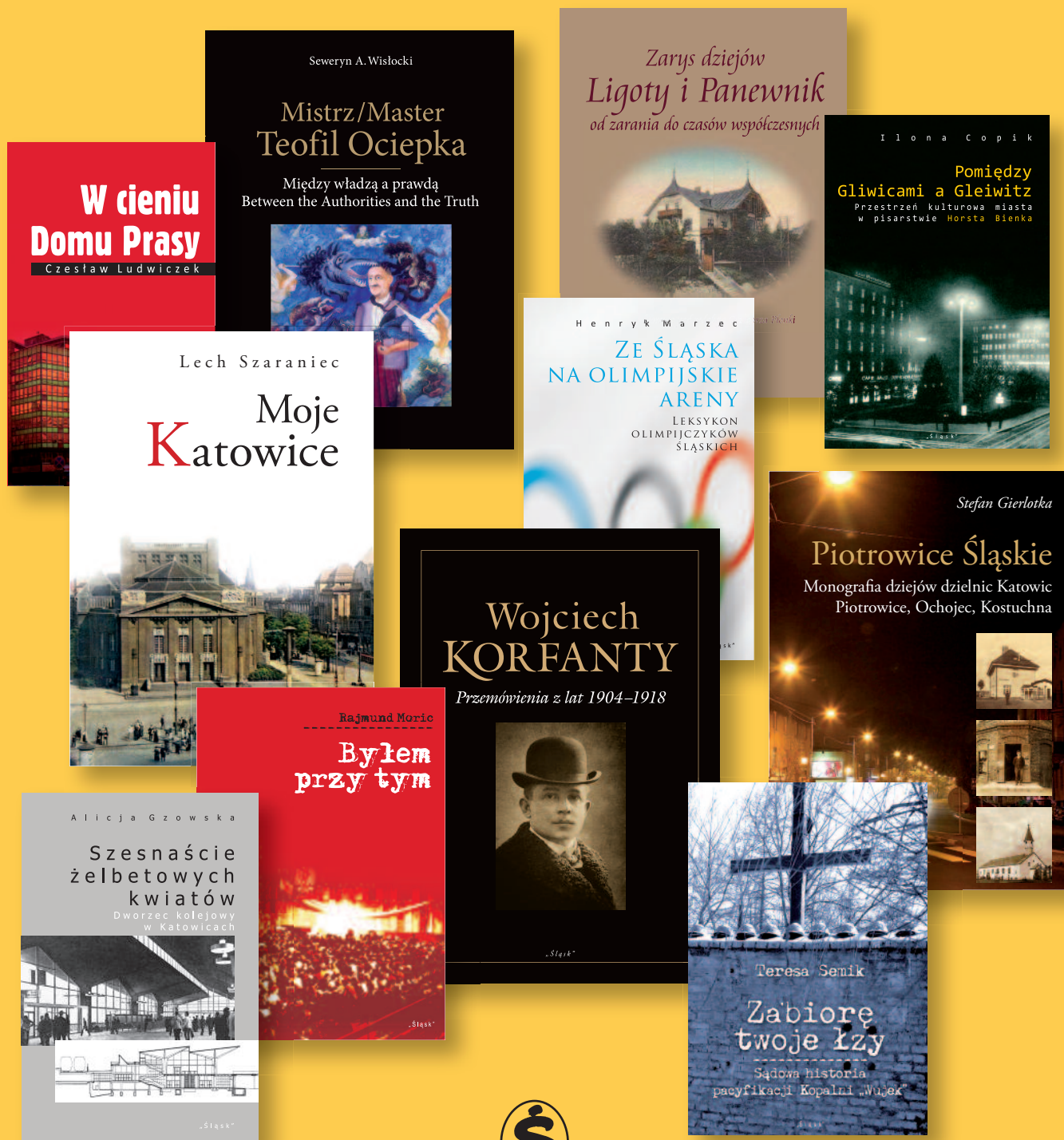
Leon Dołżycki „Skok w dal”

STAJNIE KSIĄŻĘCE

PSZCZYNA



Leon Dołżycki „Biegacz 2”



miejsca | ludzie | historie

Słowem, Śląsk!

„Śląsk” Sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe
 ul. J. Ligonia 7, 40-036 Katowice, tel. 32 258 07 56, faks: 32 258 32 29
 e-mail: redakcja@slaskwn.com.pl, handel@slaskwn.com.pl

www.slaskwn.com.pl